

# Obrazki lubelskie

Wieniarski, Antoni (1823-1869)

Adres URL obiektu

<https://polona.pl/preview/a2c659c6-5dbb-4789-93c6-b2efdc6ab681>

Data wygenerowania dokumentu pdf

13.04.2026

POLONA/

## Informacje

Tytuł ujednoczony

Obrazki lubelskie

Autor

Wieniarski, Antoni (1823-1869)

Adres wydawniczy

Warszawa : Józef Unger, 1854.

Data powstania dokumentu

1854-01-01

Język

polski

Sygnatura

I 827.119 A

Prawa do utworu

Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.

Źródło

Biblioteka Narodowa

# OBRAZKI LUBELSKIE.

PRZEZ

Antoniego Wiśniarskiego.

Dzisiaj cały szczęścia wątek,  
Składa jakaś cudów chwilka;  
Jakiś obraz — uczuć kilka,  
Kilka z młodszych lat pamiątek!

B. Z.

---

WARSZAWA

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGER

przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 394.

—  
1854.



T 827.119

1

3009. - 1827. 119

# OBRAZKI LUBELSKIE

PRZEZ

Antoniego Wiśniarskiego.



WARSZAWA.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGER,  
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

—  
1854.

*Top Fry*

*Obrazki*

OBRAZKI LUBELSKIE

Wydawnictwo



Wydawnictwo

Wydawnictwo

LUBELSKIE

OBRAZKI LUBELSKIE.



OBRAZKI LUBELSKIE

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005579448

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie  
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzem-  
plarzy.

Warszawa dnia 16 (28) Stycznia 1853-roku.

Cenzor, *F. Sobiesszański*.



827.119

NAKLADEM I DROKAMI JÓZEFY UNGER

ul. Świętokrzyska, 10. Warszawa. 1853.

1853

1973 K 194/279

nie jedne chwile w tamtych dniach  
Dziwnym sposobem opowiada  
Czyli chce plakatami obraz w obrazie  
Niekaz tak latwiej rozpoznać

A wiecie mi co czytacie? Jaki to wrok wiecie  
rozwiasta w miasteczku w którym chodzi jeden  
rękami sprostac do serca jego wstanie - kłopot

### OBRAZEK ŚWIĘTEJ CECYLII.

Niepojęte sprawy Boże,  
Któż je kiedy zgłębić umie?  
Mędrzec sądzi je w pokorze,  
Głupiec mówi że rozumie!

W jakże uroczej barwie stajecie mi przed o-  
czyma moje miłe lubelskie strony!? Jak malarz  
wędrowiec, patrząc na rozwijające się przed  
nim cudowne obcych miejsc widoki, myślą goni  
za ubogą rodzinną chatką, cienistą lipą, dre-  
wnianym kościołkiem, bocianem klekoczącym  
na stodółce i rzeczką wijącą się pod poważnym  
dębowym gajem; tak ja odwracam myśl i wzrok  
od strojnych bogactwem i sztuką ulic miejskich  
i toczę je ku wam serdeczne strony, związane  
z moją duszą wspomnieniami młodości, gdzie:

Nie jedną chwilę w tém biedném życiu,  
Dziwnemi splotem ogniwy;  
Gdzie choć plakałem nieraz w ukryciu,  
Nieraz też byłem szczęśliwy.

A wiecie moi czytelnicy, jaki to urok wiąże człowieka z miejscem, w którym choćby jeden uśmiech szczęścia do serca jego zawitał, które choćby jedną miłą pamiątką z jego duszą się złączyło.

O nie dziwmy się temu wcale ale zostawmy podziwienie nad ludźmi zabierającymi z sobą wszystko do podróznego tłumoczka, i nieoglądającymi się za siebie, jak gdyby uciekali z miejsca ręką gniewu Bożego dotkniętego, jak gdyby obawiali się losu żony Lota. Tacy ludzie godni podziwienia i litości!

Jeżeli czytelniku znasz okolice Lublina, to nie minąłeś pewnie Łęczny; nie dla tego żeby cie znęciły jarmarki, odprawiające się tam z niezwykłą innym miasteczkom sławą i sprowadzające z odległych bardzo okolic handlarzy, kupców, szulerów, paniczów z długimi pejcami i ómę spekulacyjnego żydostwa; ale dla tego, że Łęczna położona na wzgórzu, u którego stóp

kręty Wieprz wije się jak ułaskawiony wąż u nóg osiwiałego żmudzina, ma swoje piękne widoki i swoje osobliwości. Do widoków należy: Podzamecze z ogrodem, wyniosłemi lipami zacienionym, Witaniów piękna wioseczka ciągnąca się wzgórzem ponad rzeką, Nowogród z chatami rozrzuconemi w nieładzie i wyzierającemi ciekawie ku gajowi dębowemu, który rozłożył się u samych krańców rzeki; do osobliwości, góra piaskowa nad Wieprzem, zasłana niezmierną ilością drobnych kostek ludzkich i szczątków popielnic przez wiatr odgrzebanych i rozwianych. Smutnego wrażenia doznaje serce, deptając szczątki odległych wieków, popioły, może wygnańców rzymskich zesłanych w bezładne wówczas strony, może dzielnych słowian zakładających nad brzegami rzek miejsca wiecznego spoczynku; ale gdzież to i kiedy bez smutnych wrażeń obejść się można?

Biskup warmiński w swojej satyryczno-dowcipnej podróży z Warszawy, powiedział o Łęcznie:

Ukazata się nam zrzeczna  
Na przemysły swoje Łęczna.  
Ormiany, greki i żydzi,  
Na to hasło: *święty Idzi.*

Musiał ksiądz - poeta być wówczas w jakimś spekulacyjnym humorze, co mu się mówiąc między nami, nierzadko zdarzało przy bilansie wydatków z dochodami, kiedy o Łęczynie nie więcej nie powiedział, zwłaszcza, że Łęczyna dziedzictwo Potockich, musiała być wówczas ożywiona przepychem jaki dwory magnatów otaczał. Albo może ksiądz biskup przejeżdżał w czasie jarmarku, który za dawnych czasów zgromadzał do Łęczyny kupców tureckich, perskich, nowogrodzkich i Bóg wie nie skąd handlarzy, porywając swym wirem wszystko co się w targowe koło nawinęło. Dziś tylko z tradycji, znajoma nam fizjonomia dawnych jarmarków; zmieniły się zamienne stosunki, handel wziął inny obrót, para podjęła na swe barki dziedzictwo Merkurego i lotem jaskółki rozniosła je po świecie; inne wyobrażenia, wskazały inne cele i dziś wszystkie jarmarki, niegdys chuczące, jak rozbujane morze, przesypujące złoto jak piasek, lejące wino jak wodę, rozmaitością języków i narzeczy przypominające wieżę Babel, są szkieletem obdartym z ciała i dyszącym jeszcze do jakiegoś czasu, dopóki duch wieku z zastygląj piersi nie wyrwie ostatniego tchnienia i nie rzuci go w przepaść przeszłości.

Wszystko ma swoją epokę, swój zakres bytu. Dawniej kiedy szlachcic zajęty był usługą publiczną i nie miał czasu zapisywać z Wiednia mebli, a z Paryża strojów, kiedy ciągnęła tułaczka po świecie i zapasy ze Szwedami i Tatarami nie pozwalały myśleć o drogach murowanych, o kanałach łączących rzeki i statkach dźwigających na swych ramionach ładowane towary, kiedy żyło się pod strachem Bożym, i ten co dziś nalewał wino w puhary, nie był pewnym czy jutro nie dosiędzie konia i nie pożegna rodzinnej strzechy, kiedy łokieć i miarka traciły infamią, potrzeba było jakiegoś ogniska, przy którymby ogrzał się duch handlarski, i któreby dogodziło obydwom stronom; pierwszej dając możliwość łatwego pozbycia produktów miejscowych, a nabycia towarów zagranicznych, drugiej podsuwając w ręce ogromne z takiej zamiany korzyści. Szlachcic opasany ładownym trzosem, pokręcając węża jechał stępo na bułanym albo wronym człapaku, za nim długim sznurkiem ciągnęły wozy ze zbożem, przedziwem, miodem i innymi przedmiotami, szły liczne stada domorosłych koni, spore trzodki wychodowanego bydła.

Na wstępie do jarmarcznego miasteczka za-

stepował mu drogę żyd lub ormianin, kłaniał się nisko, całował stopy i z wozów ubywało, i trzody się przeredzały, a za to trzos stawał się coraz pełniejszy, i coraz okazalój z pod żupana wyglądał. Potem kiedy już ostatni wórek zboża i ostatni gniadosz ze stada przeszły w ręce unizonych sług pańskich, nasz trzosowy jegomość szedł do tureckich, ormiańskich, perskich, nowogrodzkich kramów, oglądał hanzeatyckie sajety, tureckie atłasy, perskie jedwabie, nowogrodzkie futra, i karbując: to dla mojej Jagusi na świąteczny żupanik, bo jój się niebieski przed dziesięcią laty kupiony nadszarzał; to dla mojej dziewczeczki na spódniczkę, a to dla tego urwisa co mu już cudze progi pachną, na delję; składał sztuki drogich zamorskich materji, słuckich i perskich pasów, ładował na wozy faski korzeni, pudła bakalji, i pieczętując handel toruńskim piernikiem, powracał rad do domu, aby go przynajmniej na rok cały w potrzeby zaopatrzyć i wybiegającą na przywitanie żonę i dziatki gościńcem uweselić. Z postępem czasu zmieniły się nawyknięcia i potrzeby; handel i przemysł zaraz przy wstępie XIX stulecia poczuły, że znajdują w nim wielkiego promotora i rozsiały się poważniej po świecie; u nas nawet ruch han-

dłowy zaczął się rozszerzać, pomysłano o łatwiejszych komunikacjach, miasta i miasteczka ubrały się sklepami, kupcy zaczęli więcej ryzykować; jarmarki straciły na dawném wzięciu, a niezdługo prawie zupełnie zmieniły swą postać; pijatyki i hulanki zajęły miejsce huczających targów; szulery, szarlatani różnego rodzaju zastąpili dawnych przemysłowców, spadając jak ćma szarańczy na miasta i miasteczka jarmarczne; poważna szlachta powoli, nieznacznie zaczęła uczuwać odrazę do miejsc zepsucia i kuglarstwa; kupcy nie spieniężywszy towarów, porzucili chętkę kuszenia się o zawodne zyski. Jedna tylko jeszcze prowincjonalna młodzież, i to ta, która nie ma gdzie indziej popisać się z mocną do przepicia głową, z komplementami dla płci pięknej, przebierającą wcale niepięknymi paluszkami po stronach harfy i śpiewającą arcy czułym głosem:

„W pięknej Grenadzie żyła kobieta,“

z jazdą na koniu, i starannie pielęgnowaną brodą, pędzi na jarmarki aby zostawić parę tysięcy złotych, ciężko przez ojca zapracowanych szulerom, strwonić kilkaset złotych przy bufetach, i wrócić do domu z próżną kieszenią, z bó-

lem głowy, z uczuciem czczości w sercu i z tytułem bohatera jarmarcznego w zysku.

Ale odbieglśmy od rzeczy dla tego tylko, że mówiąc o Łęcznie i przytaczając słowa Krasickiego, trudno było o jarmarkach nie wspomnieć, zwłaszcza że radzibyśmy aby dla ogólnego dobra, kiedyś requiem im zaśpiewano.

Otoż teraz chodźcie już ze mną moi czytelnicy do Łęczny, ale nie jarmarcznej, tylko cichej, spokojnej, przysłuchującej się szmerowi raczejgo Wieprza podmywającego jej podnóża, gwarowi oryli prowadzących pasy drzewa naładowane zbożem, śpiewowi słowików, gnieźdzących się tysiącami w nadbrzeżnych zaroślach.

Od strony Lublina, gościniec prosto od lasów ku Łęcznie idący, prowadzi podróznego widokiem ugrupowanego na górze miasteczka; piękny, wzniosły kościół panuje nad niskimi domami, z których żaden nie poważył się wznieść wyżej czoło; gdziekolwiek tylko, na tem tleszarem, migają czerwone dachy misjonarji, ratusza i sklepów i bielutkie ściany drewnianych domków na brzegu wzgórza rozrzuconych. — Taki widok ma podrózny po prawej stronie; zlewój zaś postrzega przedzielone wąwozem od miasteczka Podzamcze, otoczone stuletniami li-

pami, dumającymi poważnie o dawnych zapewne czasach, kiedy to jeszcze Podzamcze, prawdziwie Podzamczem zwać się mogło. Wszystkie lipy jakby pod sznur obcięte, jedna tylko topola unosi się nad niemi i smukłą swoją postacią jak kapłanka cienistego gaju rówiennicom swoim przywodzi. Gościniec prostym sznurem z góry idący, spotyka się u podnóża pięknych szeroko rozciągniętych łąk, z drugim swym bratem od Lubartowa biegnącym i razem po ocienionej wierzbami grobli dążą ku siniejącemu zdala Wieprzowi. On jakby nie chciał na krok oddalić się od miasta, tak blisko niego osnuł swe kręte łożysko i tak go serdecznie ujął w przyjacielskie ramiona. Dwa promy łączą przeciwne jego brzegi, po nich podrózny przebywa głębokie nurty szemrzące tylko pod jego stopami i dopominające się poszanowania swych zasług i możnym i biednym niesionych.

Wy warszawianie, którzyście całe życie na bruku miejskim strawili, nie wiecie, albo nie chcecie wiedzieć jakie to dobrodziejstwo dla okolicy, mieć w swych stronach większą spławną rzekę. Taka rzeka to opiekunka, karmicielka ubogiego ludu, to jego najlepsza przyjaciółka. — Na swych barkach unosi ładowne ciężary, któ-

reby biedny chłopiek musiał wieść o mil kilka albo kilkanaście i dźwigać na drugie i trzecie piętra spichrzów; na swém łonie daje przytulisko tysiącom oryli, którzy do niej jak tylko rzuci lody z swych piersi, spieszą jak do matki po chleb i pracę, a kiedy przednówkowa bieda nie do jednej chaty zapuka, kiedy ostatnie ziarnko zboża zmiele się w żarnach, kiedy dziecko nie wspomóżę, a żyd lichwą obedrze, wtedy rzeka staje się karmicielką licznych rodzin; rybka jedna i druga, ot i pożywienie na dzień cały, ot i głód swemi strasznemi oczyma nie śmie zajrzeć do chatki!

Nikt też serdeczniej nie kocha rzek jak lud biedny, na ich brzegach osiadły. Dziecięciu puszczającemu się u brzegów, nabijają głowę tem, jak to kiedyś będzie prowadzić tratwę naładowaną zbożem i kierując drygawką wołać: „wara od ładu, wara!“ albo śpiewać orylskie piosenki:

„Popłyniema do Gdańska,

Sprzedama tratewki,

Nawieziema talarków,

Będą szaleć dziewczki.“

I dziecię zwięzuje łykami drobne patyczki i puszcza je na wodę i miłym głosem powtarza

„wara od ładu, wara!“ i wyśpiewuje z orylami o Gdańsku i talarkach.

Lud łeczyński ani na krok nie odbiegł od zwyczajów swoich bliższych i dalszych sąsiadów. Wieprz go nie w jednej potrzebie wspiera, on też odpłaca mu przywiązaniem, tuli się u jego łona i przez czyste okna u chatek, przypatrzuje się rączym jego hasankom.

To też minawszy promy, spostrzegasz zaraz oznaki tego przywiązania, mniejsze i większe domki i chaty porozrzucane tu i owdzie pod wzgórzem, dalej na lewo porządnie zbudowany Witaniów z karczmą imponującą dachem szerokim i wysokim, i ocienione drzewami Podzamecze.

Do tego Podzamecza zmierzałem miły czytelniku od początku mojej powieści, bom zaraz na wstępie powiedział, że mi nie miasto i jarmarki w głowie.

Kilka lat dobiega jak porzuciłem lubelskie strony, nie wiem więc czy zaszła jaka zmiana w lokacji Podzamecza, stanowiącego główną siedzibę dóbr łeczyńskich, ale za owych czasów, kiedy je widziałem, stary dwór dotykający z trzech stron cienistego ogrodu, pochylony i za ledwie nie upadający, patrzył żałośnie przez o-

kna, które czas przygniótł do ziemi, na gruzy rozwalonej baszty, na poniewierające się po podwórzu cegły, jedyne świadki tradycyjnie przechowywanej przeszłości!

Z rozlicznej zapewne zgrai towarzyszy pańskiego dworu, pozostały tylko w podwórzu dwa równie stare, równie pochylone domki, jak dwaj starzy słudzy, którzy widząc pana pochylonego ku grobowi, dumają kto im oczy zamknie i kto im pogrzeb sprawi.

Krzyż drewniany ze wzgóрка pomiędzy rozdrożem, wyciąga kutrzem starcom święte swoje ramiona, jakby chciał zwrócić uwagę na słowa, w których pobożny fundator prostym dźwiękiem wyrył prostą, ale wiele znaczącą myśl: Boże zachowaj nas od złego.

Wszędzie zgrzybiałość, wszędzie czas zostawił swoje ślady, nawet rozłożyste lipy w ogrodzie choć okryte zielonością, ale szmerem poruszającym grube ich konary, szepczą, że nie jedna wiosna przemknęła się po nich i nie jeden wiatr jesienny bujał z niemi! Równy pod linją siedzą poważne matrony: prawie u każdej pierś i szaty podarte, prawie na każdej znać ślady burz i piorunów. Teraz jedyna ich przysługa, jedyny użytek: cień, w którym spracowany

chłopek odpocznie, albo panna komissarzówna dźwięcznym głosikiem o Filonie zanuci.

Za ogrodem poważnym i miłym, widać folwark z porządnymi zabudowaniami i z dworkiem, który pewnie młodość podzameckich rówienników pamięta.

W tym to dworku około roku 1806 mieszkał podstarość pan Paweł Brożek, chudy pacholek, ale szlachcic herbowy i potomek zamożnej niegdyś rodziny.

Dobra Łęczynskie należały wówczas do feldmarszałka wojsk pruskich Kalkreutha, wielkiego magnata, o którego dostatkach i hojności cuda, jak o żelaznym wilku rozgadywano. Czy on istotnie był tak bogaty i hojny, trudno było sprawdzić, bo nabył dobra dla sławy, ale ich oczyma nie widział i nie troszczył się o nie wcale. Majątkiem zarządzał jakiś berlińczyk, który obiecując feldmarszałkowi, że z Łęczyny zrobi Wrocław, a z popielanki i glinki Egipt, posyłał mu rachunki na pięknym welinowym papierze czytelnie wypisane, dowodzące że na intratę musi czekać, a tymczasem tę intratę pakował w żelazne kufarki i wysyłał do Berlina, aby mu lekko było w razie potrzeby uciekać.

Pan rządca nienawidził Polaków i byłby się

ich w jednej chwili pozbył, gdyby nie to, że sam feldmarszałek kazał miejscowych ludzi utrzymać, groził jednakże, że przy zdarzonej sposobności postara się dokonać co miał na myśli. On groził, a oni patrzyli; a że szydło w worku się nie utai, więc jakoś raptem rozeszła się wieść, że feldmarszałek darował Łęczną swemu synowi, i że ten nowy pan ciągnie z okazałym dworem ku Polsce jakby na zajęcie jakiego udziałnego księstwa. Niemiec zmiękł jak lód marcowy, a zahukani podwładni podnieśli głowy i zaczęli jawnie to i owo przebąkiwać.

Między temi niepoślednie miejsce trzymał Brożek, raz, że niejedno kwaśne jabłko zgryzł od Niemca; drugi raz, że w sercu jego oddawna gnieździła się myśl podniesienia w jakikolwiek bądź sposób, zubożalego rodu i zdobycia grosza choćby kosztem sumienia i uczciwości.

Myśl ta niejednę nocy rozpędzała sen cisnący się gwałtem na znużone całodzienną pracą powieki; ale choć często gościła i kradła najdroższe chwile spoczynku, ani razu nie mogła jakiej skutecznej choćby najkrętszej ścieżki wynaleść. Wszelkie sztuki podstarościch, podchowywanie bydełka, wyprzedzanie półsetków, dodatnia kreska w stodole, a ujemna w szpichle-

rzu, były to rzeczy tak drobne, że przy hulaczkim życiu od jakiego nie mógł odwyknąć, za ledwie na opędzenie tak zwanych koniecznych potrzeb wystarczały.

Skoro więc ten i ów zaczął bąkać, że *Niemca pewnikiem djabli wezmą*, Brożek pomyślał sobie: kaduk nie śpi, a nuż jakim cudownym sposobem wpadnę w oko nowemu panu, i zostanę rządcą łęczyńskiego klucza? Uśmiech zadowolonia przebiegł pomiędzy sumiastemi wąsami w ślad za tą myślą, i od tego czasu pan Brożek zaczął wyżej nosa zadzierać i częściej potrząsać kańczukiem, bo zdawało mu się, że szczęście serdecznym palcem kiwnęło na niego.

Czy Brożek pragnął lepszego bytu dla tego tylko aby sam jadł, pił, a nie pracował, czy też pragnienia te pochodziły z jakiego szlachetniejszego celu, trudno zgadnąć i trzeba tylko dodać, że Brożek miał jedyne dziecko, jasnowłosą Dorotkę, kończącą właśnie ośmnasty rok życia.

Dorotka cicha, skromna, poprzestająca na dreliszkowej sukience i świeżym kwiatku do gładko uczesanych włosów, nie domyślała się, że ojciec trawi bezsenne noce nad rozmyślaniem jakimby sposobem porzucić stan z którym jej było tak dobrze, i zamienić go na inny, może spokojem całego życia okupiony.

Ona jak konwalja, która nie w sztucznych ogrodach, ale w cienistym gaju wyrosła, rozsyłała swe wonie nie ludziom, nie światu, ale Bogu, który ją odział w tak cudne sukienki i słowikom wyśpiewującym na jej cześć słodziutkie pieśni. Co ją mogli obchodzić ludzie i świat, kiedy ona utonęła w rozmyślaniach o innym świecie, gdzie nie ma ni pałaców, ni karet, ni szat złotem przetykanych; gdzie jedynym okryciem i ozdobą, sukienka niewinności biała, jasna, anielska.

Ludzie się dziwili, że Dorotka taka piękna, taka urocza jak nadwodna Rusałka, nie zateśkni ni za skrzypkami, ni za tańcem, że od chłopców zabiegających jej drogę, odwraca niebieskie oczki, że prawie całe dnie w kościele w chórze przesiedzi. Ojciec nieraz spraszał panów pisarzy a nawet czasem młodych dzierżawców z okolicy, sprowadzał huczną kapele z miasteczka, aby się dziewczę rozerwało, a Dorotce łązy się w oczach kręciły, kiedy podawała rączkę do tańca, i wciąż tylko patrzyła na obrazek wiszący nad łóżeczkiem, czy się jej patronka za to na nią nie gniewa.

Ten obrazek mały, w czarnych bejcowanych ramkach miłszym jej był, nad wszystkie zaba-

wy na świecie, nad zaloty choćby najpiękniejszych i najbogatszych chłopców. Co dzień rano zaledwie otworzyła oczki, już spojrzenie jej spoczywało na obrazku, już się rachowała ze snami, czy który z nich nie zawstydziłby jej przed świętą patronką i czy nie ma za co prosić o przebaczenie. Przez cały dzień ile razy lekko jej stopki przebiegały przez izbę, tyle razy, oczki spotykały się z obrazkiem, tyle razy serce pomówiło z nim modlitwę. A gdy nadszedł wieczór, toż to było obrachunków i prośb, to za siebie, to za ojca, to za duszę matki, to za wszystkich ludzi biednych i grzesznych, którzy nie mieli swego obrazku i swojej patronki.

Najczulszą jednak zawsze była modlitwa za duszę matki, bo Dorotka przypominała sobie przy niej wszystkie koleje swego biednego życia. Stawała wówczas przed jej oczyma matka huśtająca drobne dziecię, wyśpiewująca mu śliczne piosnki, potem mówiąca o Bogu, o Matce Bożej z małym dzieciątkiem, przenajświętszym Jezusem na ręku, o wielkiej szczęśliwości świętych, o ich wierze, poświęceniach, męczeństwach, o jasnych aniołach unoszących się wokoło tronu Przedwiecznego i wyśpiewujących cudne pieśni, potem ucząca ją pacierza i modlitw

do Matki Najświętszej, potem przywożąc ją z odpustu obrazek Śtej Cecylji i mówiąca: „Moja dorotko! moje drogie dziecko, *to moja patronka*, kochaj ją serdecznie; bo ona ci kiedyś matkę na ziemi zastąpi,“ potem leżąc długo, bardzo długo na łożu boleści, a potem błogosławiając ją stygnącemi rękoma i mówiąca: „Dorotko! umieram, pamiętaj o mnie, módl się za moją duszę, kochaj świętą patronkę i wierz mocno, że ona cię nie opuści, nie da popaść w grzech i niełaskę Bożą!“ I biedna sierota gorącemi łzami oblewała te wspomnienia i przyciskała do piersi obrazek Śtej patronki, którego się ręce jej matki dotykały, i który sierocie matkę na ziemi zastępował.

Raz wśród takich rozmyślań oczy jej spoczęły na klawiszach organów, po których ręce S. Cecylji zdały się z dziwną lekkością przebiegać; pytała ojca coby to znaczyło, że jej patronkę odmalowano przy organach? Ale ojciec nie mógł jej tego wytłumaczyć, udała się więc do księdza proboszcza, którego w słowach pełnych natchnienia, opowiedział jej życie Ś. Cecylji i dodał, że aniołowie święci nauczyli ją gry na organach, i rozkazali aby talent swój na usługę Bogu poniosła.

Opowiadanie to silnie utkwilo w młodej pamięci, i Dorotka zapragnęła naśladować swoją patronkę. Co wieczór oblewała łzami śliczną twarzyczkę, prosząc o tę łaskę, wzywając swoją Śtą patronkę o pomoc, i raz po bezsennie strawionej nocy, udała się do proboszcza, prosząc aby jej pozwolił zagrać na organach.

Zdziwił się starzec usłyszawszy tę prośbę, ale gdy rzucił spojrzenie na opromienioną niebiańskim światłem twarzyczkę dziewczęcia, gdy wysłuchał jej słów prosto z serca płynących, zezwolił i sam udał się do kościoła, aby gry jej posłuchać.

Z bijącym sercem wstępowała Dorotka na stopnie chóru, ale gdy weszła i objęła wzrokiem klawisze organu, gdy obrazek Śtej Cecylji odbił się w jej duszy, usiadła śmiało i zagrała.

Dziw! cud! z pod klawiszy wyszły tony takie rzewne, takie wzniosłe i smutne, że słuchający upadli na kolana, bo zdało się im, że aniołowie zstąpili na ziemię, aby ludzi tonami Boskiej pieśni obdarzyć.

I odtąd dziewczę codziennie kilka godzin spędziło na chórze, kształcąc talent dany od Boga. Gra jej wkrótce rozstąpiła się w okolicy, tłumy ludu zgromadzały się do kościoła łeczyńskiego,

aby usłyszeć dziewicę grającą cudownie na organach; i miały się po co zgromadzać.

Zpod jej drobnych rąk wychodziły tony pełne wzniosłości i natchnienia.

Kiedy na *glorja* przycisnęła pedały i uderzyła silniej w klawisze, to zdawało się że słyszysz chór archaniołów, upadających na twarz przed Panem Zastępów i śpiewających pieśń jego wielkości; na *Ewangelię* dusza twoja drżała przed majestatem tego, który świat słowem i poświęceniem zbawił i odkupił, a *wśród ofiary* przy cichych serdecznych uroczych tonach, nie mogłeś łez utrzymać ani nad sercem panować. Lud czczył cudowną dziewicę, bo widział wyraźnie rękę Bożą, kierującą jej natchnieniem i biegł tłumnie do kościoła łęczyńskiego aby daru łaski być uczestnikiem.

A potulna dziewczeczka ani myślała o tem, że ją taka cześć i sława cudowności otacza. Z anielską pogodą na czole, z wdzięcznym uśmiechem zadowolenia na ustach, z pokorą w sercu, biegła od kościoła, ścieżką po za ogrodem do domu wiodącą i klękała przed obrazkiem Ś. Cecylji i dziękowała jej czule, że się ani razu w grze nie zmyliła i z nut w duszy wypisanych wygrała Wszechmocnemu pieśń natchnieniem podaną.

Ojciec cieszył się z uwielbienia olaczającego dziewicę, ale cieszył się jak człowiek, któremu w głowę zajechała myśl światowego wyniesienia się. Co mi tam z tego, że Dorotka gra pięknie na organach, myślał w niejednej wolnej od pracy chwili, przecież organisciną nie będzie, ani jej to majątku nie da, ot tak sobie dobra zabawa. Niech no ja będę rządcą, to jej sprawię taki, jak go tam zowią, *organ z ogonem* i przyjmę Niemca, żeby ją pięknych walców grać nauczył.

Gdy córka co rano z ochotnym sercem bieży do służby Bożej, a ojciec rozmyśla o rządztwie i organach z ogonem, raptem rozchodzi się wieść, że młody graf Kalkreuth, jest już w Lublinie i że przysłał swojego dworzanina barona Brunnera, aby przygotowania do pańskiego wjazdu poczynił.

Pan baron, który utytułował się przyjacielem hrabiego Kalkreutha, stanął w Podzameckim dworze; ale gdy nazajutrz o godzinie jedenastej obudził się, skrzywił nosa, że to nie pałac, ale tak sobie stare polskie dworzysko, nie podobał mu się i ogród, w którym nie było wodospadów, sadzawek, altanek i cienistych gajków, przywołał pana rządcę i nawymyślałszy mu od *tejsłów*,

kazał mu się zaraz wynosić. On niegdyś wielki pan, położył uszy na sobie, spakował tłomoczek, i cicho jakby z popasu zabrał się najętą furką, a pan baron rozpoczął rządy od wydania rozkazów do przygotowania świetnego balu i iluminacji. Co żyło wszystko stało na rozkazy pana barona, dwadzieścia furmanek wysłano do Lublina po czerwone sukno, lampy i inne przybory, kilku pisarzy rzuciło się ku kramom w miasteczku po perkale, dreliszki i gazy, na festony i upięcia, kilkunastu żydów rozesłano po trunki i korzenie, pieniądze posypały się jak grad z przepelnionej chmury; i wszyscy krzyknęli *co to za wielki pan*, co będzie jechał blisko milę po drodze czerwonym suknem wybitęj, co z nocy robi Boży dzień i z cichęj Łęczny cudo przepychu i zbytków.

Pan baron porozsyławszy gońców, wyszedł przejrzeć okolicę, dla dokompletowania planu i idąc brzegiem wzgórza zaszedł na folwark.

Okno dworku było otwarte, Dorotka, stojąc na stoliczku pod oknem, zakładała słowikom w klatce u wierzchu okna zawieszonęj, świeżą bułkę, i spiesząc się, bo już na nieszpory drugi raz przedzwoniono, postawiła jedną nóżkę na ramie okiennęj, aby łatwiej dostać się do klatki i swoich pieszczochów pożywić.

Pan baron, właśnie w tęg chwili koło okna przechodził, zastanowiła go zgrabna postać dziewczynki, a kiedy spojrzał na wysuniętą małeńką nóżkę, kiedy objął wzrokiem cudne jęg kształty, zastanowił się i nie mógł wyjść z podziwienia, że odkrył taki skarb wśród dzikięj, jak ją nazwał pustyni.

Dziewczę tymczasem zeskoczyło ze stolika i w okienku ukazała się jęg śliczna twarzączka, zapełniona rumieńcem, który widok obcego i ciekawie wpatrującego się w nią człowieka wywołał.

Pan baron był niegdyś przy ambasadorze pruskim w Polsce i poduczył się jako tako polskiego języka, podszedł więc bliżęj, uklonił się i rzekł:

— A skąd panienka tu się wzięła?

Zadziwiło Dorotkę to zapytanie, odpowiedziała jednakże śmiało.

— Jestem tutejsza, córka podstarościego.

— A jak się on nazywa?

— Brożek.

— Brożek... hm... czy jest ojciec panienki?

— Nie ma, bo pilnuje kossarzy.

— Hm... posłać zaraz po niego i powiedzieć że baron Brunner plenipotent grafa Kalkreutha chce się z nim zaraz widzieć.

Dorotka zadrżała, bo pan baron wlepił w nią wzrok jakiś dziwny, pożądlivy, i przysuwając się do okna, wyciągnął rękę po jej dłoń na stoliku opartą. Dorotka cofnęła ją w jednej chwili.

— Czego się panienska boi? ja lubię takie ładne panienki.

Dziewczę nic nie odpowiedziało, tylko rumieniec oblał całą jej twarzyczkę. Ośmielony tem pan baron dodał:

— No, daj panienska rączkę, ja sprawię piękną materjalną sukienkę, i dam na szpilki samych złotych frydrychsдорów.

Dorotka nie wiedząc co robić, zatrzasnęła okno, zasunęła na rygiel drzwi i skryła się do drugiej izby.

Łzy rzewne, gorące, łzy obrażonej godności oblały jej twarz smutkiem i przerażeniem miotaną.

Pan baron ruszył ramionami i spotkawszy parobka, wysłał go po pana Brożka.

Podstarości siedział na świeżym pokosie, kurzył krótką lulkę i bawił się ulubioną myślą o rządztwie w Podzamczu, układał sobie, że przyjmie zaraz na ekonomów dwóch przyrodnich braci, a na pisarza siostrzeńca nieboszczki swjej żony, że pszenicę sprzedawać będzie Jankłowi,

bo on bardzo grzecznie się kłania i zawsze pod papiery coś wsunie, że trzymać będzie dryndulkę z psami i nie ruszy się inaczéj, tylko czterema kołmi z forysiem, gdy nadbiegł zadyszany parobczak i oznajmił, że pan baron prosi go do siebie.

— Pan baron mnie prosi, mruknął Brożek przez zęby i musnął wąsa, poprawił spinkę u koszuli, rzemieniak na żupanie, okurzył buty, i podwójnym krokiem posunął ku Podzamczowi.

Pan baron czekał go w bramie.

— Jak się aspan masz? rzekł konfidencjonalnie, gdy Brożek zdjawszy rogatkę, kłaniał mu się uniżenie.

— Sciele się do stóp JW. barona.

— No, mój panie, widzę żeś porządny człowiek, i jak pan graf zjedzie, nie zapomnę o tem powiedzieć.

— Usługi moje zawsze gotowe dla JWW. panów.

— Ale masz ładną córkę, widziałem ją, tylko jakaś dzika, uciekła odemnie.

Ho! dobra nasza, pomyślał sobie Brożek. Dorotka podobała się naszemu panu baronowi, ani chybi, ja będę rządcą, a ona panią baronową, i dodał głośno.

— Oswoi się to, oswoi JW. panie, ot tak zwyczajnie w domu wychowane, ale cnotliwe, niewinne jak baranek.

Nie podobały się te ostatnie pochwały panu baronowi, bo rzekł głośno.

— O to tam mniejsza, tylko powiedz jój aspan niech odemnie nie ucieka i na drugi raz będzie grzeczniejsza.

— Dobrze JW. baronie.

— Ale to na tem nie koniec, na przyjazd pana grafa ma być bal, otóż ja chcę żeby na tym balu była twoja córka i wszystkie ładne dziewczęta z całych dóbr, ubrane jednakowo, nie wiem jak to tam nazywacie, ale tak, w krótkich spódniczkach naszywanych galonami, w czerwonych i niebieskich gorsetach, z koralami i paciorkami na szyi. Aspan masz dobry gust, weź więc pieniędzy z kassy co zechcesz i spraw co będzie potrzeba, tylko twoja córka niech mi wygląda pięknie i niech nie będzie głupia, rozumiesz mię aspan, a może zrobić wielką karierę.

Brożek się skłonił, a pan baron dalej mówił:

— Dziewczęta wybrać gładkie, rumiane, i powiedzieć im, że oprócz stroju, dostaną jeszcze po dukacie złotem. Twoja córka będzie jak królową, niechże więc ma we włosach koronę.

Koronę! pomyślał sobie Brożek, co to będzie zazdrości w mieście! Jeszcze raz nisko się pokłonił.

— Spraw się aspan dobrze, a pan graf będzie z niego kontent.

Jednym tchem stanął uradowany Brożek przed córką.

— Dorotko! moje serce, wołał jeszcze z sieni, szczęście! wielkie szczęście! podobałaś się panu baronowi, zaprosił cię na bal...

Dorotka tonęła we łzach.

— Co ci jest, moje dziecko? zawołał pan Brożek stając w progu i nie tracąc ani jednego rysu z uradowanej miny.

— Ojczy ukryj mnie gdzie na wsi, albo odezlij do ciotki.

— Dla czego?

— Bo ten pan baron...

— Dziewczyno, stroisz fochy djabeł wie dla czego, rzekł surowo pan Brożek, rzucając kapelusz na stół. Powinnaś Bogu podziękować, że przez ciebie wyjdziemy z biedy, że ja będę rządcą w Podzamczu, a ty wielką panią.

Bądźże mi zaraz cicho, dodał łagodniej, bo wiesz, że ze mną nie przelewki i słuchaj: we czwartek ma być wielki bal, ale to bal królew-

ski, porozsyłano na cztery strony świata po różne rzeczy, tylko ptasiego mleka nie będzie, a ja mam polecenie zebrania wszystkich ładnych dziewcząt z całych dóbr i ustrojenia ich jak lalczki; ty będziesz ich królową, rozumiesz mnie Dorotko, królową!

Dziewczę stało blade, nieruchome jak posąg.

— Cóż, nic nie mówisz?

— Nie.

— Dla czego?

— Bo na tym balu nie będę.

— Ho! ho! zapewne, od kiedyż to kurczęta mędrsze od kur?! Pannie widać różki odrosły, ale przytrzymaj je, przytrzymaj; słuchaj, ja tak każę i dosyć.

Dorotka odeszła na bok, załamała rączki i głośno załkała. Pan Brożek nie zważając na to, kazał zaprządzić konie do bryczki i pojechał do miasteczka po towary. Wrócił wieczorem i z twarzy jego płomieniejącej, można się było domyśleć, że i o szklance nie zapomniał. Huczno i szumnie wtoczył się do izby, a za nim wniesiono kilka pak towarów.

— No i cóż Dorotko! jeszcze fochy?... patrz co to za śliczności, aż się oczy rwą do nich, ustroję cię jak pieścidełko bo pan baron tak kazał.

Dorotka siedziała w kącie nic nie mówiąc.

— Chodźże tu zaraz bo cię każę włodarzom sprowadzić! A to kara Boska z temi grymasami, człowiek mało ze skóry nie wyskoczy, taki rad że przecież raz wylezie z biedy, a tu u jejmościanki muchy w nosie.

Dziewczę zbliżyło się do stolika na którym leżały porozkładane towary.

— Patrz mówił pan Brożek z zadowoleniem; ten cieniuchny i tak ślicznie haftowany rąbek to dla ciebie na spódniczkę, a ta pasowa lama, co stoi jakby była z blachy na gorsecik, obszyjemy go taśmą złotą i będzie caceczko, trzewiczki kupiłem ci na wysokich obcasach, żebyś miała ładną nóżkę. Pan baron oszaleje jak cię zobaczy.

Dorotce śzy ciekły sznurem po bladej twarzy.

— A bodajże cię djabli wzięli, krzyknął pan Brożek, z twoim płaczem, beczy jak sześcioltni berbeć! Idź precz i nie pokazuj mi się dzisiaj, a jak jutro będziesz beczeć, to cię tak uczęstuję, że moją rękę długo popamiętasz.

I odtrącił biedne dziewczę od siebie, targnął węża, wybił dwóch włodarzy, wyłajał karbowego i układał się na spoczynek, aby swobo-

dniój marzyć o rządztwie łeczyńskim i o wzglę-  
dach pana barona.

Gdy wszystko ucichło, dorotka zerwała się z posłania i uklękła przed łóżeczkiem. Łzy długo wstrzymywane, polały się strumieniem i z głębi serca zawołała:

— O moja kochana matko, ratuj mię!

Jednocześnie zdało się jój, że obrazek Śtój Cecylji zajaśniał jakimś cudownym blaskiem, spojrzała uważniej, rzeczywiście, dziwnie piękne i jasne promienie otaczały go dookoła. Struchlała, nie wiedziała co z sobą zrobić, gdy głos jakiś miły anielski przemówił do niój.

— Bądź mężna, Dorotko, i mnie chciano oddać Walerjanowi, a anioł stróż ustrzegł mój niewinności. Nie trwoż się, łaska Boża z tobą i wkrótce Bóg Ojciec powoła cię do swego tronu.

Obejrzała się, nikogo w izbie nie było, tylko przy świetle promieni z obrazku bijących ujrzała rękę trzymającą nad jój głową wieniec z białych lilji. Zapach tych lilji napełniał całą izbę precudną wonią.

Cień matki przesunął się przed jój oczyma, unosząc nad nią ręce z błogosławieństwem. — Radość, bojaźń, zachwycenie, miotały nią na przemiany, usta nie mogły wydać głosu, serce

upadło pod brzemieniem tylu uczuć, rzuciła się twarzą na ziemię, nie mogąc podnieść oczu na tyle wielkich widomych cudów.

Gdy świt ranny zaczął zazierać w okna, Dorotka powstała, spojrzała na obrazek, nie był już otoczony tą cudowną jasnością, tylko promień jutrenki migał po nim przelotnie. Otworzyła okno, miły chłód owiał lica, osuszył łzy, mogła zebrać uwagę i zastanowić się nad tem co widziała i słyszała.

— Powiem ojcu o wszystkim, pomyślała sobie, on mnie przecie wysłucha, nie będzie się sprzeciwiał woli Boskiej, a moja święta patronka i moja matka wzruszą jego serce.

Nadzieja ta odezwała się w duszy biednego dziewczęcia tonem słodkiej pociechy; z nią rześniej już spojrzała na świat Boży i trawka w ogródku wydała się jój zielenszą i śpiew słowików wdzięczniejszy.

Tymczasem w podwórzu zaczęto się krzątać, obudził się i pan Brożek, przyszli włódarze z oznajmieniem, ile dziewcząt z każdej wsi zakazali z powinności na bal. Pan Brożek spisał ich nazwiska, kazał je zwołać zaraz do dworu i wysłał po krawców do miasteczka.

Dorotka wszystko to słyszała, i modliła się

gorąco do świętej patronki, aby odwróciła od niej i gniew ojca i przygotowane przez niego dla niej szczęście.

Uradowany dobrymi wiadomościami pan Brożek, rozsiadł się przed kominem na którym w kwartowym garnku grzało się piwo, zapalił fajkę i puścił wodze zwykłym myślom. Dorotce zdało się, że to jest chwila najstosowniejsza; zbliżyła się drżąc cała od strachu i przyklękła u nóg ojca.

— A co, nie powiedziałem, rzekł wesoło głaszcząc ją po twarzy, przychodzisz mnie przeproszać za wczorajsze fochy, dobrze, dobrze, nie gniewam się, moje złotko.

Dorotka głośno załkała.

— I znowu szloch? a do stu tysięcy pionów, co tobie jest dziewczyno?

— O nie krzycz na mnie ojcze! wyjąknęło biedne dziewczę, bo umrę ze strachu, nie krzycz i pozwól powiedzieć o tem com ja dzisiejszej nocy widziała i słyszała.

— Cóż takiego?

Dorotka nie podnosząc się z ziemi i ściskając ciągle nogi ojca, opowiedziała cud widziany w obrazku, i powtórzyła słyszane słowa.

— Zawsze ten obrazek! krzyknął pan Bro-

żek zrywając się ze słołka; kto kazał grać na organach? obrazek; kto każe sprzeciwiać się ojcu? obrazek, a to już tego nadto!

Poskoczył ku ścianie, zerwał z niej obrazek i rzucił go w ogień na kominie.

Dorotka załamała ręce, z bolesnym rozdierającym jękiem przyskoczyła do komina, wyrwała swój najdroższy skarb z płomieni, i obydwoma rękami przycisnęła go do piersi.

— Oddaj go, krzyknął Brożek.

— Ojcze! zlituj się, spal mnie, a zostaw święty, cudowny obrazek.

— Słyszysz, oddaj go!

— Ojcze! co każesz zrobić, a zostaw mi obrazek.

— Będiesz na balu?

— Będę.

— No, to twoje szczęście, ale pamiętaj, jedną łzę zobaczę, a z obrazka tylko popiół zostanie.

— O nie zobaczysz ojcze, nie będę płakać ani razu, ani jednej łzy nie zobaczysz, tylko nie dotykaj się obrazka.

Pan Brożek uśmiechnął się, jak człowiek który łatwym sposobem zwyciężył przeciwności, i wrócił do swojej fajki i do swego piwa; a Do-

rotka? O, co się działo w jej sercu, tego bodajby żadna z dziewic nigdy nie doświadczała w życiu: gwałt, przymus zadany najświęszymi uczuciom, to boleść największa, to męki których trudno określić! biada cierpiącym, ale biada i tym którzy te cierpienia zadają!

Piękna, cicha noc czerwcową dochodziła do połowy.

Podzamcze pogrążone było we śnie, czasem tylko koń parsknął w stajni, puchacz odezwał się ze spichrza, albo stróż folwarczny koło stodoły w grzechotkę parę razy zakolał.

Wieprz pluskał, trącąc o przybite linami do brzegu tratwy, na których jeszcze gdzieś błyszczały niedogaśnione ogniska, ślady wieczerzy orylów: młyn pływak hałasował, szamocąc się z rzeką, a słowiki jakby im szło o pierwszeństwo, wywodziły cudownie swoje tony.

Poważne lipy w ogrodzie nie mogły się wydziwić co się stało. Dawniej nikt ścieszki nie przemiótł, ani zimowój kory nie oskrobał, teraz obcięto je, wyrównano, oglądano, jak panny młode do ślubu, a pomiędzy niemi nastawiano altanek, meczecików, kiosków, ślicznych, lekkich, ozdobnych bez liczby. Ulice wygracowa-

no, usypano zwirem i piaskiem, po bokach ustawiono jakieś niby pyszne zamki, jakieś bramy ze sztucznymi nadglówkami. Wszystko zapowiadało wielką uroczystość o której dawniej nikt ani we śnie nie marzył.

Pan Brożek spał wyśmienicie, bo się ucieszył że Dorotce zupełnie wybił z głowy fochy, że widział ją przymierzającą spódniczkę i gorsecik, że przy tem wszystkim ani razu nie zapłakała i marzył we śnie o jutrzejszym balu, o panu grafie, który go obok siebie posadzi, o panu baronie który Dorotkę wszystkim prezentować będzie, mówiąc: to moja narzeczona, z niej będzie wielka pani. To znowu ze zmianą marzenia, liczył śliczne nowe nieoberzniete dukaty i chował je do kuferka, kupował ulubione od siebie dobra Krzesimów, rozsiadał się w pięknych komnatach, popijał doskonałego węgryna i t. d.

Pan baron nie spał, przewracał się z boku na bok i myślał o Dorotce, o jej ślicznej twarzyczce, o utoczonych nóżkach i układał sobie projekta jak to tę gąskę wiejską podejść i starego Brożka ugłaskać. „Jęj dam parę tysięcy na posag mówił do siebie, a staremu wyrobieniu rządztwo w Łęczynie i będzie kwita.“

A biedna Dorotka zawijała w chusteczkę ca-

łe swe mienie, parę sukienek, trochę bielizny, niebieską zarzutkę od święta, i zalewając się rzewnymi łzami, żegnała się z domkiem, który widział jój dziecięce lata, w którym żyła jój matka, i w którym jój tyle dni błogich, swobodnych upłynęło.

Ostatnie obrócenie grzechotki dawno już przebrzmiało, w podwórzu ucichło zupełnie. Dorotka uchyliła okna, posłuchała chwilę, wzięła na plecy tłomoczek, przycisnęła do piersi obrazek, przyklękła, ucałowała ziemię której się jój stopy przez tyle lat dotykały, westchnęła boleśnie, przeżegnała się krzyżem świętym i wybiegła.

Szelest jój drobnych kroków przerwał na chwilę ciszę, białe szaty mignęły się tylko kilka razy i znów wszystko wróciło do dawnego stanu, i znów folwark Podzamecki spał twardym, ciężko, bo w pocie czoła zapracowanym odpoczynkiem.

Dorotka wybiegła na drogę; idąc szybko prawie jednym tchem minęła Ludwin, a kiedy dochodziła do jeziora Dratowskiego, już jutrzienka promieniła wschodnią stronę nieba.

Wiedziała że ciotka jój mieszka pod Włodawą, wiedziała, że do Włodawy idzie się przez Nadrybie, ale jak trafić do Nadrybia przez lasy

i bagna? jak ująć pogoni która pewnie gościńcem za nią pospieszy? biedne dziewczę gubiło się w myślach, nie mogąc żadnej skutecznej wynaleść.

Uklękła przed cerkwią dratowską, i pomodliwszy się gorąco, weszła w las gęsty sosnowy, poprzerzynany rozmaitemi drożynami. Jedna z nich zdała się jój być znajomą, wybrała więc ją, i pilnując się jój kierunku, biegła bokiem aby ująć ludzkiego oka.

Ale drożynka coraz bardziej niknęła; już za ledwie ślady zarostych trawą kolei widać było. Dorotka struchlała, sama jedna w gęstym czarnym lesie, a zniskąd nadziei, pomocy i ratunku. Rzewne łzy puściły się jój z oczu, strach ścisnął serce. To nie może być droga do Nadrybia, pomyślała sobie i wróciła.

Uszedłszy z pół mili, trafiła na drogę szerszą i równiejszą, słońce wzbilo się już wysoko, upał dokuczał, siły biedną opuszczały, usiadła pod dębem aby cokolwiek odpocząć.

Wtém zdało jój się, że słyszy głosy ludzkie i tętent koni, myśl że to może pogoni za nią, przemogła znużenie, zerwała się i zaczęła biedz prędzej nie zważając, że drożyna coraz bardziej się zwięza i prawie niknie. Zmęczona, głodna,

znękana pragnieniem, traciła przytomność, błąkała się w różne strony, gdzie tylko jakikolwiek ślad ścieżki ją prowadził. Wtem drzewa zaczęły się przerzedzać i w dali widać było wyraźnie jakąś przestrzeń ogromną lasem nieokrytą. Słońce tylko co miało zachołzić, nie-szczęśliwa tułaczka wydobywała ostatki sił, aby co prędzej wyjść z lasu, nadzieja obiecywała jej, że znajdzie wioskę a przynajmniej chatę, gdzieby ją choć z litości pożywiono, tymczasem jakąż była jej boleść, gdy dobiegłszy do krańców lasu, ujrzała się u brzegu wielkiego nieprzejrzanego a czystego jak zwierciadło jeziora. Ani chatki, ani śladu ludzkiej stopy nie było, łódka tylko stała u brzegu przywiązana cienkim zczerniałym sznurkiem do koła służącego jej za kotwicę.

— O Boże, mój Boże! zawołała biedna, gdzież ja się teraz obrócę?! I głośne łkania powtórzyły tysiączne echa.

Wspaniały, prześliczny był widok jeziora. Zachodzące za wierzchołki drzew słońce, kapało w niem swoje jasne promienie, farbując kolorami tęczy lekkim wietrzykiem poruszane fale. Na całej nieprześcignionej okiem przestrzeni, ani jednego zdźbła oczeretu, ani jednej trzcinki,

wszędzie woda spokojna, gładka, przejrzysta, a w około téj majestatycznej wanny rusalek, poważne wyniosłe sosny, jak strażnice rozciągają mszyste konary, aby się oczy ludzkie nie tak łatwo do niej dostały.

Dorotka słyszała nieraz dziwne rzeczy opowiadane o tem jeziorze, nazywano go piasecznem, bo też istotnie na dnie jego od brzegu do brzegu nie było ani garstki mułu, wszędzie piasek i to niezwykajny, ale jakby z plewy odwiany, taki pełny i ważny. Nieraz gdy prządki zasiadły kółko przy kominie, to dowoli się nasłuchwała o dziewicy kręcącej się młynka na środku jeziora, o prześlicznym chłopcu z kędzierzawemi włosami, wabiącym do łódki zabłąkane dziewczęta, o smoku z ognistemi oczyma, który rybakom drze niewody, i choć pragnęła poznać to osobliwsze jezioro, ale jakoś nigdy zebrać się do niego nie mogła. Teraz stały jej w myśli wszystkie te słyszane dziwy, strach ścisnął serce, zwątpienie walczyło z niem aby zrobić miejsce rozpaczy, gdy wtem spojrziała na swój ukochany obrazek. Twarz Stój Cecylji jaśniała taką pogodą, takim światłem zaufaniem w Bogu, którego sama jedna wśród pogańskiej rodziny pojmowała, że najbardziej

uciśnione, aby tylko prawdziwą wiarą przejęte serce, odżyłoby ufnością. Dorotka pomyślała sobie:

Moją świętą patronkę odepchnął ojciec, uwięził srogi prześladowca, grożąc jej śmiercią straszną w kotle wrzącej wody, a ona była tak spokojna, tak pewna, że Bóg ją nie opuści... A ja mam rozpaczać, tracić nadzieję?... Nie! nie! święta moja patronko, ja ciebie chcę naśladować! Uklękła i modlitwa szczerą, gorącą, odniosła zwycięstwo nad zwątpieniem.

Pomodliwszy się zaczerpnęła dłonią czystej jak ze źródła wody, uspokoiła cokolwiek pragnienie, obmyła łzy, i usiadła na pieńku ściętego drzewa, przypatrując się wspaniałej postaci jeziora.

Słońce zaszło, mrok rozpościerał szare swoje szaty, jezioro drzemało spokojnie, czasem tylko swawolna rybka plusnęła się i roztoczyła kręgi fali, czasem tylko przelatująca na spoczynek ptaszyna musnęła skrzydełkiem zwierciadlane przestrzenie. Gwar ptastwa w lesie uciuchał, kiedyniekiedy tylko kukułka zakukała na dobranoc, albo niebiesko-pióra kraska długim poświstem przypominała się swoim towarzyszkom. Dorotka dumiała o Bogu, o świętej patron-

ce, o matce, i lżej jej było z temi wspomnieniami, i mogła myśleć i modlić się.

Tymczasem odległy szum w zaroślach zwrócił jej uwagę, podniosła się, szum wyraźnie się zbijał, i zawłórowało mu straszne przeciągłe wycie. Instynkt zwrócił oczy nieszczęśliwej na łódkę u brzegu stojącą, podniosła łomoczek, ujęła w drżące ręce obrazek i wskoczyła do łódki. Po kilku chwilach szum ucichł, ale dalekie wycie powtarzało się coraz częściej, roznoszone stugębnem echem.

Wreszcie wszystko ucichło, jezioro było spokojne, ani jeden zmarszczek nie chmurzył jego oblicza, sosny szumiały i mocny zapach kwiatów aż tłoczył piersi. Znużenie dopominało się o sen, bojaźń go odpędzała, ale znużenie przemogło, i sentwardy, podniecony odurzającą wonią kwiatów, skleił nabrzękle od łez powieki.

Cudne marzenia przysły zaraz w ślad za pierwszym snem. Zdało się Dorotce, że widzi otwarte niebo i po jaśniejącej ogniem brylantów drabinie schodzących do niej promiennych w białych szatach aniołów. Z ust ich wychodziły takie śliczne pieśni, że aż serce się rozpływało, a w rękach nieśli wieńce z precudnych białych lilji. Nagle wśród nich ukazała

się S. Cecylja z obliczem ku niej zwróconem a tak pięknem, że napatrzeć się na nią nie było można, i biorąc z rąk aniołów owe prześliczne wieńce, obsypywała ją niemi i mówiła:

— Chodź błogosławiona po nagrodę cnót i ufności!

Marzenia te powtarzały się w licznych obrazach i serce Dorotki poiso się cudownym ich blaskiem i nie mogło się od nich oderwać.

Blask jakiś obudził ją, podniosła się, ale o dziwy, słońce wschodziło, a łódka była na środku jeziora, kręcąc się w kółko.

Chciała krzyczeć o pomoc, ale przypomniała sobie, że jest samą, marzenia senne odbiły się w jej duszy na jawie; ukłękła w łódce i przycisnąwszy do piersi obrazek, wzniosła ku niebu promieniejące ufnością oczy.

Nagle łódka zakreśliła się mocniej, wir pochylił ją w jedną stronę, zachwiał silniej i pograżył w niezgłębione przepaście.

Wkrótce w tem miejscu gdzie była łódka, roztoczyły się szerokie kręgi fali, wkrótce i one zniknęły i tylko słońce potokiem promieni przemknęło się po lśniących nurtach. A na brzegu jeziora stali jacyś ludzie i ścigali łódkę oczy-

ma i powiewali ku niej białemi chustami, aż póki nie zniknęła im z oczu. Chcieli ją ratować a nie mieli drugiej łódki, posłali po nią do rybaków, a tymczasem było za późno. Między temi ludźmi znajdował się i Brożek.

Gdy łódka pograżyła się w głębinie, upadł na kolana, załamał ręce i straszne zionął przekleństwa.

Rozwaga przyszła, ale już za późno.

W Podzamczu wszystko spało po balu, graf Kalkreuth niezmiernie był uradowany tryumfalnym wjazdem i hołdami jakie go spotkały; hulał, jadł, pił za dwóch. Pan baron oprowadzał go wszędzie, i wyliczając wszystkie mozolnie pokonane trudności, mówił: to ja urządziłem, to ja przygotowałem.

W dowód serdecznego zadowolenia, młody graf uprosił pana barona, aby jako najlepszy jego przyjaciel zarządził Łęczną i wyczerpawszy wszelkie wiejskie przyjemności i dawszy jeszcze jeden taki bal, wyjechał do Warszawy.

Gdy przy wyjeździe kupiec z Lublina podał rachunek za sukno do usłania panu drogi wja-

zdowój użyte i oświadczył pokornie, że chociaż rachunek o wiele przewyższa wartość wioski *Turki* pod Lublinem położonej, jednakowoż on ze szczerego afektu dla tak łaskawego pana gotów ją przyjąć w należnej summie. Pan graf jednym ciągiem pióra napisał *bewillige*, i siadł do zaprzężonego powozu, aby się co rychlej od uprzykrzonych interesów uwolnić.

Pan baron dowiedziawszy się o śmierci Dorotki, pokiwał głową i rzekł:

— Szkoda, bo była ładna.

I obróciwszy się do leśniczego dodał:

— Jutro będzie polowanie na bekasy.

Stary Brożek podziękował za służbę, rozstał się raz na zawsze z myślami o rządztwie leśniczym i wstąpił do zakonu OO. Bernardynów w Rodecznicy. Z zadziwiającą wytrwałością zniósł ciężkie próby nowicjatu; co wieczór przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela ostrą dyscypliną smagał ciało, które zgrzeszyło pychą i żądzą wyniesienia się nad stan od Boga przeznaczony.

Piaseczno zawsze czyste, majestatyczne i poważne, kiedy je widział raz ostatni w r. 1847, wieczór był podobny do tego, który poprzedził

zgon Dorotki. Rzuciłem wzrokiem po całej przestrzeni jeziora; wir na środku obracał jakąś gałąź drzewa z brzegu zaniesioną, przypomniła mi się nieszczęśliwa dziewczica, jej rezygnacja, jej ufność w Bogu, jej wielka wiara, i z głębi serca rzekłem: Panie daj nam taką *wiarę* i taką *ufność*, a świat zniknie z przed oczu naszych i widzieć będziemy tylko *cnoty*, *ludzkość* i *niebo* (\*).

(\*) Przytoczyć tu winienem zdarzenie jakiego sam byłem świadkiem: w roku 1847 wybrałem się na zwidzenie okolic Piaseczna; ze mną była matka i siostra, młoda mężatka. Gdyśmy rozplywali się nad pięknym widokiem, siostra usiadła w łódce u brzegu stojącej, przytrzymując ją tyczką w łódce znalezionej. Wkrótce krzyk jej przeraził nas, spostrzeżliśmy że łódka szybko oddalała się od brzegu, pomimo tego, że jezioro było zupełnie spokojne. Poświęcenie się służącego, który rzucił się w wodę i przytrzymał łódkę zachowało nas od trwogi, a może i wypadku. Otóż kto wie, czy baśń ludu o sile tajemniczej, przyciągającej do środka jeziora jest tylko prostą baśnią, i czy fenomen ten nie dałby się nawet praktycznie wytłumaczyć.

#### Przypisy do obrazku świętej Cecylii.

*Łeczna*, miasteczko na pozór dość niewielkie, leży w teraźniejszym powiecie lubelskim i gubernii tegoż nazwiska. Odległe od Lublina mil 3, od Lubartowa mil 3, od miasteczka Puhaczowa milę 1. Żaden większy gościniec nie łączy go ze znakomitszemi miastami, nie dodaje mu ruchu, a jednakże w tém odosobnioném, prawie i mizerném miasteczku, dwa razy do roku panuje taki ruch handlowy i płyną do niego takie masy ludności, że nie jedno murowane i na rozdrożu położone miasto, mogłoby mu tych przywilejów pozazdrościć.

O przeszłości *Łeczny*, bardzo mało można powiedzieć. Uległa ona kilkakrotnie wielkim pożarom, i jak się domyślać należy, w pożarach tych zginęły dawne przywileje i akta, któreby mogły rzucić światło na dawniejszy jej byt, i nastręczające się wątpliwości usunąć.

Mieszkańcy mówią, że nazwisko *Łeczny* powstało od *łak*, któremi jest otoczona, że niegdyś zwała się *Łączna*. Wywód ten jednakże nie trafił do mego przekonania, raz dlatego, że miasteczko położone na wzgórzu nie jest uposażone w tak znaczne przestrzenie *łak*, aby aż od nich miało wziąć nazwisko; powtóre, że gdzie tylko w dawnych drukach i aktach zdarzyło mi się spotkać z jego nazwiskiem, wszędzie było *Łeczna*, a nie *Łączna*.

Czytając odwrotnie sylaby nazwiska, znajdziemy *Na-łecz*; podobniejszém więc jest do prawdy, że ktoś z noszących ten herb, chcąc zostawić pamiątkę rodzinnego klejnotu, był dawcą nazwiska utworzonej przez siebie osadzie, a przez jakiś szczególny i niedający się dziś wytłumaczyć zbieg okoliczności, użył nazwiska herbu odwrotnie. Jest to wprawdzie domysł niedający się poprzeć dowodami, ale zawsze zasadniejszy od wyprowadzania nazwy od *łak*; gdyż na-

wet niedaleko od Łęczny, jest śliczny majątek *Naleczów*, który także od herbu właścicieli wziął nazwisko.

W dawniejszych czasach Łęczna była własnością Potockich; oni wystawili kościół i zamysłali podobno zbudować zamek. Założyli obszerne fundamenta tworzące podziemia, które ciągną się podług podań miejscowych pod całym wzgórzem, ale zamiarów nie doprowadzili do skutku, i tylko jedna niedokończona okrągła baszta, długo bardzo świadczyła o owym wielkim niewykonanym przedsięwzięciu. Od Potockich przeszła do Branickich, hetman Branicki miał często w Łęcznie przebywać. Za czasów pruskich, stała się własnością feldmarszałka wojsk pruskich Kalkreutha, wielkiego magnata, który za ledwie wiedział, że ma tam jakąś część dziedzictwa pod Lublinem. Od starego feldmarszałka, dostała się Łęczna jego synowi, który sądząc, że ma udzielne księstwo, tracił, ile tylko można było tracić. Przytoczony w powieści okazały wjazd jego do Łęczny, a następnie wielki bal w ogrodzie, rzeczywiście miały miejsce. Za sukno do usłania drogi dane, wziął kupiec z Lublina wioskę *Turkę*, a inne wydatki obciążyły hypotekę. Handlarze koni, Ormianie Krysztowicze, z ogromnemi su-

mami długów, odezwali się po kilkoletnich rządach młodego pana. Na ich i innych dłużników żądanie, po wielu latach wzajemnych procesów dobra łęczyńskie wystawione zostały na sprzedaż, i nabył je radca stanu Leon Popławski, właściciel dóbr Syrnik, głośny ze swych usiłowań do podniesienia u nas przemysłu i ruchu handlowego. On pierwszy z obywateli z wielkim nakładem wystawił w Syrnikach wielką przedzielnię bawełny, i założył wiele innych fabryk, a wreszcie także pierwszy z poświęceniem znacznej części majątku, wystawił wspaniałą cukrownię mogącą wyrobić do 60,000 korey buraków corocznie, i sprowadził do niej z zagranicy z najpierwszych fabryk maszyny. Czy usiłowania jego odpowiedziały celowi, dość jest spojrzeć teraz na Syrniki; ależ to tém bardziej przemawia, aby obywatelska jego zasługa i popęd jaki nadał, były należycie ocenione.

Można się spodziewać, że za takich rządów, jakie były w czasie dziedzictwa Kalkreuthów, i następnie pod tymczasowym i zmieniającym się nadzorem dłużników, miasteczko niewiele skorzystało. Popławski niedawno wyrestaurował stary, grożący zawaleniem ratusz, dopomógł mieszkańcom po ostatnim w roku 1846

wydarzonym pożarze, wznieść porządniejsze domy, i zamierza podobno wystawić most na Wieprzu, co jest bardzo dla Łęczny i dla zjeżdżających się na jarmarki pożądanem.

Teraz miasteczko ma kilka prostych i schludnymi domami przyozdobionych ulic, między którymi celuje jedna najszersza, zwana *Ruską*, na której w czasie jarmarków najgłówniejszy ruch się odbywa, gdzie zajeżdżają najznakomitsi panowie, i którą od tego zowią czasem *pańską*.

Kościół nie obszerny, a jednakże pięknie i kształtnie zbudowany, panuje nad całym miastem, i zdala najpierwszy ukazuje się oczom przybywających. Niedaleko od niego, ocieniony drzewami bieleje domek proboszcza, poważanego i kochanego powszechnie kapłana.

Miasteczko ma aptekę dobrze zaopatrzoną, a nie ma doktora. Dziwna rzecz, że dotąd który z rozpoczynających zawód lekarzy, nie ośmielił się osiaść w okolicy na kilka mil w około pomocy lekarskiej pozbawioną.

*Sierpiński* w opisie Lublina, który właściwie tylko jako spis wiadomości statystycznych może być uważany, powiada, że sławne niegdyś lubelskie jarmarki przeniesiono do Łęczny.

Wprawdzie Lublin miał sławne jarmarki, bo nieraz w kronikarzach naszych napotykamy wia-

domości, to o rozbiciu kupców szląskich jadących na jarmark do Lublina, to o zgromadzonych w Lublinie na jarmark znakomitych nawet zagranicznych panach, trudno jednakże przypuścić, aby Lublin dobrowolnie wyrzekł się tak znacznych korzyści, jakie miastom podobne zgromadzenia przynoszą, lub zezwolił na oddanie swych przywilejów Łęcznie.

Najpodobniej do prawdy, że w czasie srogiego powietrza, jakie często nawiedzało Lublin, jadący na jarmark kupcy z odległych stron, nie chcąc narażać życia i żałując wracać się napróżno, obrali sobie raz pobliskie miasteczko, w którym zwyczajny jego jarmark odbywał się. Zgromadziwszy się do niego, pociągnęli za sobą przybywającą na jarmark ludność. Jeżeli jeszcze do tego dobrze im się powiodło, na drugi rok nie udali się już do Lublina, ale do Łęczny, i tak powoli odzwyczaili się od dawniej ulubionego miejsca, a z niemi odzwyczaiła się także gromadnie dążąca publiczność, i tym sposobem jarmarki lubelskie upadły, a powstały łęczyńskie.

Dziś jarmarki łęczyńskie straciły wiele na swęj dawniej wziętości, ale że to dzieje się wpływem ogólnych usposobień, a nie miejscowych okoliczności, więc bardzo podobnym jest do prawdy, że Łęczną, tak jak i inne jarmarczne

miasta, straci kiedyś największą podstawę swój sławy i zamożności.

Okolice Łęczny są piękne i urozmaicone. O półtoręj mili leżą *Zawiepryce*, unieśmiertelnione piórem Bronikowskiego; dalej *Kijany*, pod którymi odbywały się nieraz liczne zjazdy lubelskiej szlachty, z małym ale kształtnym kościołkiem. *Łanuchów* dziedzictwo teraz Sufczyńskich, a dawniej, w odległej przeszłości, owego głośnego w dziejach przywódcy Hussytów *Kuropatwy*, *Krzesimów* w pięknym położeniu, z ładnym pałacykiem, i wiele innych miejsc zajmujących.

Dobra łeczyńskie posiadają grunta dobre i w znacznych przestrzeniach; łąki nad *Wieprzem* użyteczne i lasy obszerne, w których znajdują się rozległe, czyste i rybne jeziora. Kolonizacya przyniosłaby wielkie dla tych dóbr korzyści.

#### *Popielnice z czasów przedchrześcijańskich.*

Jeszcze w r. 1844, ksiądz Maksymilian Wrzesniewski, proboszcz łeczyński, zamieścił w Nrze 188 *Gazety Codziennój*, krótką wiadomość o znalezionych pod Łęczną *urnach* czyli *popielnicach*.

Czytając to, udałem się na miejsce, chcąc sprawdzić szczegóły. Na górze oddalonej od miasta, o ćwierć mili, 65 stóp wysokości, nad rzeką *Wieprzem* położonej, wśród ruchomego piasku, znalazłem pomieszane z piaskiem niezliczone mnóstwo białych kostek i szczątków naczyń glinianych. Powiedziano mi, że w r. 1844 znaleziono kilka całych urn, ale one przez nieostrożne obejście się z nimi kopiących, zaraz po wydobyciu ich na powietrze, w kawałki się rozsypały. Jedna tylko, którą zwolna odgrzebywano, pozostała w całości, i zawierała w sobie także drobne kosteczki zmieszane z popiołem. Popielnice te u spodu węższe, w najwydatniejszych częściach 12 cali średnicy obejmowały, i o ile można było uważać, poustawiane były rzędami o kilka kroków jedna od drugiej.

Widoczną jest rzeczą, że całe wzgórze kilkanaście morgów powierzchni obejmujące, mieściło w sobie i mieścić może wielką liczbę takich popielnic, gdyż piasek w tém miejscu blisko pół łokcia ruchomy, napół zmieszany jest z drobnymi kosteczkami, a o czerepy popielnic ciągle stopa ludzka potraça.

Podanie miejscowe powiada, że niegdyś w bliskości téj góry na prawo, gdzie dziś są łąki *Bo-*

*brownikami* zwane, było wielkie i ludne miasto; napad barbarzyńskich hord miał je obrócić w gruzy, które utworzyły widzianą dziś górę; ale gdyby tak było, zkadże w gruzach szczątki spalonych ciał ludzkich, i owe wydobywane popielnice?

Może być, że w miejscu, o którym podanie wspomina, istniała w odległych bardzo wiekach jaka osada, ale nie ulega wątpliwości, że góra służyła za cmentarz, który dawni Słowianie zwykle w bliskości większych rzek, pod opieką bożka zwanego *Bystryc* zakładali. Bożek ten wyobrażany ze lwem na ramieniu, znamionował czas i jego potęgę. Czas bieży szybko jak prądy rzeki; nad brzegami więc rzeki bożek obierał sobie siedlisko. Potęga czasu króluje siłą, a możnaż lepiej wyobrazić siłę, jak dając jej lwa za godło? Kto wie nawet, czy okolice te nie były pod szczególną bożka opieką, bo o półtoręj mili znajdujemy rzekę *Bystrycę*, a trochę dalej wioskę tegoż nazwiska.

Warto byłoby rozkopać przynajmniej sam szczyt góry, może trafiłoby się na szczegóły badaczom użyteczne, i niejedną wątpliwość usunąć mogące.

## DWOREK NA WYDMACH. (\*)

### I.

- Dziwak.
- Czy znasz go?
- Nie.
- Dlaczegoż go zowiesz dziwakiem?
- Bo omija ludzi, zamyka się w domu, i wczoraj, choć go proszono, nie był na wieczorze u państwa Zdzisławów, a wiesz jak się tam dobrze bawią.

Spotykasz drugiego, ten jeszcze nie odechnął, a już pyta:

(\*) Wydmami zowią miejsca piaszczyste, niezaroste, piaskiem zwiewanym od wiatru, okryte. W ostatnich latach rzucono się do zasadzania takich wydm sosną, jałowcami i t. p., co się nie w jednej okolicy udało. (O ustalaniu wydm piaszczystych, Sylwan).

— Czy uwierzysz?

— Czemu?

— Pan Józef, przeklęty odludek, popełnił największe dziwactwo.

— Jakie?

— Przeniósł się aż pod rogatki na Waliców, dlatego, że panna Honorata z przeciwka, dwa razy na niego spojrzała.

Takich pogadanek usłyszysz na dzień kilkanaście o człowieku, którego inni ludzie zrozumieć nie mogą, który nie idzie po jednej z niemi desce, i dlatego jest dla nich jakimś szczególnym zjawiskiem.

— Dziwak — odludek — powtarzają skwapliwie. A zapytaj ich, czy starali się zajrzeć w jego serce? popytać pobudek? — bez zająknięcia odpowiedzą:

— Nie....

I tacy ludzie śmia skleconém przez siebie godłem piętnować czoło niezrozumianego człowieka?!

Nic osobliwego — sąd ludzki jest najpierwszym dziwakiem!!

Roku 184\* obowiązki oficjalisty prywatnego (\*) powołały mnie do zamieszkania czas jakiś w Lubelskiem, w okolicach, których wymienić nie mogę. Przybyłem nieznanym, pomiędzy ludzi zupełnie mi obcych, ludzi, którzy sądzą, że mi szczęście przynoszą uchYLENIEM czapki i wycedzoném łaskawie przez zęby: *jak się pan ma?* Nie spieszyłem się więc z zabranie znajomości, i rozmyślając nad uprzedzeniami, z których się wieki otrząsnąć nie mogą, dzieliłem czas między obowiązkowe prace i krótkie chwile wytchnienia, spędzane w towarzystwie szumiących sosien i świerków, nad brzegiem rzeczki, które jakby na osłodej mej samotności, przemawiały do mnie językiem najwymowniejszym, językiem natury, słowami płynącemi na obłokach, unoszonemi wiatrem, błyszczącemi w kielichach kwiatów, perlącemi się w falach rzeki; słowami miłszemi dla serca od słów ludzkich, zwiędłych,

(\*) Nieraz myślałem nad tém, dlaczego wyraz oficjalista prywatny, nie zmienimy na inny, który już w innych okolicznościach to samo znaczenie zastąpił. Obok téj myśli liczne zawsze stawały zawady, a za najgłówniejszą uważam wyosobnienie téj klasy ludzi, z uczestnictwa w przywilejach, które owa zamiana za sobą pociągnęła. Czy to wyosobnienie słuszne, nie do mnie sąd należy.

suchych jak liście w listopadzie, które tam lecą, gdzie niemi wiatr podmuchi.

Tak upłynęło blisko pół roku. Niechcący, czasem prawie z musu zabrałem tę i ową znajomość, znalazło się wreszcie kilku młodych ludzi, którzy pozbywszy się nałogu gniotącego ich ojców, podali mi braterskie dłonie. Przyjąłem je z serdecznością człowieka pragnącego widzieć świat cały związany tym uściskiem, i czas wolny od zatrudnień podzieliłem między nich i dawnych ukochanych moich przyjaciół.

W codziennych pogadankach, w których często niewiele było ładu, bo któż nie zna gawęd młodzieży wesołych, polotnych, jak skowronki na wiosnę? i któż nie czytał pogadanki o szarzej godzinie, znaném nam piórem udatnie skreślonej? zwyczajem wieśniaków, którzy (nie obmawiając), radzi bardzo o swoich sąsiadach i sąsiadkach gwarzą, przetrząsaliśmy po kolei, to tych, to owych, nie szczędząc spostrzeżeń i uwag, często na nasz łokieć mierzonych, ale też i nie rzadko uczciwą prawdę w sobie zawierających.

— A komuż to zachciało się mieszkać pomiędzy sosnami i świerkami, w tym *dworaku na wydmach*, co wygląda jak osada pustelnicza w piaskach Arabistanu? zapytałem pana Feliksa, ma-

jącego (jak się po prowincjonalnemu wyrażę) języczek najostrzej zatemperowany.

— Pan Michał S. wielki *dziwak*.

Ten wyraz *dziwak*, zawsze na mnie niepojęty wpływ wywierał; zapytałem więc.

— Czy tylko tyle o nim wiecie, że *dziwak*?

— Mało co więcej. Pan S. jest to sobie człowiek szczególny, osobliwy; najprzód wystaw sobie, kupiwszy przed ośmiu laty w tych stronach wioskę, do której te wydmy należały, przesłiczny, nowiutenki dwór wystawiony zagranicznym gustem przez hrabiego Alfonsa, kazał przerobić na szpital dla chłopów i szkółkę dla wiejskich dzieci, a sam wybudował sobie prosty drewniany dworek w lesie na wydmach, i zamieszkawszy w nim, siedzi jak zakłęty. Ośm lat, to nie żarty, a nikt go nie widział ani na odpuszczie, ani na jarmarku, i nawet jak słyszałem, nikogo nie przypuszcza do siebie. Baron Kalikst założył się z panią sędziwą, z którą jak wiiesz w ścisłych stosunkach zostaje, że zdobędzie fortecę na *wydmach*, i *dziwaka* jak jeńca pani sędzinie zaprezentuje, — ale przegrał zakład, bo pan S. czekającemu w przedpokoju baronowi, przez jakiegoś Bartka czy Maćka powiedział: że jeżeli

pan baron zblądził, to go każe z lasu na prostą drogę wyprowadzić.

— Zkądże tu przybył?

— Nie wiem, jedni mówią, że ze Żmudzi, drudzy, że z Wołynia, ale są i tacy, którzy bąkają, że tam zostawił ogromne dobra i rodzinę, której na próg nie przypuszczają.

Pan Feliks wziął się do nakładania fajki, a ja myślałem o człowieku, który porzucił rodzinę, majątek, swoje strony, bez powodu, z dziwactwa. Nie,—rzekłem sobie w głębi serca, człowiek, który dwór oddaje na szpital dla chłopów, nie wyzułby się z najświętszych obowiązków, gdyby dusza jego nie była uciśnioną cierpieniem, a ciało złamane walką ze światem?!

Wkrótce rozmowa moich znajomych z zadziwiającą lekkością przeniosła się do panien sędzianek, posażną rączką i rumianym buziaczkiem wabiących okoliczną młodzież; od nich, do nadchodzącego jarmarku w Łęczny, potem zawrócono jakoś do literatury, aby popisać się z kilkoma tytułami dzieł i z kilkoma nazwiskami autorów, a ja myślałem ciągle o panu S., i może setny raz powtórzyłem sobie: to nie jest bez powodu!

Czas na lekkich swych skrzydłach uniósł naszą rozmowę, nasunął inne obrazy i inne przedmioty, ja jednak nie zapomniałem o panu S., pragnąc jak najgoręcej zbliżyć się do człowieka, który mię taką niespokojnością nabawił.

Ale gdzie? jakim sposobem? gubiłem się w myślach, nie mogąc żadnej uskutecznić.

Tymczasem człowiek sądzi, Bóg rządzi; zdarzenie, które do zwyczajnych policzyłem, i na które nie zwracałem uwagi, zbliżyło mnie do celu moich życzeń.

Wieś należąca do dworu na wydmach, graniczyła z dobrami, w których przebywałem i karłowaty las sosnowy, otaczający ów dworek, przedzielała tylko rzeczka płynąca rozdołem, od dębowego gaju do dóbr tych należącego.

Często bardzo w dnie świąteczne lub w chwilach dłuższego wypoczynku, wycieczki moje zmierzały do tego gaju, lubiłem bowiem ową majestatyczną ciszę, drzymiącą na łonie dwuwiekowych olbrzymów, i tę piękność nie kształconą ręką człowieka, ale w dziewiczej prostocie.

Raz w prześliczny wieczór majowy siedziałem pod rozłożystym dębem świeżo ubranym w świąteczną sukienkę. Wokoło mnie była cisza głęboka, urocza, słyszałem najdrobniejszy

głosik słowika, szelest leciutkich jego piórek; wciągałem w siebie całą piersią oddech rozwijających się kwiatów, piłem życie z świetnego ich kielicha, i myślałem — o czém?... Marya Malczewskiego była w moim ręku, a wzrok spoczywał na tych wierszach.

I cicho — jak modlitwa w łono Boga płynie,  
I pusto, smutno, tęskno — jak gdy szczęście minie.

Gdy jakiś szmer zwrócił moją uwagę, i o kilka kroków od siebie spostrzegłem siwego pochylonego starca, podpierającego się grubym jabłonkowym koszturym, i powolnym krokiem zbliżającego się ku mnie.

Twarz starca łagodna, ujmująca, nosiła na sobie wyryte ślady cierpienia i ciężkich z życiem zapasów, a chód powolny i niepewny brak sił zapowiadał.

Podniosłem się z ziemi, a nieznajomy przypatrzywszy mi się uważnie, rzekł:

— Zdaje mi się, że spotykam pana \*\*\* mego sąsiada?

— Tak jest.

— Przyjazne zdarzenie, bo mi nastrecza sposobność podziękowania panu za ratunek udzielony biednej wdowie z mojej wioski. Pan nie wiesz, nie przeczuwasz, ileś ściągnął na siebie

błogosławieństw, ileś przyniósł pod biedną strzechę prawdziwie chrześcijańskiej radości. Powiedziano mi zaraz o tém, zapragnałem dorzucić i moje Bóg zapłać, aby w długu serca nie zostać. (\*)

— Drobnostka zacny panie! odrzekłem, nie warta nawet wspomnienia, a cóż dopiero podziękowań? Możliwość moja jest tak mała, uczynki tak nią skrępowane, że nie wiem prawdziwie, czy mi się to należy, czém mnie pan z łaski swój obdarzasz.

— Szklanka wody w porę i ze szczerą chęcią podana, więcej może przynieść zasługi, aniżeli bogate dary ręką, a nie sercem rzucane. Pan to dobrze rozumiesz, i dla tego w tej materii nie rozszerzajmy się więcej. Wypełniłem mój dług, i lżej mi teraz będzie przebrać się przez ten rozdół co nas odgranicza. Bądź pan zdrów, życzę ci tego szczerze.

I starzec podał mi drżącą rękę.

Przyjąłem ze cziłą uścisk dziwaka (dorożmiewałem się bowiem, że to on jest), i nie puszcżając podanej ręki, rzekłem:

(\*) O zdarzeniu tém w istocie mało znaczącym i zwyczajnym, nie wspominam, aby ktoś nie posądził mnie, że miałem zamiar panegiryk dla siebie napisać. Konieczność zmusiła mnie zrobić o nióm powyższą wzmiankę.

— Niechże nagroda przewyższy zasługę. Pan jesteś Michał S., właściciel dworku na wydmach.

— Tak.

— Od przybycia mego w te strony, pragnąłem najgoręcej.

— Czego?

— Poznać Pana, pozyskać wstęp w progi dla innych zamknięte.

— Cóż w Panu tę chęć obudza?

— Pewnie nie ciekawość, ale szacunek dla człowieka, którego postępowania inni rozumieć nie mogą.

— A Pan rozumiesz?

— Nie głową, ale sercem!

— Przykro mi, a jednak odmówić muszę.

— Dla czego?

— Bo nie chcę mieć mego cichego spokoju.

— Ja go nie zmacę; moje życie równie ciche, a moje wspomnienia równie smutne. Smutni są wśród wesołego świata rodzina, oni się zrozumia, ich potrzeby są prawie jednakie.

Starzec widocznie wahał się.

— Zniewalasz mnie młodzieńcze.... ha! spróbuję... Co niedziela o tej godzinie znajdziesz mnie tu, w tym miejscu, — a potem — potem obaczmy!...

I czuliej, aniżeli pierwój uścisnął moją rękę. Odprowadziłem szanownego starca aż do kładek przez rzeczulkę rzuconych, i pożegnałem przypomnieniem obietnicy.

Dziwak uśmiechnął się i rzekł:

— Straciłeś wiarę w słowa ludzkie, — a to źle, bo zawczesne zwątpienie powinno być jak trucizna u Indyan, zawsze na spodzie słodkiego nektaru, — ale o tym potem, do widzenia!



do na drobnych śladach jej stop widzieli to sło-  
wa księżniczki Baki:

nie bogom wstąpić  
nie wypraszają jej

Wielki

Zakład

Błażewski

Powsta

Ona przyszła! mówili do siebie i czekałi.  
Przyszła, drzewa przyloty zielonym wian-  
kiem, ziemie cudnie tkany kobiercem, a ludzom

Wieczór był pogodny, księżyc toczył się  
wspaniale po ciemnym niebie, królując zasypia-  
jącej ziemi.

Siedzieliśmy z panem S. w ganku małego  
dworku na wydmach, cisza była ponura, prze-  
rywał ją tylko szum drzew unoszonych zachod-  
nim wiatrem, i trzepotanie się wron na sosnach.  
Pan S. mówił:

— Długo opierałem się pokusie otworzenia  
przed tobą mego zbolełego serca, dzień od dnia  
zwlekałem tę chwilę, chciałem wmówić w sie-  
bie, że powinienem pogrzebać z sobą smutne do-  
świadczenie, ale za każdą podobną myślą stawa-  
ły mi przed oczyma gromady ojców i matek,  
wyrzucających mi winę, że przepaść, w którą

sam wpadłem, osłoniłem przed niemi tajemnicą.  
Postanowiłem więc, bądź co bądź, tobie zdać cię-  
żar tłoczący me sumienie, aby lżej mi było wybrać  
się w podróż, która na mnie czeka. Słuchaj: dni  
moje policzone, robak zgryzoty toczący serce, nie  
zadługo wyssie z niego ostatnią kropelkę życia.  
Jutro dla mnie niepewne, niech więc *dzisiaj* będzie  
tą chwilą, którą długo, bardzo długo usuwałem,  
żądać tylko od ciebie łaski.

— Obowiązku.

— Nie, — łaski.

— Mów Panie, wszystko dla ciebie zrobić je-  
stem gotów.

— Żądam słowa, więcej jak słowa, przysięgi!

— Najchętniej.

— Że tego, co odemnie usłyszysz, w żadnym  
przypadku nie użyjesz na szkodę tych, co mnie  
z obowiązku sumienia obchodzą.

— Czy tylko tyle?

— Więcej jeszcze, — i że wypadek, który ci  
opowiem, gdy się dowiesz o mojej śmierci, ze  
zmianą nazwisk i miejsc, dla dobra naszych bli-  
źnich do wiadomości podasz.

— Ale czy potrafię?

— Chęć zastąpi zdolność, a kto pisze z ser-  
ca, ten się o oglądę nie troszczy. No i jakże,

wszak kiedyś powiedziałeś, że smutni są rodzina, — rodzinie nic się nie odmawia.

— I ja tobie nie odmówię czcigodny Panie, rzekłem ściskając podaną rękę. Bogiem się świadczę, że o ile sił i możliwości starczy, wiernie wypełnię, co mi rozkazujesz.

— O co proszę, a proszę najgoręcej, ostatnią moją prośbą do ludzi.

Otarłem łzy gwałtem cisnące się z oczu, a pan S., tak zaczął:

\* \* \*

Dni moje młodzieńcze prześliznęły się gładko wśród kwiatów i nadziei, jak się ślizga wiele innych. Z dziecinną swobodą przeszedłem pod surowe ustawy księży Pijarów, znosiłem je przecież chętnie i lekko, przebiegłem zakresłone nauki tak szybko, że nie spostrzegłem kiedy lata szkolne minęły. Wróciłem do domu, rodzice otoczyli mnie czułością, serca ich otwarły mi znowu ten raj dni dziecinnych, raj, który tylko stracił na ponętach, bo w duszy wrzącej innymi myślami i celami, nie odbił się tym czystym światłem, do którego uśmiechały się oczy chłopięcia.

Ojciec mój był już w wieku sędziwym, ja byłem jedyną latoroślą bujnego niegdyś szczepu,

nadzieją gasnącego imienia, nie dziw więc, że za ledwie osiedziałem się w domu oświadczył mi, iż potrzeba pomyśleć o ożenieniu. Zwykle to przejścia, każdy się ich prawie dotyka, w życiu każdego odegrały zwyczajną powszechną rolę, nie warto więc ich budzić. Ożeniłem się, nie powiem, z szalonej w romansach napotykaną miłości, ale z prostego uczucia, które skłonnością zowiemy. Widziałem w mojej przyszłej nie ów poetyczny ideał wszelkiej doskonałości, ale kobietę ze wszystkimi ułomnościami i przymiotami nieodłącznymi od jej płci, i dla tego to może z przywiązania, jakie nas połączyło, nie opadał listek po listku, jak się najczęściej dzieje, kiedy odczarowanie smutne i blade wstępuje w ślady szafu.

Żona moja była dobrą, czułą, kochała mnie szczerze, żaden błąd nie rzucił najmniejszego cienia na czyste tło jej cnoty, miała tylko tę jedyną, a tak powszechną wadę: *próżności*.

Na nieszczęście wioski moje otoczone były znakomitemi włościami tych panów i pół-panów, którzy na paryzkie stroje, powozy i świecidła radzi szargają majątek, i dla utrzymania w sztucznym blasku, czczonemu dawniej nie z powo-

zów i nie z liberyi imienia, gotowi są zastawić nawet samych siebie.

Pani baronowa sprowadziła z Wiednia furę gratów miękkich i błyszczących; moja żona nuż męczyć mię, abym takie dziwolągi w dom wprowadził. Pani marszałkowa zapisała z Hamburga dwie małpy i dwie papugi; w moich uszach ciągle brzęczała prośba choć o jedną małpę i o jedną papugę. Państwo Gustawowie trzymali kuchmistrza Niemca, kucharza Francuza i cukiernika Włocha, u nas skrzętny, poczciwy Pyrkowski wszystko niesmacznie przyrządzał. Godziłem rzeczy jak mogłem, lecz często, może także z zagnieżdżonej w mojem sercu cząstki próżności, ulegałem tym prośbom.

Tak ubiegło lat czternaście od naszego połączenia się. Bóg nam dał jedno tylko dziecko, śliczną figlarną dziewczkę, i odział ją taką pięknoscia, takim wdziękiem, że często przechodzący stawali, aby się jęj przypatrzeć. Helenka kończyła lat trzynaście; fatalny los, może kara boska za błąd, któremu się pod skwarném niebem Andaluzyi oprzeć nie mogłem, wcisnął się w moje ciche, spokojne progi. Pani sędzina przywiozła dwie córek, które się uczyły w Warszawie, moja żona poznała je, grały pięknie, śpie-

wały jeszcze piękniej, po francuzku paplały jak najęte, na pamięć znały nazwiska zagranicznych autorów. Co za olbrzymie talenta?! czy tu przed niemi nie uderzyć czołem? czy dla tego dymu kadzideł, głupstwa i próżności, nie poświęcić cięchego, jak szmer strumyka życia kobiety?! Poświęć! poświęć! krzyczą bałwochwalczy nie umiejący pojąć prawdziwej wartości tych zalet, które serca kobiet przeznaczone na skarbnice uczuć, miłości i skromności, przetwarzają w naczynia samolubstwa, próżności i dumy. (\*)

— Nasza Helenka musi być w Warszawie, rzekła moja żona, powróciwszy z domu pani sędziny, musi grać jak panna Zenobia, śpiewać jak panna Pulcherya, mówić po francuzku i rozpra-

(\*) Niech który z takich bałwochwalców, a co najwięcej, która z czytelniczek, nie sądzą, abym w zupełności podzielał zdanie pana S., chociaż z bólem serca wyznać muszę, że mało się różnimy. Szczytem doskonałości kobiecej, koroną jęj powołania, jest, według mnie, wypełnienie wielkich obowiązków żony, matki, obywatelki; reszta jest miłą zabawką, i nie powinna nigdy granic zabawki przechodzić. Tego zdania są prawie wszyscy tegocześni pisarze, i kiedy Kanta zapytała jedna z dam: Cóż to pan chcesz nas przeistoczyć na mamki i kucharki? Nie, ale na matki i gospodynie, odpowiedział.

wiać o nowych francuzkich książkach jak one obiedwie!

Napróżno przedstawiałem odległość, długi przeciąg czasu, jaki nas rozdzieli z jedynaczką; jój i naszą tęsknotę, nic nie pomogło, próżność przysiadła uczucia matki, chociaż ta matka kochała aż do zbytku swoje jedyne dziecko, chociaż wówczas była dobrą matką. Taka to siła próżności!

Do guwernantki, którąśmy od kilku lat trzymali, chciałem przyjąć drugą francuzkę, metrów choćby dwóch, ale nie podobało się to mojej żonie, bo i jakże się miało podobać, kiedy panny baronówny pobierały edukację w Paryżu, a panny sędzianki w Warszawie.

Na nieszczęście mieszkała w tém mieście daleka kuzynka mojej żony, wdowa po kapitanie, który zginął pod Lipskiem, z dwoma córkami, utrzymując się z procentu od kilkudziesięciu tysięcy, które mąż wychodząc z kraju, u przyjaciela swego, dziedzica wioski pod Rawą, dla córek zostawił.

Wyborną będziemy mieli sposobność ulokowania naszej Helenki w Warszawie, rzekła raz do mnie żona, kiedym się ciągle jój projektom opierał. Pani Pawłowa, moja siostra cioteczna

ciągle tam mieszka, umieścimy więc u niej Helenkę, będzie jój tak dobrze jak w domu, a pani Pawłowej dopomożemy w biedzie, boć jój tam pewnie przy trzech tysiącach dochodu nie zbywa.

Odtąd ta myśl nieodstępowała już mojej żony, i dopóty mię nią męczyła, dopóki nie zezwoliłem na wyprawienie naszego dziecka z domu.

Ile razy wspomnę sobie tę chwilę, kiedy słudzy do stojącego przed gankiem powozu wynosili zawiniątka i tłumoczek, a moje dziecko, moja gwiazdka jaśniejąca czystém od twarzy aniołów odbitem światłem, zalewając się łzami, upadła do nóg matce, kiedy ta matka żegnała ją gorącą modlitwą do Boga, kiedy domownicy szlochając głośno, żegnali swoje, jak ją nazywali pocieszkę, tyle razy żal wielki tłoczy serce i gorzka boleść zalewa piersi.

Wierzę, z przekonania wierzę, że modlitwa matki była szczerą, że Bóg byłby jój wysłuchał, gdyby téj modlitwy nie obrzydziła próżność swoim szkaradnym tchnieniem.

Wierzę, że kiedy tę modlitwę aniołowie przynieśli do stóp Przedwiecznego, Bóg obejrzał ją i rzekł:

— Brzydzą się głosem próżnego serca! I odrzucił modlitwę w przepaść zapomnienia.

Z krzącem się od żalu sercem, odwracałem oczy od bolesnego widoku pożegnania, gdy jedna okoliczność, która później wywarła wielki wpływ na moje wyobrażenia, jeszcze bardziej mię rozczuliła.

Już zaprzęgano konie, kiedy wszedł stary szafarz Jakób, i oznajmił, że kilku gospodarzy i kilka gospodyń czeka przed dworem.

— Czegoż oni chcą? zapytałem.

— Nie wiem, bo nie chcą powiedzieć.

— Przywołać ich.

Gdy weszli, w połowie nieukontentowany rzekłem:

— Czego żądacie?

— Przyszliśmy pożałować naszej panienki i pokłonić się jej, rzekł najstarszy wiekiem gospodarz, schylając mi się do kolan.

Łzy mi się zakreśliły w oczach, przywołałem Helenkę.

— O nasza serdeczna pannuniu, nasza dzie-dziczko! mówili poczciwi, całując jej ręce, niech cię Bóg zdrowo prowadzi, i co rychlej zdrowo nam wróci, bo nam tu bez ciebie będzie kuczno (\*), jak sierotom bez matki.

Helenka płakała, i ja nie mogłem powstrzy-mać wzruszenia.

(\*) Smutno.

Pierwszy raz w życiu uczułem, że wdzięczność nie jest obcą sercom naszego ludu, że w te serca, co kto rzuci, to znajdzie...

Nadeszła wreszcie smutna chwila; wyrwałem Helenkę z objęć matki i niezadługo cztery ręce konie uniosły nas szerokim ku granicy prowadzącym gościńcem.

Od granicy wzięliśmy konie pocztowe. Pocztylioni wygrywali na trąbkach skoczne piosnki, oczom przedstawiały się coraz inne widoki, a biedna Helenka nie słuchała piosnek, nie przy-patrywała się okolicy, tylko oglądała się często za siebie, jakby w nadziei, że ujrzy jeszcze dachy wioski, szczyty wyniosłych drzew; wioski, na którą przez lat tyle patrzyły jej czyste oczy; drzew, które słuchały jej dziewiczych rojeń, jej piosnek lekkich, wdzięcznych, przejętych od słowika, od brzęku pszczoł, od tęsknej pastuszej fu-jarki.

Podróży naszej opisywać nie będę, bo szczegóły jej dawno już wyszły z méj pamięci, i wierz mi, że jak strudzony upałem wędrowiec dąży z upragnieniem do ujrzanego z dala cieniu, tak ja pragnąłbym co prędzej stanąć u kresu wspomnień, raniących boleśnie uciśnione moje serce.

Ujrzelśmy wreszcie szczyty warszawskich

świątyni, wychylających się z za mgły, która unosila się nad miastem, spostrzegłem, że oczy Helenki poweselały, przemieła tęsknota za matką, za rodzinną wioską i drzewami, bo taka to trwałość kobiecych wrażeń?!

Przebyliśmy most rzucony na dumnej Wiśle, jak łańcuch przykuwający ją do starego grodu, mineliśmy te pierwsze białe niskie domki, które stara Mazurka, jak powiada Magnuszewski, płuczaca chusty w rzece, porzuciła na jej brzegu, i wjechaliśmy w ozdobne, błyszczące mury Warszawy.

Z tych samych powodów, o których ci już nadmieniałem, nie będę opisywał mego pobytu w tym mieście i wrażeń wówczas doznanych, wszystko to rzeczy zwyczajne, a większe miasta, złe pole dla człowieka, któryby w sile wieku, z pełną kieszenią, z doskonałemi radami jedno-dniowych przyjaciół, chciał zbierać filozoficzne uwagi. Pragniesz poświęcić się na zebranie tych spostrzeżeń, których wieńcem będzie korona cierniowa, bądź biednym, zetrzyj herby, włóż wytarte odzienie, a wtedy odepchną cię ludzie (ci nawet, którzy bardzo głośno rozprawiają o braterstwie), będą patrzeć na ciebie jak na proch czepiający się ich obuwia, będą słu-

chać twych skarg, myśląc o balach i tancerkach. Wtedy to jakież śliczne pole do uwag!

Na drugi dzień po mojem przybyciu do Warszawy, udałem się do pani Pawłowej. Wiedziałem, że mieszka na Długiej ulicy, ale zdziwiłem się, gdy mi powiedziano w bramie bardzo porządnego domu, że na pierwszym piętrze. Wszedłem. Pani Pawłowa uprzedzona już przez moją żonę listownie, przyjęła mnie z otwartemi rękoma, córki porwały zaraz Helenkę, i nie mogły się jej naściskać, napiścić. Podobało mi się to szczere, pełne wylania i serdeczności przyjęcie, ten takt pełen wykwintnej godności, jaką tylko ciągle stosunki ze światem dać mogą, nie mogłem tylko zrozumieć, z kąd pani Pawłowej, mającej najwyżej trzy tysiące dochodu, i do pełnoletności córek nie mogącej podnieść kapitału, wystarcza na utrzymanie prawie wykwintne domu, na różne sprzęty i sprzęciki, tylko w domach, które grosza groszem nie gonią spotykane. Pani Pawłowa domyśliła się zapewne, że mnie to zadziwia, bo gdyśmy po obiedzie przy czarnej kawie rozpoczęli gawędę o dawnych i terażniejszych czasach, a panny wzięły Helenkę do swoich pokoików, aby się nią, jak mówiły nacieszyć, rzekła:

— Bóg was natchnął poczciwy panie Micha-  
le, że mi w ciężkim razie dopomożecie, bo też  
już bardzo krucho było koło mnie. Wiesz, że  
od kapitaliku moich córek pobieram nie całe  
3,000 złp. procentu; cóż to znaczy w Warsza-  
wie, za ledwieby można mieszkać pod strychem  
i żyć z biedą. A tu córki dośrośle, edukacya, po-  
kazanie ich światu tyle kosztuje. Mogłabym  
wprawdzie była tego wszystkiego uniknąć, na-  
uczyć córki czytać, pisać, szyć, zamknąć się  
w domu, i wy kierować ich na szwaczki i garde-  
robiane, ale serce matki pękało z boleści na ka-  
żdą myśl o tém. Nie sypiałam po całych nocach,  
rozmyślając nad sposobami zapewnienia im in-  
nego losu, i przyszło mi na myśl, że mąż mój  
w czasie przeprawy przez Berezynę, z wielkiem  
poświęceniem ocalił życie hrabiemu K., czcigo-  
dnemu starcowi, który dziękując mu najczulój,  
powiedział, że jeżeli ty lub twoja rodzina bę-  
dziecie kiedy czego potrzebować, udajcie się  
śmiało do mnie, a o ile tylko możność pozwoli,  
znajdziecie mnie z pomocą gotowego.

Dobrzeby to było, pomyślałam sobie, przy-  
pomnieć się teraz hrabiemu, ale gdzie go szukać,  
może już umarł? i za tą myślą gorzkie łzy mię  
oblały.

W parę tygodni potem siedziałam na ławce  
w Saskim ogrodzie, w środkowej alei, przy mnie  
usiadło dwóch mężczyzn, jeden sędziwy, pochy-  
lony starzec, drugi w średnim wieku, z dwoma  
orderowemi wstążeczkami,

Rozmawiali głośno, ale na rozmowę ich nie  
zwracałem uwagi, i dopiero gdy zaczęli mówić  
o wyprawie francuzkiej i ciężkich trudach rej-  
terady, zaczęłam się pilniej przysłuchiwać.

O! Boże! jakaż to była dla mnie radość, gdy  
ów starzec zaczął opowiadać zdarzenie pod Be-  
rezyną, słowo w słowo jak je od męża mego  
słyszałam.

Życie było na jednej nitce pajęczój, rzekł,  
i byłbym niechybnie zginął, gdyby nie ów wa-  
leczny porucznik od ułanów; jemu powinienem  
zawdzięczyć te kilkanaście lat błogiego spokoju  
na łonie najlepszej rodziny, i prawdziwie przy-  
kro mi, że pomimo starań nie mogę powziąć  
o nim żadnej wiadomości!

— A gdyby też znalazł się ktoś taki, co by  
udzielił tę wiadomość, odezwałam się, nie mogąc  
pokryć wzruszenia.

— Tobym mu był bardzo obowiązany, odrzekł  
starzec, przypatrując mi się pilnie.

Nastąpiły wyjaśnienia, wskazał mi swój adres, i kiedy opowiedziałam mu mój stan i moje troski, wyznaczył mi trzy tysiące złotych corocznie, dopóki tylko żyć będzie.

Dotąd pobierałam regularnie moją pensję, dałam córkom stosowną edukację, uporządkowałam mieszkanie, porobiłam znajomości, bo trzeba ci wiedzieć kochany kuzynie, że w Warszawie wszystko to jest do dobrej karyery panien konieczne; gdy w tym roku ugodził mnie cios bolesny, hrabia umarł, a ze śmiercią jego odpłynęła od mego łądu ostatnia deska nadziei!

— To co innego, pomyślałem sobie, biedna pani Pawłowa! dobrze się stało, że jej na jakiś czas ubytek dochodu zastąpię.

Bo i jakże mogłem myśleć inaczej, kiedy z ust pani Pawłowej płynęły słowa pełne szczerości i prostoty, a w oczach w czasie opowiadania zdarzenia w Saskim ogrodzie, widziałem łzy.

Możesz się domyśleć, że nie targowałem się z kobietą, która miała mojej Helence zastąpić matkę, i szóstego dnia po przyjeździe do Warszawy, pożegnawszy czule mój jedyny skarb, spokojny, zadowolony prawie, opuściłem mury stolicy.

Po kilkodniowej podróży przybyłem do domu; zastałem żonę smutną, spotkała mnie ze łzami. Dom wydał mi się pustynią; każdy kącik, każdy sprzęt przypominał mi naszą pocieszkę, naszą figlarną koteczkę. Łóżeczko jej stało nie tknięte, pokryto je tylko śnieżną pościelą. Anioł niewinności unosił się nad niem, nie opuścił widać tych miejsc, które skrzydłami swemi osłaniał.

Dnie upływały leniwo, przy końcu kwartału zdało się nam, że wieki nie widzieliśmy naszej dzieciny, tęsknota odebrała pamięć na wszystko, porzuciłem gospodarstwo, zdałem na plenipotentę ważne bardzo sądowe interesa, i pojechałem do Warszawy. Sądziłem że i Helenkę zastanę smutną, tęskną do nas. Przeciwnie znalazłem ją wesołą, zadowoloną. Mówiła, że jej się bardzo podobała Warszawa, że nauki jej idą wybornie, że pani Pawłowa kocha ją i pieści jak własną córkę, że bywa z nią na wieczorach i na zabawach u siebie dawanych bywać jej pozwala.

— O! u nas często się bawią, a co bywa panów ładnie ubranych! jacy grzeczni! zawsze przynoszą mi cukierki, rzekła naiwnie, całując moją rękę.

Zabolało mnie serce na to, że my oblewamy łzami każdą chwilę, a nasza dziewczeczka spędza

je wesoło bez myśli, o tęskniących za nią rodzicach; lecz boleść tę przytłumiła wkrótce próżność rodzicielska, i cieszyłem się zrecznym jej szczebiotaniem, próbkami zapowiadanych przez panią Pawłową wielkich zdolności, a nade wszystko czułością, jaką widziałem otoczone każde jej stąpienie, każde słowo.

Chciałem być na jednej z tych zabaw, o jakich wspomniała mi Helenka, aby poznać towarzystwo zbierające się u pani Pawłowej, ale odebrany list od plenipotenty, powołał mnie spiesźnie do Wilna.

Kiedym ze łzami w oczach zegnał mój jedyny skarb, pani Pawłowa po tysiąc razy, w słowach pełnych słodyczy zaklinała mię, abym był spokojny i zaufał jej czułości i poświęceniu się dla Helenki. Uścisnąłem serdecznie jej rękę, i dodałem, że przyszłość naszej jedynaczki będzie zarazem przyszłością jej córek, bo my dla niej tylko pracujemy, a mienia Bóg nie uskapił.

Po powrocie do domu, opowiedziałem żonie wszystko com widział i słyszał. Za każdym słowem rozpraszała się chmura smutku tłocząca jej serce, i wkrótce znikła zupełnie. Uniesiona próżnością matka, widziała już swoje dziecko wydzierające palmę pierwszeństwa pannie baronó-

wnie i sędziankom, słyszała już gwar pochwał unoszących się nad talentami Helenki, czuła już w około niej wonne kadzidła pochlebstw, a przytém wszystkiem, cóż ją mogło obchodzić rychłe wygładzenie z serca rodzicielskiego domu, kiedy przecież przed rzewnym przywiązaniem do osób i miejsc rodzinnych, zostawionem przez wielki świat małemu światowi, nikt czołem nie uderza?!

Od tego czasu odbieraliśmy co miesiąc długi list od pani Pawłowej, i wonny kolorowy bilecik od Helenki. Pani Pawłowa unosiła się nad jej postępami, przepowiadała w nich ósmy cud świata. Helenka donosiła nam o czwartkowych wieczorach, o kostiumowych, obrazowych, i Bóg wie jakich tam jeszcze nazwisk zabawach. Nie było tam ani serdecznego słówka czułości, ani jednej choćby przelotnej myśli tęsknoty, nic prócz zwyczajnego zakończenia: ściskam po tysiąc razy rączki mateczki i tateczki. Żona płakała z radości, a ja ze smutku, bo listy pani Pawłowej podejrywałem o szarlatanizm, a Helenki o brak czułości i prostoty, jedynych prawdziwych ozdób serca kobiety.

Tak ubiegło przeszło półtora roku. Ułatwiwszy się cokolwiek z interesami, postanowiłem

dobiedz do Warszawy, aby pocieszyć się widokiem mego lubego dziecięcia. Fatalizm stanął na drodze zamiaru, który jeden mógł być mnie może ochronić od strasznych cierpień i goryczy. Zachorowałem ciężko, i przez kilka tygodni walcząc ze śmiercią, przez ośm miesięcy nie podniosłem się z łóżka. Żona także nie mogła mnie wyreczyć, bo ona i tak nie jedną bezsenne noc spędziła przy mnie, i bez jej starań i opieki nie byłbym się mógł obejść.

Jak tylko wróciło zdrowie, a z niem i siły, pośpieszyłem do Warszawy, gdyż w listach pani Pawłowej spotykaliśmy dość częste wzmianki o zmienionym humorze, o małej słabości Helenki, a jej dopiski nie tak częste jak dawniej, tchnęły jakimś tłumionym smutkiem.

Prześliczna wiosna była w samym rozwiciu; wszystko oddychało życiem wyssanem z piersi matki natury, wszystko upokarzało człowieka chylącego się pod ciężarem dni swoich, lub podnosiło go do dumań o wyższym przeznaczeniu duszy, której życie nie kończy się z zimą, i nie wstaje z wiosną, choć przed nią i zimy i wiosny przemijają.

Jechałem sam jeden; rozdrażnienie nerwowe, ślad niedawno minionej choroby, szczególne

usposobienie wewnętrzne, nasuwały mi myśli dziwne, a nawet często przerażające. Przeczynałem, że wisi nademną jakieś wielkie nieszczęście, i drżałem na wspomnienie, że ono może w najboleśniejszą stronę serca ugodzić.

Przybyłem do Warszawy późno. Już ruch na ulicach ustawał, i stanąłem w hotelu Angielskim. Czulem się znużonym, głodnym, poszedłem do restauracyi, i usiadłszy w ostatnim pokoiku, kazałem sobie podać wieczerzę. W sąsiedniej sali jaśniało mnóstwo świateł; sześciu czy siedmiu młodzieży wytwornie ubranej, siedziało w koło stołu zarzuconego resztkami sutój biesiady, i obstawionego butelkami. Wrzaskliwe sprzeczki, głupie dowcipki, nieprzystojne żarty, te nierozdzielne uczestniczki podobnych zebrań, ścigały się po spieczonych od wina i dymu ustach. Z początku nie zwracałem na nich uwagi, ale następująca rozmowa przyzwała moją pamięć.

— Któż to jest ta pani Kapitanowa.

— Aż, stara łotrzyca, która już nie mogąc sprzedawać siebie, i sprzedawszy córki, spekuluje na gąski wiejskie.

— I cóż się tam stało?

— Wielka awantura, — znałeś przecież hrabiego Oskara, żyłem z nim ty a ty, dobry chło-

piec, tylko wielki urwis, dziewczęcia ładnego ani pokaż; gdy wpadnie mu w oko, to już i cały pułk grenadyerów jój nie ustrzeże. Ale wybor-ny chłopiec; no za jego zdrowie!

— Wiwat!!

— Otóż wyobraźcie sobie, pani Kapitanowa zwabiła go oczkami ślicznej dziewczynki, czar-  
no-włosój Helenki. Łotr, mało nie oszalał, bo  
ciągnęła go bardzo, a wiecie że fortuna u niego  
bokami robi. Jednak poradził sobie, przybrał mi-  
nę zakochanego, zbałamucił dziewczynę, i oneg-  
daj na raz dwie rzeczy się wykryły; pierwsza,  
że pani kapitanowa nic na téj spekulacyi nie zy-  
skała, druga, że Oskar za kilka miesięcy podo-  
bno będzie mógł przybrać poważne imię ojca.....

— Ha! ha! ha! i cóż Oskar na to?

— Zuch jak zwykle, miał paszport w kieszeni,  
i drapnął na parę lat za granicę.

— Tęgi chłopak,—a dziewczyna?

— Podobno umiera z rozpaczy. Szkoda jój  
ładne stworzenie, i córka obywatela z Litwy....

Reszty nie dosłyszałem; zmysły mię odbiegły.  
Porwałem się od stołu, zrzuciłem nakrycie na  
ziemię, i przecisnąwszy się przez tłum gapią-  
cych się garsonów, wybiegłem na ulicę. Jednym  
tchem przebiegłem przestrzeń dzielącą hotel An-

gielski od mieszkania pani Pawłowój, i chcąc za-  
dzwonić do bramy, gwałtowném szarpnięciem  
zerwałem dzwonek. Nie widząc innój rady, za-  
cząłem się dobijać; otworzono mi wreszcie, i po-  
biegłem na górę.

W pokoiku na prawo paliła się kolorowa lam-  
pa, a na osłoniętém łóżeczku, leżało blade jak  
marmur, z ustami gorączką spalonemi, moje bie-  
dne dziecię.

Ukląkłem przy jój łóżeczku i przycisnąłem ją  
do siebie. Otworzyła oczy, obwiodła niemi w oko-  
ło, ujęła moją rękę, przytuliła do ust, i uczułem  
na niej kilka gorących łez.

Nie władnący umysłem, porwałem biedaczkę  
na ręce, osłoniłem, czém na prędce osłonić mo-  
głem, odepchnąłem kogoś zastępującego mi dro-  
gę, i unosząc na barkach mój skarb jedyny, wró-  
ciłem do hotelu, sprowadziłem lekarzy, i czu-  
wając całe dnie i noce, doznałem przynajmniej  
tój ulgi w cierpieniu, że po dziewięciu dniach  
ciągłej trwogi, lekarze zrobili mi jakąkolwiek  
nadzieję o życiu mego ukochanego dziecięcia,  
a jeden z nich sławny doktor M. powiedział, że  
jak się zdaje, ostatni domysł owego pijaka z ho-  
telu Angielskiego, nie ma żadnego do prawdy  
podobieństwa.

Ale jakież okropny był stan chorój?! Oczy niegdyś błyszczące, czyste, pogodne, zapadły w głębokie doły, zaszły mgłą, lica powlokła śmiertelna bladość, usta, z których uśmiech nigdy nie ulatywał, zwarte, spieczone, otwierały się tylko, aby wydać jęki lub westchnienia. I ja nieszczęśliwy ojciec patrzyłem na to! przytulałem do mojej piersi usychającą krzewinę, aby w nią jeszcze wlać życie! Boże! wielki Boże! nie karz podobną plagą ojców i matki! niedola, choroby, ucisk, wszystko znośniejsze, od widoku podobnej boleści jedyne dziecko!...

Nazajutrz zaraz po zabraniu Helenki byłem u pani Pawłowej. Chciałem się z nią rozprawić, ale domyśliła się zapewne, że rachunek z ojcem będzie trudny, bo wyniosła się gdzieś bez slychu. Mieszkanie zastałem zamknięte, jakby wszyscy ludzie z niego wymarli.

Gdy doktorzy uznali, że chora będzie mogła znieść trudy podróży, wybrałem się co prędzej z obrzydłych murów, otrząsając proch z obuwia, i zostawiając nad niemi straszne rodzicielskie przekleństwo.

Dwa tygodnie byliśmy w podróży, bo musiałem jechać powoli i często odpoczywać, aż na-

reszcie przy końcu czerwca, wieczorem stanęliśmy w domu.

Nigdy nie zapomnę téj chwili; zawsze i wszędzie będzie mi ona obecną, i nawet w godzinie skonania pojawi się jeszcze przed osłupiałemi oczyma.

Jak tylko powóz zajechał przed ganek, wybiegła żona, wyszli domownicy i poczciwa czeladka, radość przemawiała z każdej twarzy! Wysiadłem; żona rzuciła się w moje objęcia. Odchodzący prawie od zmysłów, odepchnąłem ją i rozplakałem się jak dziecko.

— Co ci jest? zawołała żona.

— Co się stało? odezwali się wszyscy.

— Co mi jest, odpowiedziałem łkając, patrz matko! przywiózłem ci ofiarę twojej próżności! teraz wyprzedzisz baronównę, zawstydzisz sędzianki, — patrz, to twoje dziecko! wywiózłem je zdrowe jak rybka, czyste jak anioł, a wracam umierające! spotwarzone!

I odsunąłem firankę powozu. Helenka nie mogąc podnieść głowy, wyciągnęła rękę, chcąc ująć rękę matki.

Matka krzyknęła boleśnie i zemdląła. Słudzy zachodzili się od płaczu, — biedne dziecko także

plakało, a ja oparty o słup ganku, stałem nieruchomy jak posąg.

Gdy słudzy cucili żonę, dziewczęta pokojowe wzięły na ręce Helenkę, i okrywając ją tysiącami pocałunkami, zanosły do jej dawnego schronienia, na owe śnieżnej białości łóżeczko.

Tego samego dnia, żona po kilkokrotnym zemdleniu, wpadła w ciężką słabość, a tak cichy niedawno mój domek, zamienił się w przybytek boleści, łez i utrapień.

Nie będę szczegółowo opisywał wszystkich cierpień, które przeszedłem. Dla tych, którzy pojmują uczucia ojca, dość tego co powiedziałem, — o zdanie innych nie troszczę się!

Po dwumiesięcznych staraniach, żona prawie zupełnie przysła do siebie, ale stan zdrowia Helenki ciągle był zatrważający. Słowa doktora M. sprawdziły się. Chwilowy błąd nie pociągnął za sobą skutków, jakie się w zalanéj trunkiem głowie rozpustnika wyrodziły, ale siły nie zniosły nadzwyczajnego wstrząśnienia, odczarowania najpierwszych uczuć. Gorączka ciąгла i trawiąca, kaszel suchy i uprzykrzony, krótki oddech, te zwiastuny zatrważającej choroby, rozwijały się z niepojętą szybkością. Doktorzy wileńscy kazali jechać do wód w\*\*\*. Wystarałem się

o paszport, i przy końcu sierpnia wyjechaliśmy za granicę.

Trudy podróży podwoiły i tak już szybkie rozwijanie się choroby. Z każdym dniem ubywało sił, a przybywało niebezpieczeństwa. Blado tlejąca lampa życia gasła w naszych oczach, i dwudziesty ósmy dzień pobytu w B. był dla nas dniem najokropniejszej boleści.

O mój przyjacielu! nie wyobrazisz sobie, z jaką rezygnacją nieszczęśliwe dziecko patrzyło na zbliżającą się ostatnią godzinę swego życia, ja nawet opowiedzieć ci nie jestem w stanie. Kiedyśmy mówili jej, że to przesilenie choroby, że doktorzy obiecują jej zdrowie, ona potrzasała smutnie głową, i ściskając nasze ręce, mówiła:

— Ja wiem że tak nie jest, — ale nie płaczcie moi drodzy, nie żałujcie, — tylko przebaczcie — przebaczcie, — a ja na tamym świecie ukłękne przed Matką Boską, opowiem jej wszystko, i prosić będę, aby was pocieszyła.

Kiedyśmy łkając, żegnali ją, ona objawszy jedną ręką mnie, a drugą matkę za szyję, powtarzała:

— Och nie smućcie się moi drodzy! ja wam się pokażę choć we śnie, ja o was nie zapomnę.

Że ja przeżyłem ten okropny dzień, to dziś dziwię się sam sobie, dziwię się swojej sile.

O godzinie w pół do dwunastej w nocy, nasza jedynaczka skończyła życie, cicho, spokojnie, jak gdyby usnęła.

Kiedy łzawe jej oczy gasły, kiedy piersi wznośli się ostatniem tchnieniem, przysiągłem na zbawienie duszy, myśl powziętą w Warszawie, w czasie owiej okropnej nocy, uskutecznić.

Obcą ziemią przysypałem zwłoki mego ukochanego dziecięcia, i tylko położyłem na piersiach mały krzyżyk, własną moją ręką zrobiony.

Wziąłem od miejscowego urzędnika akt zejścia, wyprawiłem żonę do domu, a sam piechotą, o kiju podróżnym, poszedłem za wyszukiwaniem sprawcy mojego nieszczęścia.

Nie potrzebuje powtarzać ci, że zamiar ten znalazł wiele oporu i trudności. Żona na kolanach błagała mnie, abym go zaniechał. Paszport mieliśmy wspólny i tylko półroczny, zapas gotowizny nie wielki, ale postanowienie moje było silne, i nic go zmienić nie mogło.

Z żoną rozstałem się oziębło, bo nie mogłem jej tego darować, że śmiała się sprzeciwić zamiarowi, który i owszem winna była popierać. O rozpisanie paszportów postarałem się, plenipotentowi wskazałem gdzie ma mi przysłać pie-

niądze, i w początkach jesieni puściłem się w drogę.

Inny miałby obszerne pole do długiej gawędy, bo to dwa lata tułaczki po tylu krajach, nie żarty, ale ja raz już powiedziałem, że skwapliwie dążę do końca, i nad przedmiotami nie wchodzącemi w zakres mojej rzeczy, rozszerzać się nie będę. Obszedłem Francję, Niemcy, Włochy, prawie miasto od miasta, a nigdzie wiadomości o hrabi Oskarze powziąć nie mogłem. Już straciłem nadzieję znalezienia go, gdy bawiący na pograniczu Szwajcaryi Polacy, powiedzieli mi, że jakiś podobnego nazwiska młody człowiek przebywa niedaleko Szafuzy w małej wiosce w górach, którą raczej osadą kilku górali zwaćby można.

Nie tracąc ani chwili, pospieszyłem tam, i rzeczywiście znalazłem hrabiego Oskara, któremu doktorzy niemieccy, jako jedyny środek ratunku zalecili pobyt w górach Szwajcaryi, i wpływ cudownego ożywiającego jej klimatu.

Przygotowany zupełnie do czynu, który sam jeden zajmował ciągle moją wyobraźnię, zapukałem do niskiej góralskiej chaty, będącej mieszkaniem pana hrabiego.

Otworzono mi; moja atletyczna postawa, przy

długiej brodzie, bezładnych włosach i pałającym spojrzeniu, nie najlepsze musiała wyrzucić wrażenie na chorym leżącym w łóżku, bo unosząc zaledwie głowę z poduszek, zapytał:

— Qui êtes vous monsieur?

Odpowiedziałem mu po polsku:

— Dowiesz się pan wkrótce, — a teraz przeczytaj! i rzuciłem na kamienną ławeczkę, stojącą obok niskiego posłania, akt zejścia Helenki.

Chory porwał skwapliwie papier w drżące ręce, przeczytał, na czoło wystąpił mu pot kroplisty, i błędny wzrok zażęgła jakaś trwożliwa niespokojność.

— Ale mnie to jeszcze nie objaśnia, kto pan jesteś, i po co przychodzisz? rzekł prędkim urywanym głosem.

— Więc nie domyślasz się panie, że stoi przed tobą ojciec nieszczęśliwej ofiary, i że za chwilę upomni się u ciebie o jej życie i swoje cierpienia.

— Upomni — upomni... jęknął chory, już Bóg się za was upomniał!... Patrz panie, czy potrzeba większych męczarni, sroższej kary, za grzechy najdłuższego żywota?

I odsłonił lekkie osłaniające go okrycie. Całe ciało nędzne i wyschłe, pokryte było czerwono-

nemi zaognionemi ranami!... Włosy mi na głowie powstały, dreszcz wstrząsnął ciałem.

— No i cóż? ciągnął dalej chory, łapiąc oddech, którego ścieśnione piersi i zepsute płuca utrzymać nie mogły. No i cóż?... czy litość nad Łazarzem nie przemówiła za mną do twego serca, szlachetny panie, czy nie wybłagała mi przebaczenia?... Takie życie, to męki, wielkie męki, ale znoszę je nie dla tego, abym wierzył tym głupcom wiedeńskim, którzy nadstawiając łapy, obiecują mi zdrowie, ale, abym odcierpiał wszystkie cierpienia, które innym zadałem. Może sądzisz, że takie zasady w człowieku zepsutym, to komedia? Nie, czcigodny, biedny ojcze! ja w gruncie duszy nigdy złym nie byłem.... Matka! najcnotliwsza, najrozsądniejsza matka, której cień unosi się teraz pewnie nad bolejącym nędzarzem, wzniosłemi przykładami i czystą, jak łza anielska cnotą, zahartowała moją duszę przeciw ostatecznemu zepsuciu, przeciw zwątpieniu. Świat — nędznicy, którzy imię przyjaciół przybrali, skazili ciało, zatruli serce, ale dusza czuła zawsze całą sromotę ciała, brzydziła się niem, i tylko odkuć go od namiętności nie mogła. Nie gram więc z tobą komedyi, szlachetny ojcze! ale resztą łez niedolanych nad moją męką, błagam cię, prze-

bacz nieszczęśliwemu, obłąkanemu sprawcy twojego nieszczęścia, przez miłość Boga i ludzkości, przebacz!

— A ona? rzekłem prawie bez myśli, z objawiającem się mimo woli rozrzewnieniem.

— Ona! odrzekł chory, jękawszy boleśnie. Ona—biedne dziecko!... Ale usiądź tu bliżej panie, bliżej, bo mi ciężko mówić, i głos w piersiach więźnie.

Usiadłem—chory otarł pot płynący kroplami po twarzy, odetchnął ciężko, i dalej mówił:

— Ona kochała mnie serdecznie, z całym zapalem pierwszej gwałtownej miłości! Ona widzi że cierpię, że gorzkimi łzami błąd mój oblewam. Ona mi pewnie przebaczy, a zresztą nie długo stanę przed nią, i winowajca, zebrać będę jej łaski. Ty tylko ojczyźnie przebacz mi tu na ziemi, bo czuję, żeby mi ciężko było umierać.

Dwie łzy potoczyły się po twarzy, śmiertelną bladością pokrytej, z pod przymkniętych i z trudnością podnoszących się powiek! Okropny to był widok. Zdawało się, że śmierć sięga już swoją kosą, aby przeciąć ostatnią nitkę gasnącego życia, życia zaledwo rozwiniętego, a już roztrwonionego, zmarnowanego, zabitego własną wolą!

— Przebacz! przebacz! wyjąknął boleśnie, wyciągając do mnie drżącą, wychudłą rękę; w imię religii błagam, przebacz!

Nie mogłem się oprzeć wzruszeniu. Przykłady ojców naszych wielkich w mężstwie i godności, a większych jeszcze w przebaczeniu krzywd, stanęły mi przed oczyma. Ciężki żal, który podsycał pragnienie zemsty, ustąpił miejsca litości, przekonaniu, że człowiek nie powinien przykładać tam ręki, gdzie ręka Boska sama już wymierzyła karę. Wzniosłem oczy ku niebu z gorącą prośbą, aby mię raczyło oświecić, wskazać, jak mam postąpić, i nie omyliłem się, promień łaski Bożej zabłysnął w moim sercu, i podałem rękę choremu.

— Dzięki ci szlachetny ojczyźnie! stokrotne dzięki! jeden wielki ciężar spadł z mojej piersi... Patrz, teraz wolniej oddycham!... Gdyby to więcej podobnych kamieni spaść mogło, możeby uciśnione niemi serce uderzyło jeszcze życiem?... Ale nie,—próżna nadzieja, ja czuję, że krew po żyłach nie krąży, i śmierć zimną ręką przykładła do czoła... To nic, aby się prędzej skończyło! O! Boże, mój Boże! jak to przyjemnie zyskać choć jedno przebaczenie.... Jedno,—o nie, nie jedno! i ona, patrzcie, wyciąga ku mnie dłoń bia-

ła, słiczną; dłoń, którą tyle tysięcy razy do ust przyciskałem! A twarz jej jaka jasna, jaka słiczna! Ona się do mnie uśmiecha, przebacza mi!.. Ojczel! ojczel! widzisz ten uśmiech? anioł nie uśmiechałby się miłój, a ty mówiłeś, że ona mi nie przebaczy! okrutniku przypatrz się!

Wzruszenie wywołało gwałtowną gorączkę, chory przez całą noc bredził, a ciągle o tym uśmiechu i przebaczeniu. Na drugi dzień rano przytomność wróciła; opowiadał mi swoje poznanie z Helenką, opisywał dom pani Pawłowej, wychowanie jej córek, strofował mnie, że nie rozpytawszy się wprzód o postępowanie i imie kuzynki, powierzyłem jej moje dziecko. Mówił wiele i rozsądnie, widziałem jednak, że miał się daleko gorzej, częściej brakowało mu oddechu, rany się zasklepiły, kaszel i wyrzuty piersiami nie dawały spokojnej chwili.

— Nie oddalaj się ztąd ojczel, rzekł nad wieczorem, łumiąc ciężkie boleści, ja nie długo umrę, przysypiesz mi oczy choć obcą ziemią, ale rodzinną ręką.

Słowom tym towarzyszyło takie czułe, błagalne spojrzenie, że nie mogłem odmówić. Zostałem, i w tydzień potem hrabia Oskar na mojem ręku skończył doczesne życie. Do ostatka za-

chowwał zupełną przytomność, tylko na kilkanaście godzin przed śmiercią utracił mowę, zapewne z zupełnego wyczerpania sił.

Stary Jakób, jedyny sługa i opiekun zmarłego, płakał jak dziecko, a i ja nie mogłem wstrzymać się od łez, kiedy chory patrząc na nas gasnącym wzrokiem, silił się przemówić, pożegnać, przykładał rękę do serca, wskazywał na niebo, ścisnął podane mu ręce, i w takim pasowaniu się uczuć, skonał.

Oddaliśmy ostatnią posługę uwolnionemu od męczarni ciała, i wkrótce szwajcarska ziemia pokryła grób zgasłego między obcemi.

Pojmiesz mój przyjacielu, że po tylu ciężkich przejściach, po zniesieniu tylu cierpień, uczułem wstret do świata. Zdało mi się, że każde otarcie się o ludzi, jątrzyć będzie nie mogące zagoić się rany, że jedynym środkiem ochrony reszty życia od ciągłej goryczy, będzie naśladowanie owego nieszczęśliwego sternika, który z rozbitego z całym swoim mieniem statku, unosi deskę z pomostu. Nie był to jednak zamiar stały; potrzebował dojrzania, a raczej nowego ciosu, któryby wahające się jeszcze serce zupełnie do ludzi zniechęcił.

Z takim usposobieniem wracałem do kraju, i pod wpływem takich myśli stanąłem w Wilnie.

Na poczcie znalazłem list od żony. Nie będę opowiadał jego treści, bobyś może nie uwierzył, ale pozwolę ci go w oryginale do odczytania i przepisania. Będiesz miał przekonanie, do czego doprowadzić może kobietę nierozsądną, i wszystkie inne uczucia pochłaniająca *próżność*.

Po wielu słowach, które prawie za cześć formę wziąć można, najważniejsza część listu zaczynała się od tych słów:

„W ciągłej mojej samotności, przyszła mi myśl zobaczyć się z panią Pawłową, aby podziękować jej za los naszego dziecka, i umyślnie po to wybrałam się do Warszawy. Przez całą drogę układałam sobie ostre wyrzuty, jakimi ją spotkam; ale kiedy za pierwszym wstępem w progi mieszkania, pani Pawłowa rzuciła mi się na szyję, oblewając łzami, kiedy na szczęście swoich córek zaczęła się zaklinać, że tylko o zbytnią troskliwość o los Helenki obwinić ją można, zamiast wyrzutów, i mnie się z oczu łzy puściły. Wyobraź sobie mój mężu! przekonałam się, że ona jak najlepiej nam życzyła. Hrabia Oskar, potomek bardzo znakomitej rodziny, z matki spokrewniony z domem książąt W., przytém pan

ogromnego majątku, który na niego po stryju spadnie, poznał Helenkę w teatrze, i póty szukał sposobności, póki nie został w dom pani Pawłowej wprowadzony. Dopóki bywał jak wielu innych, nie zwracano na to szczególniej uwagi, ale gdy zaczął nadzwyczajne grzeczności robić Helence, pani Pawłowa jako kobieta przezorna i rozsądna, zapytała go o zamiary. Wtedy dał słowo honoru, że Helenkę ubóstwia, i że ona tylko zdolna go uszczęśliwić. Rozpłakałam się, powiada pani Pawłowa, z radości, że taki świetny los spotka wasze dziecię, i z zupełną ufnością w słowa hrabiego, nie tylko, że mu otworzyłam mój dom, ale uważałam go już jako naszego kuzyna. Osądź mój mężu, czy można obwinić panią Pawłową? Ona pragnęła naszego szczęścia, bo taka partya, jak za hrabiego Oskara, o którego dobijały się pierwsze domy w Warszawie, byłaby prawdziwem szczęściem dla Helenki! Wystaw sobie, coby to było zazdrości w całej okolicy? coby na to ta poczwarda baronówna powiedziała? Nieszczęście zrządziło inaczej, ale to tylko wina hrabiego Oskara, który złamał słowo i nadużył zaufania.

Przytém, muszę ci powiedzieć, że podobała mi się nadzwyczaj pani Pawłowa; co za znajomość

wielkiego świata? jaki elegancki gust we wszystkim? Podziwiałam każde jej słowo, każde stąpienie, i przyszła mi myśl trochę szczególna, ale wiem, że mi jej za złe nie weźmiesz, bo ocenisz jak to przykro być samotną.

Pani Pawłowa córkę jedną wydała za pułkownika, który zaraz z korpusem wyszedł na Kaukaz, i biedaczce tak się smutno zrobiło bez niej, że Warszawa jej zbrzydła, i oświadczyła, że z największą chęcią zamieszkałaby na wsi. Samotność zabijała mnie, ofiarowałam więc jej nasz dom.... Przyjęła tę ofiarę z największą wdzięcznością, i od siedmiu miesięcy jesteśmy razem.

Szczególna to osoba ta pani Pawłowa! dom nasz ponury, cichy i zaniedbany, za jej pierwszym wstępem zamienił się w przybytek elegancji i gustu. Poczciwa Kostunia, którą pokochałam jak własną córkę, i która mi wiele Helenkę przypomina, śpiewa jak Catalani, gra jak sam Mozart. Oczy całej okolicy są na nas zwrócone, a od wizyt nie możemy się opędzić. Wystaw sobie! nawet ta zazdrośnica marszałkowa była niedawno, aby się przypatrzeć umeblowaniu salonu i poznać Kostunię. Jestem pewna, że chmury cierpień, jakimi poczciwy mążu jesteś przyciśniony, rozproszą się za pierwszym krokiem

w progi naszego eleganckiego i z wytwornym gustem urządzonego domu, tak, jak rozproszyły się moje; bo cóż robić, muru głową nie przebijem!...

Reszta znów była zwykłym dodatkiem.

— Otóż to uczucia matki i próżnej kobiety! ciągnął dalej pan S. Matki, która po swoim jedynym dziecku, powinna była okryć serce wieczną żałobą! Otóż to skutki skrzywionego wychowania kobiet, dzikich pojęć o ich obowiązkach!

List ten pochłonął ostatki dogorywającego szacunku dla ludzi, oddalił na zawsze ostatnią chęć jakichkolwiek z niemi stosunków!

Odpisałem tak mojej żonie:

— Winszuję ci zgody z panią Pawłową! winszuję, żeś tak prędko mogła zapomnieć najcięższą, najboleśniejszą stratę! winszuję, że cieszysz się urządzeniem eleganckiego domu, talentami panny Konstancji! Baw się tym szczęściem; ja moją ponurą twarzą i łzawym sercem nie chcę mieszać waszego szczęścia, i zostawiam was samych na długo! na zawsze!...

Zawezwałem plenipotentą do Wilna; dwie wsie zostawiłem żonie, resztę kazałem natychmiast sprzedać, i wszelkie interesa pokończyć.

Nie potrzebuje mówić, że żona starała się przebłagać mnie, zmienić postanowienie, ale nie tylko że nie chciałem jej słuchać, ale nawet odmówiłem widzenia się z nią. Odjechała obrażona i zagniewana, i pierwsza nazwała mnie podobno dziwakiem.

Z uczuciem radości dowiedziałem się, że interesa, które wiązały mnie do stron zniemawdzonych, były na ukończeniu. Odebrałem gotówkę ze sprzedanych wiosek, obliczyłem się ze wszystkimi, podziękowałem plenipotentowi za kilkunastoletnie wierne usługi, i puściłem się w świat, jak to mówią, gdzie mnie oczy poniosą.

Błądząc po tych stronach, podobał mi się ten zakątek; odłużony i ścigany przez wierzycieli, hrabia Alfons nie upierał się w targu, w kilku dniach skończyliśmy układy, i oto już ośm lat ubiega, jak mieszkam w tém ustroniu, w pociechach religii szukając balsamu na bolesne moje rany.

Przez te lat kilka, oprócz moich kochanych chłopków, nikt obcy tych progów nie przestąpił. Unikałem natrętnych głupców, którzy przyjeżdżali oglądać mnie, jak jaką osobliwość, nie mogącą pomieścić się w ich ciasnych głowach, i żyjąc sam z mojemi wspomnieniami, rozpamiętywałem smutne dzieje mojej przeszłości.

W ciągu tego czasu, ani na jedną chwilę nie zateśkniłem za światem. Kto skosztował raju cichego samotnego życia, ten mi z łatwością uwierzy, kto ten raj znajduje tylko w ruchu, w gwarze, w ukłonach, w tandetnych grzeczościach i w promiennych oświadczeniach, ten mnie nie zrozumie. Jedna tylko myśl trapiła ciągle moją głowę; czułem potrzebę przekazania komuś choć nie wiele interesujących, ale prawdziwych dziejów mego żywota, a wybór tego kogoś, bardzo był trudny. Chciałem napisać pamiętnik, ale ile razy ręka brała pióro, tyle razy przychodziła myśl, że w terażniejszych czasach spekulacyi, wszelkie pamiętniki uważają jako ścieżki do głównego celu dążące, i nie wierzą im. Wreszcie Bóg wysłuchał gorące moje życzenia, i zesłał sposobność. Teraz już jestem spokojny, zdałem na twoje barki ciężar gniotący moje sumienie, i raźniej będzie mi oczekiwać, rychło dla strudzonego wędrowca godzina odpoczynku uderzy!

Podałem rękę czcigodnemu starcowi, a on uściskawszy mię czule ze łzami w oczach, dodał:

Choć mi lżej na sercu, ale ciężej na ciele, rany odnowione potrzebują spokoju, aby się przegoiły. Odejdź mój przyjacielu, a za kilka dni,

jeżeli łaska, przypomnij sobie o dziwaku, i jego cichém ustroniu.

Odtąd wszystkie wolne od zatrudnień chwile poświęcałem panu S. Jego towarzystwo stało się dla mnie konieczną potrzebą, uczyłem się od niego cierpliwości i poddania się losowi; w jego radach czerpałem najzbawienniejsze przestrogi, w jego postępowaniu wzór cnót chrześcijańskich. Nie długo jednakże cieszyłem się mojem szczęściem; obowiązki moje powołały mnie gdzie indziej, musiałem się więc oddalić.

Czułe było nasze pożegnanie.

— Niech cię Bóg wspiera mój przyjacielu! niech ci nagrodzi każdą chwilę, którą dla mnie poświęciłeś, rzekł, nie mogąc utłumić łez, gwałtem wydobywających się z pod sędziwych powiek. Gdziekolwiek będziesz, pamiętaj o biednym dziwaku, a gdy usłyszysz, że umarł, odmów pacierz za jego duszę, i dotrzyмай coś przyrzekł.

Ukląknę przed sędziwym starcem, a on z oczyma ku niebu wzniesionemi, pobłogosławił mnie krzyżem świętym.

Ze pana S. za życia zwanego dziwką...  
może trochę słusznie; ale za życia to nazwy...  
skończył go będzie na grobie...  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!  
woda! Woda! Woda! Woda! Woda! Woda!

Upłynęło lat kilka, a z niemi dla mnie wiele zmian. Wieśniak całą duszą, musiałem przenieść się w mury miejskie, i uwięzić w nich ciche, proste, a tak miłe, tak promiennie odbijające się nawyknięcia! One mi też tylko pozostały, i nie raz wśród miejskiego gwaru, wśród salonowego blasku, pamięć śpiewa je duszy w rzewnej pasterskiej nucie, a dusza chwyta te boskie tony, i wciska je do serca, aby nie przebrzmiały na zawsze.

Niedawno znajomy mój z Lubelskiego doniósł mi, że pan S. umarł. Między szczegółami dość drobiazgowego listu, znajdowały się następujące wyrazy:

„Że pana S. za życia zwano dziwakiem, to może trochę nie słusznie; ale że teraz to nazwisko ścigać go będzie za grobem, jest wiele powodów! Wyobraź sobie, kazał się pochować w jakiejś stariej, wytartej kapocie, w której, jak mówił, odbywał wędrówki po świecie; zabronił wszelkich okazałości pogrzebowych, i zaklął na zbawienie duszy proboszcza, aby nie pozwolił postawić nagrobku. Wszystkie grunta włościańskie darował chłopom, uwalniając ich od wszelkich powinności, a folwarczek zapisał probostwu, z obowiązkiem odprawiania co rok żałobnego nabożeństwa za dusze Heleny i Oskara. Musi być w tém jakaś tajemnica, ale któż ją odgadnie.

Byłem na jego pogrzebie; trudno wyobrazić sobie uczucie, jakiego doznałem, cała gromada chłopów, począwszy od ubielonych siwym włosom starców, aż do kilkoletnich dzieci, zachodziła się, objawiając żal swój w prostych, pełnych serdeczności słowach.

— O! dobry nasz panie! wołał jeden szlochając jak dziecko, do kogo my się teraz udamy?! Nasze chaty, nasz dobytek, nasz chleb, wszystko mieliśmy od ciebie, a teraz ty daleko u Boga, a my i nasze dzieci sieroty.

— Czegóż tak biedujecie, rzekłem, przecież pan S. darował wam grunta i uwolnił od powinności.

— Ej co tam paneńku, mybyśmy woleli odrabiać pańszczyznę, a mieć naszego ojca nad sobą. Będzie dziedzictwo, będzie swoboda, ale kto poradzi i pomoże w przygodzie! taj my z tém wszystkiém sieroty!

Wiesz co, że dzień ten otworzył mi oczy! Nasz lud nie jest pozbawiony serca, potrzeba tylko, aby i panowie go mieli.“

Schowałem list ten jako upoważnienie do wypełnienia zaciągniętego obowiązku, i jako dowód, że młodzież nasza zaczyna wierzyć w istnienie serca, u tych którym dotąd téj własności zaprzeczano, i zebrawszy w pamięci dawne wspomnienia, skreśliłem to, co z ust pana S. o jego życiu i cierpieniach słyszałem.

Przedmiot nie nowy nie odznacza się intrygą, nie obudzi zajęcia u tych, którzy koniecznie w życiu zwyczajném szukają nadzwyczajności. Ale jeżeli po odczytaniu tego obrazku odpadnie choć jedno piórko ze skrzydeł obrzydliwej poczwy próżności, wtedy cel pana S. i mój osiągnięty!

przez nie przejdiesz, a w podłazie to i światło  
zejdziesz. Ladaś mówi, że tuła światła, a du-  
żaly kwarta miary, że kubi była owiec, a nie  
go przeleżyc nie można, że w apłachach za-  
waze było wazekiego zinnu, a po światłach to  
stani na pola, jak gwiazd na wysi, zonnem niebia-

PANNA KLARA I KLARUSIA MIELNICZANKA.

ponyśle, prawie obychać od progów, a on latnie  
jak nieposzony gość, jak wiatr studniowycy, do  
spróbować, wieszaczą, chłask, jak od ogłow

Szukamy szczęścia, gdzie go nie ma,  
a nie widzimy, gdzie się prawdziwie znaj-  
duje. G.

I.

W wiosce P. w powiecie Krasnostawskim, na  
wzgórzu, w wianku z lip i topoli, stoi dwór mu-  
rowany, nowy, biały, gładki, bijący z dala w oczy  
czerwono pomalowanym dachem i jedno-piętro-  
wą wystawką, rozrzucający po obudwóch stro-  
nach ganku dwa długie ramiona, jak dwie ręce  
drogoskazu, pokazujące gościom, któredy idzie  
droga ze dworu.

We dworze mieszka dziedzic, pan bardzo bo-  
gaty. Włości jego przez dobrą godzinę w po-

przek nie przejedziesz, a w podłóż, to i dwie ci zejdzie. Ludzie mówią, że ruble ćwiercią, a dukaty kwartą mierzy, że koni, bydła, owiec, u niego przeliczyć nie można, że w spichrzach zawsze pełno wszelkiego ziarna, a po żniwach, to stert na polu, jak gwiazd na wyiskrzoném niebie.

Więc dostatek zawsze i zewsząd płynie drzwiami i oknami do białego dworu. Czasem ani o nim pomyśla, prawie odpychają od progu, a on lezie jak nieproszony gość, jak wiatr grudniowy do spruchniałej wieśniaczęj chatki.

Pan Hipolit Kłodecki, człowiek przeszło pięćdziesięcioletni, okrągły, pulchny, z twarzą całkiem wygoloną, czerstwą, rumianą, toczy kółko swego życia po równej drodze, jak bilę po zieloném suknie bilardu; je, pije, bawi się, śpi i znów budzi się z myślą, aby jeść, pić, i bawić się. Nieśłychane też ma poważanie w okolicy: gdziekolwiek się pokaże, wszędzie mu czapkują, i mówią: upadam do nóżek, nóżeczek, ściele się pod stopki pańskie, i t. d. Zdanie jego, to wyrocznia delficka okolicy: Nie kupuj panie Władysławie tego konia, bo zdaje mi się, że ma pęcinę krzywą; i pan Władysław nie kupił najpiękniejszego konia na jarmarku. Nie przyjmuj panie Ignacy tego ekonomy, bo mi mówił kamerdyner, że on

mnie przed parą laty okradł; i najuczciwszy człowiek z żoną i dziećmi, na cały rok został bez chleba. Nie sprzedawaj panie Joachimie swojej wioski, bo mi dobrze z tobą sąsiadować; i pan Joachim brnął w długi po uszy, a wioski nie sprzedawał.

Czasem tylko, i to który z oficyalistów pobliskich znakomitych dóbr, jaki rachmistrz lub kasjer, nie ujął czapki, i pokręcając węsą otarł się o wielmożnego pana, ale też on za to nie miał wstępu do białego dworu, i kiedy po interesie za kupnem drzewa lub okowity zajechał, to pan Kłodecki wychodził do niego w czerwonych pantoflach, w szlafroku i w szlafmycy, i przyjmował go w przedpokoju.

W białym dworze bywały częste zjazdy, biesiady. Na kilka mil w około, w kalendarzach popodkreślane były dnie imienin, urodzin i wszystkich obchodów familijnych pana, pani i panienki. W karnawał nigdy nie obeszło się bez kuli-gu, a o wigilii przed Bożem Narodzeniem, pączkach w ostatni wtorek, święconém na Wielkanoc, odpuszcie w parafialnym kościele, lepiej pamiętano, jak o oddaniu dziesięciny proboszczom.

Szczególniej sąsiednia młodzież znała na palcach te wszystkie festyny, bo przez okna białego dworu wyglądały niebieskie oczki panny Klary, jedynéj córki państwa Kłodeckich.

Panna Klara, poczciwe z kosteczkami dziewczątko, żywa, mowna, figlarna; do udatnéj kibi-ei, do niebieskich dużych oczek, do wążutkich koralowych usteczek, do ząbków dziwnéj białości, równo, jakby pod sznur usadzonych, do czarnych, miękkich jak jedwab włosów, łączyła jeszcze jeden największy skarb: serce czułe, czyste, otwarte, a takie szczere, takie poczciwe, żeś je za pierwszym słówkiem, za pierwszym spojrzeniem odgadł i zrozumiał.

Kiedy w białéj sukience z niebieską przepaską ściągającą stanik, z włosami w długie kosy splecionemi, wybiegła ze dworu podlać kwiatki w ogródku, albo pobujać po łące, to biała brzoza przeglądająca się w strumyku, szepeząc w drobne listeczki, mówiła do siebie: czemu ja nie taka gładka, i nie tak udatna, jak ona? Kiedy w mazure tępnęła drobną nóżką i przechyliwszy główkę ku ramieniu mężczyzny, na skrzydełkach rusalki przebiegła salę, to wiatr od jéj szat wiejący, zazdrościł jéj i szemrał: czemuż ja nie tak lekki jak ona?

A kiedy stopki jéj dotknęły progu wiejskiéj chaty, gdy rączka podała lekarstwo choremu chłopkowi, albo datek kalece, gdy usta i sercem pytała matki otoczonéj dziatkami: powiedzcie czego wam potrzeba, czy czapeczki dla Stasia, czy sukienki dla Zosi? to Anioł Stróż unoszący się nad jéj głową śpiewał hymn dziękczynienia Panu nad Pany, że straży jego duszę tak do anielskiéj podobną powierzył.

Takie dziewczę, przy takim ojcu, to zjawisko, może nawet powiecie czytelnicy: to niepodobienstwo!... Za pozwoleniem, posłuchajcie dalej: panna Klara miała najcnotliwszą, pełną rozsądku i szlachetnych uczuć matkę; a aby córka wyrosła na pociechę Bogu i ludziom, dość dla niéj, gdy ma przed oczyma wzory cnotliwéj, przykładnéj matki.

Pani Kłodecka, wychowana w domu zacnym, ale ubogim, wydana za mąż wolą rodziców, była uosobnieniem tych kobiet cichych, skromnych, nie wynoszących się z zalet rozumu i serca, zrodzonych na to, aby szczęście i spokój w około siebie rozlaczć.

Od pierwszego wejścia w męzowskie progi, nie uśmiechnęło się do niéj życie, nie doznała téj swobody, jaką dwa dobrane serca doznają,

a jednakże nie upadła na duchu, nie poddała się cierpieniom, i rzekłszy sobie, że tak musi być, skoro tak jest, zamknęła się w szczupłym obrębie obowiązków żony i gospodyni domu.

W trzecim roku pożycia, Bóg dał jej córkę, jako nagrodę wszelkich przeszłych i przyszłych cierpień, i odtąd dopiero życie jej przybrało właściwą celową barwę. Zapomniała o dawnych troskach, zobojętniała dla obecnych, i we wszystkie swe chęci i usiłowania, we wszystkie nadzieje i marzenia owinęła małą dziecinę.

Pan Kłodecki, jak wszyscy jemu podobni, był samowładnym panem w domu; nic się nie stało bez jego rozkazu, wszyscy jego tylko słuchali, wszyscy mówili o panu, nikt nigdy o pani nie wspomniał.

Inna na miejscu pani Kłodeckiej, byłaby się gwałtem dobiła władzy, nie prośbą, to groźbą, nie dobrocią, to złością, ale rozsądna kobieta poznawszy, że to nie odniosłoby skutku, a zakłóciło tylko pokój domowy, zostawiła mężowi panowanie w domu i za domem, a wyłączyła tylko najprzód kolebkę, a później pokoik i łóżeczko Klaruni.

Kiedy jegomość przyzwyczajony wszędzie wsadzić swoje trzy grosze, w przekonaniu, że

tylko jego zdanie dobre, bo wszyscy je chwala, miał ochotę wejść ze swoim „ja tak chcę“ w szczupłą dzielnicę żony, to ona łagodnie, bez krzyku, z prawdziwą godnością kobiety mówiła:

— Hipolicie, zostaw to mnie, ja tak mało od ciebie żądam, a wiesz przecie, że czego rozum matki nie pojmie, to serce przeczuje.

Po takiej apostrofie, pan Kłodecki ruszał zwykle ramionami, i odchodził, a Klarusia rosła, wychowywała się, kształciła na tych przecuciach matczynego serca, których mądrość i talenta wszystkich głośnych z rozumu kobiet zastąpić nie potrafią.

Przyznacie mi więc czytelnicy, że choć panna Klara była rzeczywiście zjawiskiem, ale to dla tego tylko, że coraz mniej widzimy matek podobnych pani Kłodeckiej, i że coraz głośniej w około krzyczą: kształćcie córki na autorki, na muzykalne talenta, uczcie je paplać po francuzku, śpiewać włoskie arye, tańczyć kaczuczę, jeździć na koniu, palić cygara, a bardzo mało, i prawie setny głos powie: kształćcie je na dobre żony, matki, obywatelki, uczcie je cierpieć, znosić i kochać.

Takie dziewczę jak panna Klara, mogło wabić okoliczną młodzież, i wabiło ją też na pię-

kne. Wszyscy kawalerowie, począwszy od tych, którym dopiero mszyły się wąsiki, aż do marcowych rycerzy, cisnęli się we drzwi białego dworu; ale dalibóg, z pomiędzy nich  $\frac{1}{10}$  ważyło śliczną, dobrą, kochaną pannę Klarę tak, jak żyd Klawier z Lublina waży holenderskie dukaty.

— Ważna!! wykrzyknął nie jeden wąsaty i brodaty, obdłużony na pijatykę i rozpustę panicz, kładąc pannę Klarę z jej majątkiem na jedną szalkę, a na drugą cyfry swoich długów, i w ślad za tą myślą kazał zaprzęgać konie do koczka, którym niedawno przejeżdżała się panna Emilia, czarnooka hurysa jego rajku, i pałac z biczem, zajeżdżał przed ganek białego dworu.

Pan Klodecki przyjmował z otwartymi rękami takich gości, bo jeden miał w herbie Gryfa, drugi pieczętował się hrabiowską koroną, trzeci, z którymś z książąt żył ty a ty, czwarty wreszcie, a za nim wszyscy, aż do nieskończonej liczby, bili czołem przed rozumem, hojnością, dowcipem pana z białego dworu, jakże tu im odmówić serca, kiedy to serce pożyczone od żyda karczmarza, kłaniającego się nisko przed czterokonnym pojazdem, uchylającego czapki przed najtyczanką, a biorącego się pod boki przed jednokonnym wózkiem.

Pan Hipolit się cieszył, a biedna matka truchlała o swój jedyny skarb, o swoją śliczną Klarusię.

I jestże wspólna wszystkim uciecha na świecie?

## II.

W tej samej wiosce, w której stał biały dwór, stała także chatka Jakóba Mielnika, gospodarza na całej włóce gruntu, zamożnego, pracowitego i poczciwego chłopka.

Chatka szczupła, w ziemię wklęsła, wyglądała jednak jak babunia, czysto, schludnie w świąteczne suknie przybrana; bo zawsze ściany jej były świeżo wybielone, a okienka, jak oczki dziewczęcia, zawsze czysto patrzyły. Od gościńca oddzielał ją płot żerdziany tarniną spleciony, i zwarty wrotami z heblowanych desek zrobionemi; za płotem, po jednej stronie był ogródek, w którym drzewa gięły się pod ciężarem owoców, dalej kilkadziesiąt ulów pszczół, nakrytych deskami, a z drugiej strony, podwórko

małe, umiecione, wiodące do stodołki, stajenki i obory.

Staruszcze chatce sprzykrzyło się widać stać o własnej sile, bo prawym bokiem oparła się o rozłożystą lipę, družkę swoich dni młodzieńczych, a może i wychowanke. Ona ujęła ją w swoje ramiona, otuliła cieniem, a resztę gałęzi posłała w górę, wysoko, aby na nich drugi serdeczny przyjaciel, bocian założył sobie gniazdo.

Chatka, lipa, bocian i Jakób Mielnik, to bardzo dawni znajomi; w tej samej chatce Jakób się urodził, u gałęzi tej samej lipy huśtało się młode chłopię, i bocian choć nie ten sam, ale z tego samego gniazda, nad głową dziecka klekotał. Z chłopięcia wyrósł chłopak, oczy spojrzwały żywo na świat boży, ręka jeła się dziarsko pługa i sikiery, i praca wyhodowała silnego, czerstwego parobczaka, pociechę sąsiednich dziewcząt. Co ich było w wiosce, wszystkie ukradkiem spoglądały ku chatce; Jakób wybrał jedną, powiódł do kościoła, przysiągł przed Bogiem i sercem, że ją nie opuści aż do śmierci, i jako żywo, ani razu myślą nawet nie opuścił.

W tej samej chatce, w rok, rozległ się płacz dziecięcia, i trzeciego dnia, sąsiadka Pawłowa

zanosła małą dziecinę do kościoła; proboszcz ochrzcił i nazwał Klarą. Znów dziewczyna huśtała się u gałęzi lipy, znów nad nią bocian klekotał, i znów oczy wszystkich chłopców z wioski zwróciły się ku chatce.

Klariusia wyrosła jak topolka przy wrotach podwórka, i nie jeden patrząc na rumianą jej twarzyczkę, mówił: takiej jagódki, to nawet o świętym Janie na porębie nie znajdzie. A dobre to było, a potulne, a pracowite dziewczątko; rano zaledwie srebrna jutrzienka zajrzała w jej czarne oczki, już Klariusia zrywała się na równe nogi, i pędziła siwe wołki na paszę. Śpiewały skowronki, śpiewały słowiki, i dziewczeczka śpiewała, i jej głosik szedł daleko, bo aż opierał się o wioskę i zielone ściany gaju. Ze wschodem słońca wracała do domu, i znów z grabiami albo z sierpem dążyła w pole, grabić siano, żąć zboże, gorzoryć z rówienniczkami, z niemi pracować, cieszyć się i śpiewać.

Wieczorem, zaledwie weszła we wrota, spotykała swoją boczulkę, coby kropla wody na niej nie ustała, biegła popieścić się z nią, dać jej z ręki trawy albo solonego chleba; jeszcze nie ucackała swojej boczulki, a już w około niej zbierała się: biała, pstra, czarna, czubata, tro-

szcząca się, gdakająca gromadka; dziewczę jak fryga biegło do chatki, wynosiło pełny fartuszek ziarna, i sypiąc wieczrę dziobatej rzeszy, rachowało paluszkami, czy przez dzień co z jej trzodki nie ubyło.

Dopiero, gdy pożywione ptastwo usadowiło się na grzędzie, gdy odwiedziła w obórce swoją boczulkę, gdy zajrzała i do chlewka i do stajenki, wchodziła do izby, wypowiadać się matce z tego co zrobiła, i spocząć, bo ją znów jutro jutrzienka obudzi.

Jak Jakób Mielnik znany był w całej wiosce z poczciwości, tak Klarusię ogadano, że jest najpracowitszą z dziewcząt; i nawet w zimie matki wysyłały swoje córki na prądki do Klarusi, bo wiedziały, że u niej w ręku wrzecziono nie rdzewieje, i len z kądzieli, to nie wiedzieć kiedy się wymyka.

— Zapracuje się, powtarzała matka, głaszcząc pod brodę swoją jedynaczkę; ale gdzie tam, kiedy przyszła niedziela, albo odpust, albo dożynki, to Klariusia, jakby sobie od motyla skrzydełek pożyczyla, tak była lekka i swobodna. W białej koszulce, w wzorzystej spódniczce, w niebieskich pończoszkach z czerwonymi klinikami, z półtuzinem różnych wstążek, w długiej kosie

czarnych włosów, obszedłszy kościół z taczą na światło, obdarzywszy nie jednego, który grosz lub trojaka położył, słodkiem: Bóg zapłać, obniósłszy z rówienniczkami za processyą obraz Matki Bóskiej Sokalskiej, wracała do chatki, i dalej w swobodne z towarzyszkami i graszki. A dopiero, gdy który z chłopeów zagrał na skrzypcach, albo katrynka pojawiła się we wsi, to wiatr nie tak lekko migał żagle u flisów na statku, jak w tańcu migała jej spódniczka i wstęgi.

Jakób Mielnik i jego rodzina, znani byli dworowi. Pan jak pan, wtedy się tylko o Mielnika zapytał, gdy o pańszczyznę albo o czynsz chodziło, ale pani i panienka znały go dobrze, a szczególnie Klarusię.

Gdy Jakób raz ciężko zapadł, i żona z córką oblały go już łzami, to pani pokryjomu, za pomocą zastępcy wójta sprowadziła doktora, panienka dała na lekarstwa, i Jakób prawie, jakby z tamtego świata powrócił.

Gdy Klarusia była družką na weselu sąsiedniej dziewczyny, to panna Klara przed swoją toaletą uczesała jej włosy, sama wplotła w kosy cudne wstęgi, dała bramowany i lamowany gorsecik, i ustroiła dziewczeczkę, jak lalkę na kolendę.

Gdy wilcy zadusili obydwie krowy Mielnikowi, to pani uprosiła u męża boczałą jałoweczkę, i darowała ją Klarusi.

Kochała też serdecznie panią i panienkę poczciwa rodzina, i nieraz w codziennym pacierzu, albo w niedzielnej modlitwie usłyszałaś prośbę: Boże daj im dobrą dołę!

A gdy raz pani mocno chorowała, i doktorzy zwątpili o jej życiu, to przed obrazem Matki Bożej w miejscowym kościele gorzały wszystkie świece, i ksiądz odprawiający mszę świętą w intencyi pani Kłodeckiej powtórzył:

Bo serca naszego ludu, to hrubieszowska ziemia (\*); upraw ją, rzuć w nią ziarno miłości, a zejdzie rzesisto i bujne wyda plony; zapuść ją odłogiem, a wzrosną chwasty i głogi!...

(\*) Hrubieszowskie głośnie jest z wyborniej ziemi i wielkich urodzajów.

## III.

W białym dworze z wszystkich okien bije światło, że aż w oczach migocze, w podwórzu pełno karet, koczów, bryczek i służby, i jeszcze coraz więcej gości przybywa. Co chwila trzask bicza ostrzega o zajeżdżającej przed ganek czwórce. Pan Hipolit wita przybyłych, sąsiadkom pali urzędowe grzeczności, sąsiadów ściska czule za ręce. Oczy, twarz, wszystkie rysy mu się śmieją; szczęśliwy, wesół, dla czego?

Może dla tego, że obchodzi zaręczyny swojej jedynej córki, że serce ojcowskie kapie się w czystym źródle przecucia jej dobrej doli? Nie, on dla tego tak się cieszy, że może każdemu z przybyłych gości szepnąć do ucha:

Moja córka robi świetną partyę; hrabia Artur z Kamiennéj Woli, pieczętujący się Toporem,

skoligacony przez matkę z książętami R., a przez babkę z książętami S., oświadczył się o nią, i obchodzimy dziś zaręczyny.

Sąsiedzi winszują tak szczęśliwych sukcesów; sypią się słowa szumne, huczne, rzesiste, ukute od wieków na jedną miarę, powtarzane przy wszystkich uroczystościach, a wewnątrz cześci i puste, jak serca, które je wymawiają.

Goście cisną się do salonów, muzyka grzmi, poważne panie w atlasach i aksamitach zasiadły kanapy; młode panienki albo zajęły boczne krzesła, albo wzięwszy się pod ręce, przechodzą się po sali, wabiąc chłopców oczkiem i giestem; galonowana służba obnosi na srebrnych tacach napoje i ciasta, wszędzie gwar, śmiechy wesołość... Więc tu jest swoboda i szczęście?...

\* \* \*

W małym pokoiku, oświetlonym tylko światłem lampy, gorejącem przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed bielutkiem łóżczkiem, klęczy jakaś postać w bieli. Głowę pochyliła ku ziemi, oczy zakryła rękami, i tłumie głośne łkania wyrywające się z piersi.

Druga czarna postać stoi we drzwiach, jak posąg, jak zjawisko; nie może kroku dalej postą-

pieć, tylko rękę przyłożyła do serca, jakby chciała utłumić gwałtowną, ciężką jego boleść.

To córka i matka, wyrwały się z tańczących, wesołych, szczęśliwych tłumów, aby nad sobą popłakać.

— Klarusiu, ty tu, a ciebie tam szukają, zawołała biedna matka, zwyciężywszy samą siebie.

Panna Klara podniosła się, westchnęła ciężko, stanęła przed matką, i nogi jej się osunęły, i uklekała.

Córka i matka znalazły się w swoich objęciach.

— Moja Klarusiu, moje drogie dziecko, nie płacz, może to jeszcze Bóg przemieni.

— O! nie, moja serdeczna matko, ja przeczuwam moje nieszczęście, ja jestem pewna, że mnie ojciec odda panu Arturowi.

— Ej któż ci to powiedział; często od ołtarza się rozchodzą. Ja jutro rozpoczynam nowennę do Matki Boskiej Łaskawej, ona nas nie opuści.

— O! niech nie opuści, moja droga matko, bo jak opuści, bo jak mnie weźmie pan Artur, to ty serdeczna matko niezadługo po swojej jedy-naczce zapłaczesz.

— Gdzie panna Klara?

— Gdzie Klarunia?

— Pan hrabia Artur czeka do kontredansa! ozwały się liczne głosy w kurytarzu, oddzielającym pokój od reszty mieszkania białego dworu.

Matka odgarnęła pukle ślicznych, lśniących, miękkich jak jedwab włosów, gorący pocałunek złożyła na białym czole, i rzekła:

— Uspokój się moje dziecko, i idź, bo gotowi nas tu znaleźć, a ileżby to zaraz urosło plotek... Idź, moja pieśczołko, i ufaj sercem, że Matka Boska nas nie opuści.

Panna Klara ucałowała drżącą rękę matki, zwilżoną czystą wodą chusteczką otarła zapłakane oczy, poprawiła włosy, i wybiegła podać rękę czekającemu na nią panu Arturowi.

Gdy wyszła, gdy w około znów wszystko uci-chnęło, nieszczęśliwa matka rzuciła się na kolana przed obrazem Matki Zbawiciela, aby modlitwą użyć ściśnionemu sercu, i zasłać szczerą, gorącą prośbę do Pocieszycielki cierpiących.

A w salonie kontredans idzie w najlepsze; pan Artur tańczy z panną Klarą; przypatrzmy się im cokolwiek.

Pan Artur brunet, wysoki, szczupły, czarny zarost okrywa prawie całą twarz, jakby z umy-słu osłaniał przed ludzkim wzrokiem, tę żółtą, zwiędłą cerę, te przedwczesne zmarszczki, te

sinawe pryszcze, co obsiadły całą twarz, na świadectwo przeszłości, na pomstę zmarnowanego życia.

Cienkie nogi chwieją się pod ciężarem wyschlęj budowy, jakby już wypowiedziały jej posłuszeństwo, jakby przypominały człowiekowi, że zbyt prędko odbył przeznaczoną mu drogę.

Wklesłe, czarne, błyszczące oczy utkwili w czystym, anielskim licu swojej tancerki, jakby chciał dopatrzeć, czy ona roznieci jeszcze iskrę życia w spopielałym jego łonie.

Panna Klara, blada jak gazowa obsłonka, co się do jej pięknych piersi przytula, a jednak pełna życia i uroczego wdzięku. Duże, czarne, ławą mgłą zaszłe oczy, spuszcza ku ziemi, ręką przyciska serce, jakby chciała kwilenie jego utulić; — cierpi, a jednak odpowiada równiennikom, które jej szepczą do ucha:

— Jakaś ty Klarusiu szczęśliwa!

Na boku dwie matrony mówią do siebie:

— Patrz, sędzino, co za śliczna para!

— A co też pani prezesowa prawi: ona jak różyczka, świeża, śliczna, niewinna, a on jak śmierć, co ją w naszym kościółku nad chórem wymalowano. Patrz pani, on ledwie chodzi, a ja-

ki żółty, jaki obrzydliwy, a przytém jaki zimny i ponury?

— Ale jakie koligacye... Czy wiesz asińdzka że jego rodzi księżniczka R., że on w ścisłych stosunkach zostaje z rodziną hrabiów W., że on mógłby się sto razy lepiej ożenić. W przeszłym roku, u wód w Maryenbad, trzy księżniczki i dwie hrabianki za nim szalały.

Pani sędzina chciała jeszcze coś odpowiedzieć, ale przypomniała sobie, że mąż jej stara się o pożyczkę kilkudziesięciu tysięcy od pana prezesa, zwinęła więc, jak to mówią, chorągiewkę, i rzekła:

— W istocie, że panna Klara jest bardzo szczęśliwa.

We drzwiach oddzielających salon od pokoju zastawionego zielonemi stolikami, stoi dwóch jegomościów; jeden sąsiad Hipolita, człowiek, który w całym swoim życiu nie czytał nic doskonalszego nad Herbarz Niesieckiego, i który każdego, kogo napadł, delektował wiadomościami, z kąd się wziął Habdank, i kto się nim pieczętuje; drugi z nabrzekłą twarzą, z dużym nosem, z łysą głową, pan rewizor gorzelniany, wyrocznia okolicy, pod względem gatunku win i zdatości kucharzy.

— Niech diabli wezmą, mówił pan rewizor, tego naszego Hipolitka, jaki to z niego majster, kiedy potrafił złapać w siatki takiego panicza. Toż to dopiero u niego będą doskonałe wina!... a jaki stół? pewnie trzymać będzie kuchmistrza.

— Rzeczywiście, że to fenomen; hrabia Artur pochodzi z bardzo dawniej rodziny, pieczętuje się Toporem, a pan wiesz, jaki to starożytny herb, i z kąd pochodzi.

— Wiem, wiem, odparł skwapliwie pan rewizor. Szczęśliwe dziecko z panny Klary! a potem dodał głośnie: ale coś kolacyi nie dają!

Gdy tak jedni chwalą, drudzy cokolwiek stawiają oporu, jedynie tylko dla podtrzymania rozmowy, a wszyscy głośno i po cichu, ustami i sercem, wydają wyrok, że panna Klara szczęśliwa. Matka panny Klary klęczy przed obrazem Matki Boskiej, i zalana rzewnymi łzami, błaga o odwrócenie od niej tego szczęścia!

Otóż, co to są wyroki salonów, i ich atłasowe, koronkowe, ufryzowane, wyglansowane szczęście!

W myśl, w serce, w czyn, nikt nie zagląda, każdy patrzy na herbową karete, na błyszczące szory, na jedwabie, aksamity, pióra, świecidła,

i olśniony ich widokiem, wrzeszczy na całe gardło: szczęście! szczęście!

Gdyby zajrzał, gdyby umiał zajrzeć pod te świecące blaszki, w te groby pobielane, toby nie raz odskoczył, odwrócił wzrok, załamał ręce, i krzyknął: nędza! nędza!

Ale idźmy dalej z biegiem naszej powieści.

## IV.

W chatce Jakóba Mielnika, już od tygodnia jakiś ruch niezwykły. Komornica Mateuszowa, której od czasu śmierci meza, Jakób nie odmówił strzechy, zakasana, ze skopkiem pełnym białej gliny, z kwaczem i miotłą, uwija się od rana do zmierzchu, bieli, myje, oczyszcza wszystkie zakątki. Jakóbową z Klarusią stoją przy balii, nakładają zolniki, aby wszystkie chusty poprać, i czyściuteńkie płachty i powłoczki na łózkach pozaściełać. Parobczak przywiózł z lasu dwie fury suchych drew; widać, że jakieś pieczywo mają na myśli, bo nawet Jakób omłóciwszy kopę najpiękniejszej pszenicy, cały korzec wymłynkowanego na probostwie ziarna, zawiózł do młyna, i zagroził arendarzowi, że mu brodę

wytarga, jeżeli pięknej mąki z tego mieć nie będzie.

Do czwartku było już wszystko skończone. Chatka oblokła taką białą koszulkę, że aż w niej odmłodniała, w podwórku można było szpilkę znaleźć, a w izbie, to we wszystkiem przejrzałeś się jak w zwierciadle.

Równiuteńko ubitą w izbie glinicę (\*) posypano tatarakiem, za obrazy świętych pańskich, któremi całe ściany były okryte, bo z każdego odpustu w Radeczniczy, musiał choć jeden przybyć, pozakładano świeże gałązki lewandy, ruty, troiści, i innych wonnych ziół; w izbie więc było jak w ogródku, czysto, schludnie, pachnąco. Jakób przywdział nową sukmanę, i choć włodarz tego dnia nakazywał po drzewo do lasu, to Jakób pczęstował go przepalanką, wsunął wrękę półzłotka, i kolej go ominęła. Jakóbową zawiesiła na szyi kilka sznurek koralii, z dużym srebrnym krzyżem, co rok na trzy Króle poświęcanym, a Klarusia w białej koszulce i w białej spodniczce, w niebieskim gorseciku, z fartuszkim muślinowym w kwiaty, w niebieskich z czerwono-

(\*) W chatkach wieśniaczych nie ma zwykle podłogi, ubijają więc zamiast niej ilowatą ziemię, i to zowią glinicą.

nemi kliniczkami pończoszkach, i w trzewiczkach z czerwonymi wstążeczkami, uwijała się po izbie, wesola, uśmiechająca, swobodna.

Po południu skrzypnęły wrota w podwórzu, i niezadługo weszła do izby Maciejowa Wróbli-cha, świętecznie przybrana, kryjąc coś starannie pod fartuchem, a za nią Paweł Stalka, najlepszy po Mielniku gospodarz.

Klariusia uciekła do komory.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekła Maciejowa.

— Na wieki wieków amen! odpowiedział Ja-kób.

— Witajcie Jakóbie!

— Witajcie kumo!

Takie samo przywitanie nastąpiło z Pawłem.

— Odpocznijcie sobie, przemówiła gospodyni.

— Nam nie czas spoczywać, odrzekła Maciejowa, my tu przyszli pod waszą strzechę nie pić, nie jeść, ale dobre nowiny przynieść.

Odchrząknęła, splunęła, i mówiła dalej:

— Bóg i ludzie życzliwi wam moi sąsiedzi.

Tylko nas wysłuchajcie,  
Rękę od serca podajcie,

Bo się wam o Klarusie kłaniają,  
I dziewosłęby przysyłają (\*)

— Ha! dobrać to ochota, odpowiedziała Ja-kóbową, i nam jeno za nią dziękować, ale któż to was kumo do nas przysyła, i naszą Klarusie ma na oku.

Maciejowa obejrzała się po izbie, i odrzekła:

Z Bożego to rozkazania,  
I ze swego upodobania,  
Janko Gregorczyk nas przysyła,  
Abyście na niego uważali,  
I swoją Klarusie mu dali.  
Żeby mu siał i zbierać pomagała,  
I dziatki wychowywała.

— Żal się Boże waszego trudu, bo to się pe-wnie na nic nie zda. Dziewczynisko się za pie-cem wychowało, nic nie umie, nic nie rozumie, ot zwyczajnie, boskie stworzenie.

— Dajcie pokój; dość już ona użęła kóp na waszych poletkach, dość zgrabiła siana na wa-

(\*) Cały obchód zaręczyn, i wszystkie powtórzone mowy dziewosłębów czyli swachów, są wiernym obrazem zwyczajów ludu w Lubelskiem. W ciągu mego kilkoletniego pobytu na wsi, miałem sposobność wpa-trzyć się w te zachwycające prostotą obrzędy, i przy-słuchać się rozmaitym mowom i śpiewkom przy ta-kowych używanym.

szych łąkach, dość wyhodowała jałoszek w waszój obórcie, dość wyprzedła lnu w waszój kądzieli, dość nakręciła się koło waszego komina, czas jój już pójść na swoje.

Jak Bóg dopomoże,  
To się wszystko zmoże;  
Przecież wy ją na to strzegli i chowali,  
Abyście za mąż wydali,  
Za człeka pocziwego,  
A Jankowi nie brak tego.

Maciejowa cofnęła się ku drzwiom, a na jój miejsce wystąpił Paweł, i zaczął wychwalać Janka, opowiadać jego pracowitość, rządność, pokorę, posłuch dla starszych, i w końcu dodał:

Do waszego dziewczęcia,  
Dobrego raję zięcia.

— Ha! toć to na to gołąbka młode pielęgnuje, aby gdy porosną w piórka, założyły sobie swoje gniazdeczko, i na toć to Bóg stworzył kobietę, aby poszła z pod ojcowskiej strzechy, z pod matczynego oka między ludzi, odrzekła z westchnieniem Jakóbowa; aleć to jeszcze młode, nam potrzebne, niech się choć jeszcze trochę podchowa, nas poweseli, i resztki w ogródku nasieje. Odkłaniajcie się od nas Jankowi, i jeśli

będzie jego wola, to niech zaczeka do roku, może wtenczas dar boży od niego przyjmujemy.

Maciejowa podeszła bliżej, i rzekła:

Ej co tam odkładać,  
Co się ma dać, to dać,  
Kogo Pan Bóg stworzy,  
To go nie umorzy.  
Kiedy się kochają,  
To niech się dorabiają.  
Niech pracują szczerze,  
To porosną w piérze.

I wydobywszy z pod fartucha flaszkę z wódką i kieliszek bez podstawki, aby go nie można było postawić, dodała:

No sąsiedzie,  
Niech jak mówię będzie,  
Bodajbyście zdrowi byli,  
A za rok nam chrzciny wyprawili.

Jakób obrócił się do żony, i rzekł:

— No i cóż kobieto, kiedy im tak pilno, i tak się napraszają, to możeby i przyjąć od nich dobre słowo i dar boży?

— Ha! jak tam uważacie ojczy, waszać w tém głowa, ale godziłoby się i Klarusi popytać. Klarusiu, moja rybenko, pójdzno tu do nas!

Z komory wyrzała rumiana jak jabłuszko twarzyczka dziewczeczki, i figlarne jój oczki zwróciły się ku dziewosłębom.

Maciejowa podeszła ku niój, i rzekła:

Moja dziewczeczko, powiedzno ty szczerze,  
Czy ciebie wyjść z doma ochota nie bierze.  
Przecież ty znasz Janka, powiedz Klarusieńko,  
Czyś ty nie patrzyła za nim przez okienko.

Natakie zagadnienie Klarusia spuściła oczy, i ujawszy róg fartuszka, zaczęła go nieśmiało w rękę kręcić.

Maciejowa naląła kieliszek wódką, i podając jój, dodała:

Przyjmij ten dar boży, on ci go przysła,  
Boś ty jemu Klarusiu nadewszystko miła.

Dziewczyna podniosła oczy na ojca i matkę, ale nie wyciągnęła ręki po kieliszek.

— Ha! kiedy już taka wola boża, to nie gardź moje dziecię Jankiem, weź, wypij i podziękuj, rzekł Jakób.

— No Klarusiu nie mitreż, nie frasuj naszój kumy, dodała matka.

Klarusia drżącą ręką przyjęła ten zadatek zgody, i zasłoniwszy się ręką, cykając po kilka razy, wypija.

Swacha podała kieliszek ojcu, potém matce, i tak kolej kilka razy obiegła. Postawiono na stole chleb i sól, pierogi z gryczaną kaszą i ze skwarkami, obartuszki z cebulą, i jakoś nie dojrzano jak przyszedł wieczór.

— Czas już zanieść Jankowi dobrą nowinę, rzekła Maciejowa, zabierając się do wyjścia, i potém w samym progu dodała:

Bogu was oddajemy i dobrój myśli,  
A nie gniewajta się, żeśmy do was przyszli.  
Wasze progi przestąpili,  
Dziewczynę wymówili.  
Boć my to robili,  
O co nas prosili.

Po odejściu dziewosłębów, Jakóbowa zbliżyła się do Klarusi, pogładziła ją po twarzy, pocałowała w czoło, i rzekła:

— No, już ty nie nasza moje złotko!... ale niechże się dzieje wola boża.

Klarusia upadła do nóg matce, potém ojcu, i czarne jój oczki zaszły łzami.

Po chwili w chatce wszystko już było po dawnemu, każdy wziął się do swojej roboty, aby czas zmitreżony nagrodzić, i przez cały dzień następny nie pomyślano o tém, co zaszło, bo Jakób wyjechał na pańszczyznę, na Klarusię za-

wołano z przetakiem do podsiewania pańskiej pszenicy, a matka zakrzętnęła się domowém gospodarstwem.

W sobotę, za ledwie słońce cokolwiek podszło, i przez gałęzie lipy zajrzało w okienka chatki, przyszła Maciejowa z Pawłem, już nazwiskiem družbów uraczeni, i przygotowaną Klarusię zabrali z sobą do księdza proboszcza.

Szanowny sędziwy kapłan przyjął ich po ojcowsku, wysłuchał młodych pacierza i katechizmu, powiedział im śliczną naukę o przyszłych obowiązkach, družbom oświadczył, że nie zachodzą żadne przeszkody do połączenia młodej pary, i nad schylonemi do jego nóg narzeczonymi, pierwszy wyciągnął drżące ręce z błogosławieństwem kapłańskim.

Po powrocie z probostwa znów wszystko poszło zwykłym trybem aż do wieczora.

Wieczór, poumiatano izbę, sień, podwórko, pościerano stoły i ławy, pozaściełano łóżka, pogaszono światła, ale nie zabrano się do spoczynku.

Około godziny dziesiątej w nocy dało się słyszeć pukanie do drzwi i okien chaty.

— A kto tam, zapytał gospodarz.

— Podróżni, zbłądziliśmy, odpowiedziano za drzwiami, otwórzcie dobrzy ludzie, otwórzcie.

— Ej, co tam gwarzycie, może to zmyślenie, może nas chcecie obalamucić.

Na taki zarzut, głos niewieści odezwał się:

Dalibóg, że złych myśli nie mamy,  
Nic wam złego nie chowamy,  
Nic wam grzesznego nie uczynimy,  
Nic bez waszój woli nie wyprowadzimy,  
Nic nie zjemy, nie wypijemy,  
Dopóki waszój woli nie zobaczymy.

Jakób otwierając drzwi, rzekł:

Ha! kiedy Boga wspominacie,  
To może i złych myśli nie macie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków amen.

Bóg z wami dobrzy ludzie,  
Kiedy się nad podróżnemi litujecie,  
I ich przyjmujecie,  
I ławy nie żalujecie.

Ale żebyście zaświecili,  
Tobyśmy się trochę rozpatrzyli,  
Posiedzieli i pogadał,  
I może co ztargowali;

Bo my po świecie chodzimy,  
Targujem, handlujem,

A jak się co spodoba, to kupimy:  
Uroki zamawiamy,

Złe duchy wypędzamy,  
Wszystkiemu zaradzamy.

— Ha! kiedy nam Bóg dał takich światowych ludzi, to zaświećcie Małgorzato.

Podczas gdy Jakóbowa roznieca ogień na kominie, Jakób obchodzi przybyłych, niby przyglądając się im ciekawie, a Klarusia chowa się za piec.

Czytelnicy nasi, choćby i wychowani w murach miejskich, lub wykołysani w pałacach, domyślą się zapewne, że owi podróżni, światowi ludzie, to nie kto inny, tylko znani nam družbowie.

Jak tylko ogień błysnął na kominie, Jakóbowa zaprząnęła się około zastawienia stołu. Nie wiedzieć zkąd, jakby z pod ziemi, wyrosły i założyły na stole łokciowe pierogi, tłuste osuszone sery, świeży chleb, świeże masło, brakowało tylko flaszki z wódką.

Podróżni obejrzawszy wszystko, rzekli:

Bóg zapłać, że o nas pamiętacie,  
Dar boży zastawiacie,  
My nim nie wzgardzimy,  
Ale wprzód izbę przepatrzymy,  
Bobyśmy nie jedli i nie pili,  
Gdybyśmy u was co nie kupili.

Obchodzą izbę do koła, zaglądają we wszystkie kąty, pod ławy, pod łóżka, aż nareszcie trafiwszy za piec, wyciągają opierającą się Klarusie.

A widzicie, że macie,  
Tylko za piec chowacie.

(oglądają Klarusie)

A to chudobka zręczna,

Miluchna i wdzięczna,

My tak dufamy,

Choć się na tém nie znamy;

Ale my takiego, co się zna mamy,

I jeżeli pozwolicie,

To go zawołamy.

(wołają)

— Janku! Janku!

Na powtórzone po kilka razy pukanie do drzwi, Jakób otwiera, i Janko wchodzi do izby, ale nie śmiało, lekliwie, i kręcąc czapkę w rękę, staje przed družbami trzymającymi Klarusie.

Družbowie pytają:

U tych gospodarzy,

Coś się nam dobrego darzy;

Ale żeby nie stracić,

Pomiarkuj chłopcze, co warto zapłacić.

I obracają przed nim ciągle Klarusie, a on stoi, ogląda, mnie czapkę, pochrząchuje, aż nareszcie odzywa się:

— Drogieć to bardzo, ale com uzbierał, to oddam, i gdybyście wy tylko (kłania się do nóg rodzicom) chcieli.

Tobyście przeciwni nie byli,  
I nam pobłogostawili.

Rodzice odbierając z rąk družbów Klarusie, oddają ją Jankowi; on stawia na stole kilka flasz wódki, schodzą się krewni, sąsiedzi, družbowie i druchny, zaczynają pić, jeść i weselić się.

W środku biesiady, już nad samym rankiem, sadzają Janka i Klarusie naprzeciw siebie za stołem, i chustką białą związują im ręce, a družba występuje na środek izby, i mówi:

Bodaj żyli zdrowi i weseli,  
Jak w niebie anieli,  
Szczerze się miłowali,  
Ochotnie pracowali,  
Żydom się nie dłużyli,  
Panom wiernie służyli,  
Dziatki wychowywali,  
Chaty przed biednemi nie zamykali,  
Żeby mieli pszeniczkę bez kąkolu,  
Kóp jak gwiazd na polu,  
Żeby przednowku nie znali,  
Trzódkę hodowali.  
Żeby im się wszystko darzyło,  
Szczęścilo;

Spokoju nie mąciło,  
Szło jak z płatka,  
Do ostatka,  
Co daj Boże  
Amen!

Po odśpiewaniu jeszcze różnych piosnek przez druchny i družbów, rozwiązują narzeczonym ręce, zjawia się skrzypek, usuwają stoły, i ziemia drży pod obcasami żwawych taneczników i hożych tanecznic.

I szczęście siedząc nad niskimi drzwiami chatki, uśmiecha się, patrząc na umiłowane przez siebie serca!

I piosnka swobodna, pełna, płynie prosto z pełnych wesela piersi, z duszy prostej i czystej!

## V.

We trzy miesiące po opisanych przez nas zaręczynach panny Klary i Klarusi Mielniczanki, wieczorem, drogą od białego dworu do kościoła wiodącą, rzesisto oświeconą kagańcami, ciągnął szereg powozów z śliczną uprzężą i ze służbą błyszczącą od galonów.

W jasno-niebieskiej karecie, ciągnionej czterema gniademi końmi, siedziała panna Klara cała w bieli, z ślubnym wiankiem na głowie. Białe szaty, biały welon, a twarz Klarusi jeszcze bledsza, i oczy zasłony mgłą sercowej boleści. Siedzi jak posąg, i tylko patrzy przed siebie, a dusza jej tonie w smutnych myślach, a usta drżą do płaczu. Zda się, że trzeba tylko słówko do niej przerzec,

smutnie spojrzeć, aby łzy strumieniem pobiegły. Biedna! nie omyliły ją przeczucia!

Dwie drużki siedzą obok niej, i patrzą przez okna karety na błyszczące kagańce, na świetną liberyę, na rwące się do skorszego biegu gniadosze; u nich w myśli oświetlone salony, dobra muzyka, mazury, polki, kontredanse, gazy, blondyny, wesele, szczęście, a u niej przeczucie smutnej doli!

O niech was Bóg strzeże, moje piękne czytelniczki, od podobnego wesela!... Serce, serce! to raj, to niebo, to najwyższe szczęście!... Jeżeli ono nie oświeci waszój ślubnej drogi, to przy pochodniach, kandelabrach, świecznikach, będzie wam ciemno jak w grobie. Jeżeli ono nie zagra wam weselnój pieśni, to najcudniejsza muzyka wyda się wam hymnem pogrzebowym; jeżeli ono nie przystroi was w ślubne szaty, to na białe atlasy i na przejrzyste gazy, patrzeć będziecie, jak na całuny. Wiercie mi, że z głębi serca, przez szczerą miłość, jak do moich sióstr w ludzkości, mówię: niech was Bóg strzeże od podobnego szczęścia!

Powozy zajęchały przed przysionek kościelny. Kilku mężczyzn wysadziło pannę Klarę, dwóch wzięło ją pod ręce, dwie drużki pana mło-

dego, znanego nam już hrabiego Artura, i weszli w otwarte drzwi świątyni gorejącej od światła. Za niemi szła matka, opierająca się na ramieniu jednego z poważnych mężczyzn, nie mogąca utłumić bolesnego łkania.

Organy zagrały cudowny hymn *Veni creator*, państwo młodzi uklękli na stopniach ołtarza, chwila stanowcza zbliżyła się, pani Kłodecka już mocno łkała, wszystkich serca jakiś niepojęty smutek ogarnął. Nawet pan Kłodecki zbladł okropnie, nawet pan rewizor zdał się o czémś poważniejszym myśleć, a nie o bocionkach i pasztecie z jarząbków. Na jednej tylko twarzy nie widać było żadnego wzruszenia, żadnego odmiennego uczucia. Pan Artur z postawą zimną, pogardliwą, z głową do góry wzniesioną, z oczyma stale w jeden punkt utkwionemi, powtarzał za kapłanem słowa wiecznej przysięgi, tak, jak przy zielonym stoliku mówił *bije!* Żaden szlachetny ogień, żadne święte przekonanie nie przebiegło przez pierś zimną, ztrupieszoną, przez serce namiętnościami stoczone. Wszyscy zadrżeli, przyszła kolej na pannę Klarę!... mówiła za księdzem, ale jak?? Zdawało się, że każde słowo było gwałtem wydarte, że za każdym biegło ser-

ce, aby go schwycić i nie puścić, że każde było jękiem duszy, brzękiem zerwanej stróny życia!

Gdy przyszła do tego: *tak mi Panie Boże dopomóż*, długi jęk strwożył obecnych, obejrzeli się, pani Kłodecka zemdląca. Wyniesiono ją bez życia z kościoła, i co tylko konie mogły wyskoczyć, popędzono do dworu.

Wróciły wreszcie wszystkie powozy, gdzie w weselnych szatach zajęli pysznie urządzone sale, muzyka zabrzmiała, ale nikt nie miał odwagi odżywić zabawy; wszyscy czuli, że świętokradztwem byłoby posunąć stopy po posadzce łzami matki i córki skropionej. Chodzili po kątach, poziewali, zapijali smutek winem, zapychali tortami, które służba gęsto obnosiła, i patrzyli na zegary, pragnąc, aby skazówki jak najprędzej się posuwały.

Pani Kłodecka odzyskała przytomność, ale nie wróciła do gości; zemdlenie tak było straszne że musiano ją położyć w łóżko, i posłać po doktora.

Pani Arturowa nie odstępowała chorąg matki.

O północy zastawiono stoły, wino lało się strumieniem, zagrzmiały wiwaty, ale to nie ze szczerzej staropolskiej ochoty, ot tak zwyczajnie z musu, dla ludzkiego oka.

Takie było wesele panny Klary!

Na dwa miesiące przed tém, ten sam proboszcz pobłogosławił młodej parze, Jakóbowi Gregorczykowi i Klarusi Mielniczance. Gdy wracała z kościoła, to śpiewy wesołej drużyny rozlegały się po całej wiosce, i aż serce skakało od radości, kiedyś popatrzył na szczerą ich uciechę. Wesele trwało trzy dni i trzy nocy, pękło kilkadziesiąt garncy wódki, trzy beczek piwa, zjedzono całego wołu i kilku baranów, a od tańca to młodzież aż ochrypła. Po weselu Janko przeniósł się do chaty Jakóba Mielnika, bo on jako nie mający syna, zdał gospodarstwo na zięcia, i Klarusi jeszcze ładniej było w czepcu niż w kosach, jeszcze jój twarzyczka bardziej się zarumieniła i oczki poweselały.

Ale na to nikt nie zwrócił uwagi, bo kogóż mogło obejść szczęście prostej chłopki, do którego, jak się wyraził niedawno jeden młody wypieszczony warszawski fanfaron, tak mało potrzeba.

Zapewne, gdyby wyciągali rękę po jałmużnę fortuny, gdyby pożąдали pałaców, karet, wygładzonych posadzek, toby warto było wspomnieć, ale że im dobrze w niskich chatkach, że poprzestają na tém, co Bóg dał, to szkoda trudzić myśli!...

## VI.

Sześć lat upłynęło od wypadków, które przytoczyliśmy.

Sześć lat, to jeden krok czasu, jedno mruknięcie oka olbrzyma wieczności, a dla człowieka, to znakomita część jego życia.

Sześć lat, — obejrzyjmy się, przeszły: już tylko dalekie, mgłą okryte widoki spostrzegamy za sobą. Kilka łez, kilka uśmiechów szczęścia, trochę wrażeń, ot i wszystko, cośmy z nich unieśli, ot i przeszłość téj znakomitej części życia! A gdyśmy rozmierzali ją naprzd wzrokiem nadziei, jakaż to przestrzeń stała przed nami? ileż słońc jój przyświecało? ileż barw tęczowych nęciło nasze spojrzenia?

Dzieci! dzieci! tworzymy sobie cacka, ażebyśmy śmielej po cierniowej drodze stąpali!

I w białym dworze te sześć lat, jak wiele zmian zrządziły?

Pani Klodecka nie podniosła się z łóżka. Łzy córki, starania lekarzy, przywiązanie sług i chłopków, nie zdołały jej wrócić zdrowia. Nikła raptownie w oczach wszystkich, i nie wyszło roku, a na parafialnym cmentarzu stał prosty czworograniasty kamień, i na nim wyryte były te tylko słowa:

Teresa Klodecka, zmarła dnia 13 stycznia 1838 r.

Zdrowaś Marya,

Za jej duszę.

Pan Hipolit chciał koniecznie wystawić wspinały pomnik, wyryć na nim wszystkie herby, tytuły, a nawet i Topór zięcia pomieścić, ale pani Arturowa wymogła na nim, że zastosował się do woli zmarłej matki, która w testamencie napisała:

„Nie stawiajcie mi żadnych kosztownych nagrobków; nie chcę bowiem, aby miejsce mojego spoczynku różniło się czémkolwiek od miejsc spoczynku moich bliźnich; połóżcie tylko kamień z nazwiskiem, aby przechodzący westchnął za

moją duszę, i Klarusia jedyna moja córka, wiedziała, gdzie jej matka pochowana.“

Grom najczęściej bije po gromie. W pół roku po śmierci żony, przyniesiono panu Hipolitowi wexel na 80,000 złp., podpisany przez p. Artura. Przegrał on je w karty, potrzeba było zapłacić, lub wystawić zięcia na skutki prawem przepisane. Pan Hipolit zapłacił, ale tak się tém zgryzł, że na drugi dzień znaleziono go w łóżku bez duszy.

Apopleksya działała gwałtownie; widać było, że chory chciał się ratować, wyciągnął lewą rękę do dzwonka, ale ręka zdrętwiała, zanim dzwonek mogła uchwycić.

Pani Arturowa została sierotą, bez ojca i matki! Miała wprawdzie męża, ale czémże ten mąż był dla niej?

Pan Artur po śmierci teścia, ujrzał się nagle panem znacznego majątku; przejrzał rachunki starannie, bo z doliczeniem nawet groszy podsumował sporą kolumnę, i pierwszy raz od czasu wejścia do białego dworu, uśmiechnął się szczerze z zadowoleniem!

Ale, bo czyż nie warto się było uśmiechnąć, kiedy w myśli stanęły Włochy, Paryż, pikniki, polowania, karty, hulanki? Czy pijak nie uśmie-

chnie się na widok pełnego kieliszka, a gastronom na wonny, dymiący półmisek kotletów! Czy szulerowi nie zadrży serce na brzęk złota, a ukietki, czy nie wywoła uśmiechu szelest atlasowej sukni?

Pan Artur jedną ręką zgartywał do kufra pieniądze, a drugą pisał już prośbę o paszport. Jak chory na lekarstwo z apteki, tak on czekał na odpowiedź; przyszła wreszcie, i zaledwie dostał do ręki ów drukowany, podpisanymi i pieczęciami opatrzony arkusz papieru, to cały dwór zatrzęsł się niezwykłym ruchem i wrzawą: pan wyjeżdża!

Gdy powóz stanął już przed gankiem, gdy opakował się na wszystkie strony listami zastawnymi, poszedł do pokojów żony, zimnemi ustami dotknął jej białego czoła, uściskał uśmiechającą się do niego dziecinę, i za chwilę już go nie było w białym dworze.

Biedna żona stojąc w oknie, zalała się rzewnymi łzami.

Po trzech latach pobytu za granicą, wrócił wreszcie pan Artur pod swoją strzechę, z próżną kieszenią, z notatką terminów licznych wezłów, które po różnych miastach rozrzucił, z oczyma jeszcze głębiej zapadłymi, z sercem jeszcze zimniejszym, ale wrócił po to tylko, aby ohydne

sceny zepsutych krajów na własnej ziemi powtórzyć.

Od czasu przyjazdu, dzień w dzień zjeżdżały się tłumy złotej młodzieży i starych rozpustników. Pijatyka, karty, hulanki od świtu do północy, trzęsły białym dworem, aż strach było popatrzeć. Służba szła za przykładem panów, i wkrótce przyszło do tego, że uczciwi ludzie zaczęli biały dwór omijać.

Biedna żona po kilka razy chciała porzucić to siedlisko zgrozy, ale wstrzymywał ją widok ślicznego dziecięcia, i ta myśl: do kogóż pójdziemy sieroty!?

— Może on się jeszcze poprawi, może go widok dziecięcia wzruszy?... mówiła do siebie, i klękała przed występnyim mężem i ojcem, i zaklinała go na Boga, aby siebie i ich nie gubił!

Ale w duszy rozpustnika nie ma Boga, nie ma nic co szlachetne! Ogień namiętności ogarnął wszystko, i zgaśnie, ale tylko z życiem!



wona łuna zaświeciła nad całym dworem, a jeszcze cicho, jeszcze żywej duszy nie widać! ....Biada! biada! już i dzwony z wieży kościelnej zagrały, już dach stanął jak zebra płomienistego kościotrupa, już się pali inne budowle, a w białym dworze cicho, jakby wszyscy wymarli.

Boże! zlituj się nad niemil!...

Od wioski, przez szeroki wygon dąży gromadka chłopów leca, co im sił starczy, ale wyprzedza ich siwy starzec bez czapki, w jednej tylko sukmanie. Łuna oblała go światłem, widać jak z twarzy pot się leje, jak prawie upada ze znużenia, a nie ustaje, nie zwalnia kroku, tylko biegnie. Za nim zdąża chłopak silny, czerstwy, rumiany. To Jakób Mielnik ze swoim zięciem. Przybiegli wreszcie, ale czemuż nie idą ku środkowi?! Oni biegną pod okno, z którego miga światło!

Dach opada, gorejące głównie wiatr straszliwie rozrzuca, ciężko przystąpić, ale Jakób ze swoim zięciem przeskakuje przez płomieniste lawy, już jest przy oknie, brzęk szyb miesza się z trzaskiem palącego się dachu, już są w sypialni pani Arturowej, i po małej chwili każdy z nich wraca obarczony ciężarem. Stary Mielnik wziął na ręce swoją biedną panią, a Janko małego

chłopczyka, i znów z niepojętą zręcznością przebywają gorejące zastępy, i dążą co rychlej ku wiosce.

Dwór, stajnie, stodoły w ogniu, potoki płomieni zlewają się w jeden straszliwy ocean: trzask, łom, świst, jęk dzwonów, wrzaski rozbudzonych gości, krzyki ratujących, mieszają rozum, odbierają przytomność. Lud wynosi cudowne obrazy, obchodzi z chorągwiami wioskę, sypie sól świętej Agaty, i we łzach i jękach błaga Pana zastępów o odwrócenie głodem i nędzą grożącej klęski!

A Mielnik ze swoim zięciem nie zwracają na to uwagi, wymijają tłumy, przeskakują rowy, i co tylko sił starczy, pędzą ku wiosce.

Przybyli wreszcie przed znaną nam chatę. Stara Jakóbową i Klarusia stały przed sienią.

— Najświętsza Matko, to nasza dobra pani! krzyknęła Jakóbową.

— Tak! tak! nasza serdeczna opiekunka. Małgorzato, przedź ogień na komin, pierzynki do łóżka, przedź! przedź!

Za chwilę chora leżała w ciepłym łóżku, i popijała gorący rumianek, a Janko wyprowadziwszy ze stajni siwego, dosiadł go dziarsko, i jak strzała popędził gościńcem wiodącym do miej-

sca, gdzie mieszkał podówczas sławny doktor cudzoziemiec!

W téj saméj chatce, na czystą pościelą zasłaném prostém łożku, leży pani Arturowa, bledziutka, smutna, a jednak z jéj oczu widać, że minęło niebezpieczeństwo, że zdrowie znów zapukało do zbolałego ciała.

Koło niéj bawi się młode dziecię i trzepocze rączkami, i raz wraz jak grzechotka szczebiocze.

O podal na zydelku siedzi Klarusia z kądzielą, i nogą porusza biegun od kołyski, w której śpi czerstwy, rumiany malec.

Tyle swobody w jéj twarzy, tyle wesela w spojrzeniu, tyle szczęścia w sercu, że nasza dawna panna Klara, żona hrabi Artura, pieczętującego się herbem Topor, matka ślicznego jak anioł Władzia, wzróciwszy ku niéj swój wzrok smutny, lękliwy, westchnęła, i dwie łzy jak dwie perły, potoczyły się po bladém licu.

Klarusia dosłyszała westchnienie, zerwała się, i przyklękawszy przy choréj, rzekła:

— Moja złota pani, może wam czego trzeba?

— Nic, moja dobra Klarusiu, nic.

Wy czytelniczki, waszém czułem sercem zgadłyście zapewne, czego jéj trzeba było.

— Jeżeli zgadłyście, to dość dla mnie pociechy; jeżeli nie, to próżnoby wam mówić: wy mnie już zrozumiecie!...

Dla tych, którzy nie poprzestają na uwydatnieniu jednéj myśli, i gwałtem dopominają się u autorów wiadomości, co się z tym lub owym zrobiło, dodaje: Że pani Arturowa nie powróciła już do męża. Przyszedłszy do zdrowia, osiadła w jedném z główniejszych u nas miast, i przy pomocy dobrego i interesownego prawnika, rozpoczęła proces rozwodowy. Pan Artur czując chwiejącą się pod sobą ostatnią deskę, podtrzymującego go pomostu, zaprzestał na jakiś czas zwykłego trybu życia, bił się w piersi, i głośno przed światem *winiennem!* Ale nikt nie uwierzył téj faryzeuszowskiej pokucie, i Klara nie uwierzyła, i nawet nie chciała się z nim widzieć. Poznawszy, że komedia nie udała się, najgwałtowniej rzucił się w odmet zbytków, aby zatopić w nich ciężące mu już życie. Proces jeszcze się nie ukończył, bo wiele napotkano trudności. Szanowny obrońca podwaja usiłowania, pragnie jak

najprędzej dojsć do celu, aby uratować choć resztki majątku, dla biednej pani Arturowej i jej syna.

Kiedym niedawno w dzień powszedni przejeżdżał przez wioskę P., stanąłem przed kościołem, w którym odprawiało się nabożeństwo. Cała ludność wioski była w kościele, modląc się bardzo przykładnie. Zapytałem kościelnego, co to za nabożeństwo?

A to panenku, gromada tutejsza dała na mszę św., aby nam prędzej nasza dobra pani wróciła.

Z uczuciem szczerego zadowolenia zwróciłem spojrzenie zasłone łzami na lud prosty, pobożny, a tak wielki w swój cnocie!

Jakób Mielnik i jego żona żyją jeszcze. Pan Bóg nie skąpi im pociechy; Klarusia obdarzyła ich czwórka wnucząt, dwoma chłopcami i dwoma dziewczętami, gospodarka im idzie dobrze, przednowek nigdy do komory nie zagląda, trzódki co rok przybywa, a gdy odrobiją pańszczyznę i zapłacą podatek, to w chacie jak w raju: zgoda, spokój i szczęście!...

### ŚWIĘTY ANTONI RADECZNICKI. (\*)

Byłeś ty kiedy czytelniku w którym z cudownych miejsc naszej ziemi? Widziałeś te tłumy prostego, wiernego w duchu i w prawdzie ludu, dążącego na odpusty? Zgiąłeś ty kiedy kolano przed obrazem daleko i szeroko słynącym? Uderzyło ci serce żywiej, gdy pieśń rzewna, szczerą, — pieśń powtarzana od wieków milionami ust obija się o sklepienia świątyni, albo gdy kapłan

(\*) Radecznicza wioska w powiecie Zamojskim gubernii Lubelskiej położona, do dóbr Ordynacji Zamojskiej należąca. Baliński w Starożytniej Polsce powiada: „Radecznicza, wioska w dziwnie pięknym położeniu. Na górze w żyznej okolicy, w pośród pię-

z ambony słowami prawdy i pociechy przemówił? Nie stanęłaż ci wtedy przed oczyma przeszłość? Nie ujrzałeś cieniów matki wlewającej w twoje dziecięce serce święte prawdy religii? Nie wyciągnęłaż ona do ciebie rąk, i nie przemówiłaż do twój duszy słowami, które ucząc się mówić, niemowlęcym głosem za nią powtarzałeś? O! nie wątpię że byłeś, bo ja żyję wśród wychowawców ziemi, z dawien dawna słynącej pobożnością, wśród synów tych ojców, którzy w czasie mszy świętej dobywali szabel na znak, że gotowi głowę w jej obronie położyć, którzy odbywali dalekie pielgrzymki, wznosili pyszne świątynie, i czoła pełne zasług i chwały zginali kornie przed Panem Panów, przed Ojcem miłosierdzia. (\*)

knęj dąbrowy, wznosi się kościół z klasztorem ojców Bernardynów. Przysionek na kolumnach wsparty ozdabia kościół, w którym znajduje się obraz świętego Antoniego Padewskiego, cudami słynący. Na wysepce, w pośród stawu, jest kaplica, gdzie przy źródle objawił się cudownie święty Antoni.“

(\*) Nie raz przy największej wyniosłości i dumie, spotkać jednak można było ściśle wykonywanie obowiązków religijnych, a nawet i wielką wiarę. Magnat, który nie umiał znaleźć ceny na swoją wartość, bił się z pokorą w piersi na stopniach ołtarza, i chętnie

Nad czyjąż więc pamięcią nie kwitną te dni błogie, uroczne, w których z swobodą w sercu, i z wiarą w duszy, w gromadce sióstr, ciotek, znajomych, piechotą, z tłumoczkiem na plecach, w wilią odpustu przypadającego w jakimś sąsiedniem, cudownem miejscu, szło się połączyć swój głos z głosem ludu, swoją modlitwę z modlitwą prostaczków? Czyż serce nie odżyje, nie odświeży się na wspomnienie chwili, w której przy odsłonięciu cudownego obrazu, cała ludność natłoczonego kościoła, padała na kolana, wołając z głębi rozrzewnionego serca:

Witaj Królowa nieba i matko litości!

Witaj ucieczko nasza w smutkach i żalosci!

A któż nie uśmiechnie się szczerze, przywiódłszy sobie na pamięć te kochane czasy, w których

zginał kolana przed kapłanem. Znany jest wszystkim podpis na obrazie:

Uniżam się przed Tobą Panie z publikanem,  
Chociaż jestem Sochaczewskim kasztelanem.

W Lubelskiem, w jednej z wiosek nad rzeką Tanwią, jest krzyż, na którym dawniej był taki napis:

Pan pana od śmierci wybawił,  
Za to też Pan panu figurę wystawił,  
Jak drogie życie pańskie,—pan to wie,  
Bo nie dał mu utonąć w Tanwi.

zabawiło świecidelko od kramarza kupione, gliniana kukulka, żółta, lub w czerwone prażki fujarka, podwieczorek w cieniu lipy na dywanie, wesołe igraszki po lasku z rowiennikami, powrót wieczorny do domu, przerywany to przegrywka na fujarce, to jakim niewinnym figielkiem, nastraszeniem zieloną żabką siostrzyczki, lub wytrzymaniem cierpliwie, spacerującego po nosie chrabaszczą! O zaprawdę, nie jeden starzec zgięty latami, złamany cierpieniem, widząc zachodzącą za chmury ostatnią gwiazdkę swych nadziei, zapłakał nad temi wspomnieniami, i nie jeden jeszcze zapłacze.

Bo wiercie mi, że wspomnienia lat dziecinnych, to poezya całego życia, to niebiański chór, który zanócony młodei, silnemi piersiami, dobrzmiewa w skołataném burzą świata sercu, i bawi go i nęci, dopóki ostatnia nuta nie skona z ostatniém spojrzeniem. Szczęście i niedola, miłość i nienawiść, zadowolenie i niechęć, uniesienie i rozpacz, przesuną się przez otwarte dla nich serce człowieka, jak wąż indyjski, który ślady swoje wypala. Zostanie po nich pamięć, ale pamięć gorąca, łzawa, która uczucia topi, albo je rdzą okrywa, a wspomnienia dziecinnych ścieżek zawsze okryte są kwiatami, zawsze przy-

świeca im jutrzeńka, nigdy południowe słońce, nigdy jasnego ich nieba nie kryją dżdżyste chmury.

W wspomnieniach tych idzie zawsze naprzód, w świeżych szatach, z jaśniejącą uśmiechem twarzą, nasza serdeczna piastunka wiara, — święta wiara, we wszystko co jest u nas boskiem natchnieniem. Ileż to razy, wśród grzmiącego w około nas gwaru świata, wśród wijących się burz i namiętności, wśród tryumfów, wieńców i poklasków, przypominał się nam ów cudowny uśmiech do téj piastunki, kiedy odmówiliśmy pobożnie przed obrazem Matki Boskiej koronkę, albo odśpiewaliśmy przy świetle łuczywa, z domownikami i czeladką godzinki, lub w piątek postowe gorzkie żale.

Bo to nie raz drobnemi palcami obliczało się dnie, dzielące między sobą ulubione wieczory piątkowe, nie raz drżało się z obawy, aby za jaki figiel lub małą psotę, nie powiedziano: dziś nie będziesz śpiewał z nami gorzkich żalów! I nie była to płocha igraszka dziecinna, chwilowe zajęcie wyobraźni, nie, — wiercie mi, moi czytelnicy, jakiś niepojęty urok zalewał wtedy młode piersi, zdawało się, że ta pieśń, to rozmowa z aniołami, to stopnie do tronu téj ślicznej

Pani z dzieciątkiem na ręku, którą się tak wier-  
nie i tak czule kochało!

Jak każde serce ma swoje podobne wspomnie-  
nia, tak w każdej prawie okolicy jest miejsce  
słynące cudami, dokąd lud wielki w swojej wie-  
rze dąży jak do źródła, z którego zaczerpnąć  
może kroplę łaski, pojednanie się z Bogiem, osło-  
dę cierpień, trosk, nędzy, ratunek w kalectwie  
i niedoli..

Spytajcie Wilnianina o Ostrą-bramę, a odpo-  
wie wam: któżby nie znał Ostrój-bramy? tam  
codziennie od świtu do północy płyną serdeczne  
łzy próśb, dziękczynień i nadziei; tam matki przy-  
noszą konające dzieci, syn o sto mil wiedzie śle-  
pego ojca, kaleka na szczudłach, po roku i wię-  
cej pełza, bo tam nie jeden znalazł ratunek i po-  
ciechę.

Spytajcie mieszkańca z nad Bugu i Sanu, a na-  
przód przeżegna się ze czcią, uchyli czoła przed  
świętą stroną i wiernie i szczerze opowie, co od  
ojca swego słyszał; jak przed wielą laty, kiedy  
to cmentarz prowadził Chmielniczenko na  
polskie niwy, sokolém okiem zajrzał z daleka  
widne mury Sokalskiego klasztoru. Tam się na-  
jemy, napijemy i okryjemy, powiedział swoim,  
a oni krzyknęli: zdrów bat'ku! prowadź nas tam,

a z rak naszych zrobimy ci drabinę, po której  
wejdiesz do klasztoru! Bogdanko wesa musnął,  
czarkę gorzałki palnął, i machnąwszy czaplém  
piórem, ku Sokalowi popędził. Za nim, jak chmu-  
ry szarańczy, jak stada wron i kruków, posypała  
się niezliczona moc czerni, i spadła na okryte  
zbożami pola, na zielone łąki i nadbrzeżne ługi.  
Téj saméj zaraz nocy zaświeciły Sokalowi ogni-  
ste łuny okolicznych wiosek, a płaczliwy głos  
dzwonów klasztornych, pomieszał się z jękiem  
nieszczęśliwych, biegnących z podniesionemi do  
góry rękami, z prośbą o ratunek do swojej opie-  
kunki, Najświętszój Matki Sokalskiej. Ale od-  
trwogi zadrżały i mury klasztorne; nie było woj-  
ska, broni, żywności, i cała ludność składała się  
prawie z zakonników, starców, kobiet i dzieci.

— Nie traćmy nadziei! wołał siwo-włosy  
starzec, przełożony klasztoru, pod skrzydłami  
naszój Matki, naszój obronicielki, nic nam się złe-  
go nie stanie; ufajmy jój tylko szczerze, serde-  
cznie, i módlmy się bracia i siostry moje, padaj-  
my na twarz i zalewajmy się łzami, żałujmy za  
grzechy, a Bóg rzuci zasłonę na oczy tych, któ-  
rzy gotują się na naszą zgubę!

Głos natchnionego kapłana dodaje serca stru-  
chłałym, ciśnie się lud w otworach drzwi ko-

ścioła, zalega pomostem posadzki, strumienie łez płyną, jęki i westchnienia łączą się z błagalną pieśnią, z modłami kapłanów, z grobowym echem dzwonów.

A Bogdanko poprawia czapki, potrząsa czekanem, zwołuje starszyznę, aby obejść klasztor i zajrzeć mnichom pod kaptury. Grzmot dział i huk kotłów roznoszą tę radosną nowinę po obozie, wszędzie czapki lecą w powietrze, i *zdrow bat'ku!* wre jak świst szatańskiej biesiady.

Ale czemuż Bogdanko przed chwilą tak płomienisty od trunku i radości, nagle pobladł? czemuż nie idzie naprzód, ale stoi jak słup kamienny, z wlepionymi w mury klasztorne oczyma? Dziw! cud wielki! na murach, przy świetle pochodni niezliczone mnóstwo jakiegoś nieznanego wojska. Zdala dyamentowym ogniem błyszczą ich zbroje, a dźwięk mieczów i odgłos trąb, aż duszę dreszczem przenika. Po przedzie idzie niewiasta w bieli, od niej blask jak od jutrzynki, bije promieniami aż o wieżę kościoła i o błękitne wody Bugu. Chmielnicki pada na kolana, uderza w grzeszne piersi, i przysięga nie tknąć świętego miejsca. Ale to mało; wyprawia posłów z białą chorągwią, i prosi, aby mu wolno było upaść na twarz przed cudownym obrazem,

daje zakładników, własną ręką podpisuje mandat, i wyprawia gońców jednego za drugim po odpowiedź. Przełożony przyjąwszy zakładników, zezwala. Butny Bogdanko z czterema essaulami wchodzi piechotą na górę i dąży wprost do kościoła; tam pada na twarz przed cudownym obrazem, jak zwyciężony przed zwycięzcą, i na pamiątkę swego upokorzenia, składa na ołtarzu puhar napełniony talarami. (\*)

Biedny wylekły lud nie może nigdy wyjść z podziwu, patrzy, i nie chce oczom wierzyć, aż nareszcie ujrawszy znów czyste pola i łąki, wznosi ręce ku niebu, wraca do opuszczonych siedzib, a potem dzieciom i wnukom pokazuje wzniosłe kopuły Sokalskiego kościoła, jako ucieczkę w nieszczęściu i niedoli.

Częstochowa, do której dążą miliony ludów, gdzie codzien z tysiąca piersi głosy błagalne płyną, Częstochowa, nad którą unosi się cień Kordeckiego otoczony wieńcem błogosławieństwa, gdzie wszystko co nas otacza, tchnie świętością, czy może być dla nas obojętną? A spytajcie Mazura o Czerniaków, Podlasiaka o Leśną,

(\*) Historyczne: Łubieński, Starożytna Polska, i inni.

a mieszkańców z nad Prośny o Przyrów, a Lublinianina o Radecznicę?

Radecznica i święty Antoni, to po ojcu, matce i chatce, najbliżsi znajomi pobożnego lubelskiego ludu. Dziecię biegające za kwiatkami po błoni, wie, że jest Radecznica, a w Radeczniccy święty Antoni, który jak ojciec o biednych pamięta, który u trzymanego na rękach dzieciątka wszystko uprosi, co zechce, i pomiędzy wiernych, a szczerých swoich przyjaciół rozdzieli.

Niechno czyją chatkę niemoc nawiedzi, to wprzód niż do doktora, żona, matka, albo krewniaczka, biegnie do najlepszego lekarza, do świętego Antoniego, niesie na mszę świętą, składa ofiarki na ołtarzu, i wraca spokojna, ufna swoją wielką i czystą wiarą.

Albo gdy strapionój matce jedyne dziecko, choroba lub kalectwo przycisnie, to ona klęka przed domowym obrazem, oddaje swój skarb w opiekę świętemu w Radeczniccy, przyrzeka uroczyscie przed Bogiem i własnym sercem, że pierwsze kroki poniesie ku cudownemu miejscu, i nie raz:

Od bolejącój matki pod świętą opiekę,  
Ofiarowany—martwą podnosi powiekę,

Albo gdy biednemu chłopkowi, złodziej ulubioną, ucackaną krówkę, albo wiernego towarzysza wszystkich prac, bułanego lub siwego konika wyprowadzi, to on zanim pójdzie szukać śladu, biegnie do Radeczniccy, daje na mszę świętą, i śmielszy i pewniejszy dąży za swoją stratą.

Albo gdy dziewczeczce oczko za chłopcem pobiegnie, a on jak wiatr lekki, nie spojrzy ku jój stronie, albo gdy jój się sprzykrzy pod rodzicielską strzechą, gdy już nie mało rutki nasiała, wianeczka napilnowała, ojcu i matce dość się naprzykrzała, to z serdeczną ufnością pości dziewięć wtorków, co wtorek odmawia po dziewięć pacierzy, idzie na odpust do Radeczniccy, i wraca pewna, że jój przyszłych zapust druchny łado! łado! zanuć.

Cóż dopiero mówić o znękanych biedą, troskami i cierpieniami. Jeżeli zechcesz się przekonać czytelniku, to na parę dni przed Zielonemi świątkami, lub przed świętym Antonim (\*),

(\*) Cztery odpusty co rok zgromadzają do Radeczniccy pobożny lud lubelski: na Zielone świątki, na święty Antoni, na Najświętszą Pannę Anielską (2 sierpnia), i na święty Franciszek (4 października). Z tych dwa pierwsze daleko są liczniejsze, a trzeci, z powodu, że najwięcej koczów i czwórek na gościńcach spotkać można, nazywa się pańskim.

usiąść przy wijącym się pod górą od Gruszki i Mokregolipia gościńcu, i popatrz chwilę, co się tam będzie działo.

Starzec z siwą brodą, obładowany podróżnymi tomokami, podpierający się sękatym kijem, prowadzi za rękę ociemniałego syna. Za każdym spojrzeniem na wznoszące się wieże kościoła, rozjaśnia się bolejąca twarz starca, każdy odgłos dzwonów, dźwięk pobożnych śpiewów, nawet szum drzew, budzi w nim niepojętą radość, otacza go ufnością, i zdejmuje po trochu ciężar gniotący mu piersi.

Tu znowu dwoje sierotek wzięły się pod ręce, i rąco, jak za cackiem, biegną ku górze, bo im powiedziano: wyście sieroty, nie macie ani ojca, ani matki, idźcie do Radeczniczy, proście świętego Antoniego, a on wam i ojca i matkę zastąpi.

Tu znowu ciężko, powoli, krok za krokiem, wlecze się blada, wynędzniała kobieta. Mąż jej umarł, syn jeden daleko, Bóg wie w jakich stronach, drugiego połamało drzewo w lesie, córkę ekonom posłał do państwa, do jakiegoś wielkiego miasta na niankę, i przepadła jak kamień w wodzie, a wdowę z kaleką wygnał z chaty, bo nie mogła odrabiać pańszczyzny. Ostatnią krowę

przedała na pogrzeb męża, sprzęty inwentarskie zabrał nowy gospodarz, i nieboga została bez dachu, bez chleba i przytulku. Gdzie pójść? gdzie się uciec, jeżeli nie do świętego Antoniego? On opiekun nieszczęśliwych, śnił się jej, że spojrzawszy na nią z obrazu miłosiernie, wziął od dzieciątka śliczną nową chatkę, postawił ją nad rzeczką, wśród ogrodu, aż gęstego od drzew owocowych, potem wziął rumianą bułeczkę chleba, i dając go jej, rzekł: idź do chatki, jedz chleb, i dziękuj Bogu. Biedna zebrała resztę sił, szła cały tydzień, i przyszła nareszcie.

Tu znowu matka prowadzi za rękę małe dziecko. Niemowa od urodzenia, matka nie doznała tej radości, aby usłyszeć głos swego dziecięcia; wykarmiła, wykołysała, tyle bezsennych nocy nad nim strawiła, a ono nie przyniosło jej tej najmilszej nagrody, nie pocieszyło szczebiotaniem, nie nazwało matką. Biedna, zalewając się gorzkimi łzami, ofiarowała je do świętego Antoniego, i teraz do stóp jego ołtarzy prowadzi.

Tu znowu biegnie szybko pod górę zapłakana kobieta. Młoda, zdrowa, powabna, — cóż ją dolega? z jakąż prośbą przyszła do Radeczniczy? Oto, nad mężem jej wisi daleka droga; pojedzie, zostawi sierotę i nie wróci, a jeżeli wróci, to

starcem i może kaleką. Kumoszki radziły jej, aby poszła do dworu, zaniósła rządcy podarunki, ale ona pomyślała sobie, że i dwór i rządcą nie pomoże, jeżeli święty Antoni nie zechce, i wybrała się najprzód do Radecznicy.

A tam pod płotem sunie się na łyżwach kaleka bez nóg. Był on niegdyś najpracowitszym parobczakiem w niedalekiej, bo o dwie mile położonej wiosce. Przy zaprowadzeniu belek na pański pałac, obsunęły się bloki, i belka spadła z piętrowej wysokości, pogruchotała mu obiedwie nogi, odcięto je powyżej kolan, dano łyżwy, i teraz nieborak pełza do świętego miejsca, w tej ufności, że święty Antoni, jeżeli nie odejmie, to przynajmniej osłodzi jego niedolę.

Bolesny to widok, oderwij od niego wzrok czytelniku, i spojrzysz na te krzyżujące się z różnych stron drogi, które jak żyły w ludzkim ciele, prowadzą krew do jej ogniska, serca, tak one wiedą tysiące bogobojnego ludu do celu ich życzeń, do Radecznicy. Każda, jakby ją posiał ludem, a jaka różnorodność w odzieży, jaka ruchliwość w postaciach? Siwe sukmanki wyszywane amarantowem, niebieskimi i zielonemi sznurkami, suną zamaszysto, buńczuczno, gwarnie, nad niemi górują siwe czapki z barwistemi wstę-

gami, a każda zwieszona na lewe ucho, ostrzega śmiałka: zdaleka od nas, bo my z ordynacczyni, bo nas ojciec nasz, dziedzic, oczynszował, i my teraz nie drżymy przed batogiem ekonomskim, nie napychamy naszą pracą kieszeni dzierżawcy, zapłacimy czynsz dziedzicowi, i tacy z nas panowie pod słomianą strzechą, jak i dzierżawca, co w białym dworze pod czerwonym dachem mieszka. (\*) Koło nich dążą poważne gospodie, matki i żony, na każdej bielutenki rańtuszek, albo wzorzysta chustka, na głowach także chustki, tylko w rozmaite kształty, to gładko na węzeł, to na fontazie związane; a z pośród nich wykwitają główki dziewcząt migocące zdala różnobarwnemi wstęgami, które wiatr figlarz rozwiera, aby przebiegł po gładkiej szyjce, cienką koszulką okrytą i na spinę zapiętą, i musnął gładko uczesane kosy długich włosów. Co za żywość w tych licach opromienionych weselem, co za odblask prostoty w spojrzeniu; młodym chłopcom aż oczy rwą się ku nim, radziby

(\*) Od lat kilkunastu, włościanie w dobrach hr. Zamojskich nie odrabiają pańszczyzny, ale oplacają okup. Jak dalece wpływa to na ich byt, dość jest przejść się po kilku wioskach, aby spostrzedz to i ocenić.

przysunąć się do nich, szepnąć co w ucho, albo uścisnąć ukradkiem; ale każdy musi iść przystojnie, bo to się idzie na odpust do świętego miejsca, bo zaraz starzy zgromiliby go surowo i natarli uszu, że ażby do siwego włosa naukę popamiętał.

Wszyscy więc dążą spokojnie, cicho, czasem tylko usłyszysz jaką pieśń nabożną, lub pacierz szeptany drżącemi usty staruszki; czasem tylko brzęknie grosz rzucony w poźółkłą skorupę siedzącego przy drodze żebraka, albo doleczą głosy idącej zdala z chorągwiemi i krzyżem pobożnej kompanii. Kompanie te z różnych stron płyną lawą gęstą, zbitą, odróżniają je tylko czerwone, zielone, niebieskie i białe chorągwie kościelne, migające zdala obrazami świętych, i głośno śpiewane pieśni. Jak tylko z za góry doleci głos pieśni, lud rozstępuje się na dwie strony drogi, i dopóty dalej nie idzie, dopóki go kompania nie wyminie.

A na całej przestrzeni poprzerzynanej drogami, widzisz tu i owdzie błędzące tumany kurzu. Tu czterokonny powóz opakowany tłomokami i pudełkami, toczy się gościńcem, brzęczą kółka w krakowskich chomontach, dziarski chłopak w krakowskiej sukmance, w czerwonej z pawiem

piórem rogatce, pali z biczem, że aż w uszach łomocze, a z otwartych okien powozu wyglądają poważne twarze sędziwych matron, gładkie buziaczki dziewcząt lublinianek, rumianych, jak jagódki w ich borach, a wesołych jak strony, w których się wychowały, i pyzate twarzyczki dzieci wyglądających ciekawie, rychło im się ukażą piękne kramy, ubrane w obrazki, książeczki, paciorki, pierścionki, kukułki gliniane, i ślicznie grające fujarki.

Tu szybko, potoczysto, pędzi najdyczanka dwoma gniadoszami ciągniona. Bryczulka jak cacko składna, lekka, czysta, na konikach kropła wodyby nie ustała, a Pawełek, krępy, silny, młody, w białej sukmanie w czerwone taśmy i sznurki przybranój, z dwoma tuzinami blaszek u rzemieniaka, siedzi jak przykuty do kozła, a kiedy kto z przechodzących stanie i popatrzy na przemykający zaprząg, to Pawełkowi aż się oczy zaśmieją, tak rad z tryumfów, jakie jego wychowanie gniadosze odnoszą. W bryczulce siedzi młody, przystojny chłopiec, oko pełne ognia, twarz jak krew z mlekiem, a wąs gęsty, gładki, pokrecony. Na całej twarzy znamie męskiej siły, której teraz ze świecą szukać trzeba, a w spojrzeniu spokojnym, czystym, wyraz siły serca,

jedność wiary, cnoty i rozumu. Jedzie do Radeczniczy wysłuchać mszy świętej przed cudownym obrazem, i westchnąć szczerze, serdecznie, o pomoc w jakimś zamiarze, co zabłądził do jego serca razem ze spojrzeniem hożej, miłutkiej sąsiadki, razem z uściśnieniem jej pulchniej, drobnej rączki. A jeśli po tém wszystkiém przejdzie się po lasku, i przez ciekawość zajrzy w oczki idącym z matką córeczkom, albo zaproszony przez gościnnego gwardyana, pomnoży liczbę biesiadników, i szklanką miodku traci o szklankę zakonnika, to wraca taki wesół, z takim lekkim ciałem i sercem, że zdaje mu się, iżby jaskółkę w locie uprzedził.

Tu znowu rączym truchtem biegnie mierzynek siwosz, i ciągnie bryczulkę małą, wypłataną korzeniem łoziny, lub wyłożoną lipowemi deszczkami. Na niej siedzi jejmość w czepku z dużemi szlarkami i dużemi ze wstążek *fontaziami*. W Laponii uchodziłaby za piękność pierwszego rzędu, bo na policzkach dobrej miary, pulchnych i wydatnych, kwitną dwie piwonie, zawsze barwiste i widne zdaleka, a z pod czarnych, w spory łuk zagiętych brwi, wygląda silne, wyraziste spojrzenie. Koło niej tuli się dziewczę jasnowłose, z okrągłą twarzą, w perkalikowej

sukience i niebieskiej kacabajce, a naprzeciw siedzi dwoje przyszłych pociech, pyzaty i rumianych. To pani ekonomowa z pobliskiej wioski, jedzie z działkami do Radeczniczy, prosić Boga o zdrowie i chleb dla swój ubogiej rodziny. Od kilku miesięcy obiecywała dzieciom tę uciechę, i teraz wyprosiwszy u męża siwosza, a u pana wózek, wymywszy, wycackawszy swe przyszłe pokolenie, wiezie je do świętego miejsca, aby wiedziały, że jest Radecznicza, a w niej święty Antoni, który piastuje na ręku Najświętsze Dzieciątko.

Tam dziarski młodzieniec sady na pięknym, roslym wierzchowcu, owdzie kryta siedlecka bryka wiezie familię pana dzierżawcy lub pana rządcy obszerniejszego majątku. Przed niemi, obok i za niemi, pospieszają dwukonne, jednokonne, w drabinkach i łubiaste wózki panów mieszczan i zamożniejszych włościan, a wszystkie pełne, w poprzek i wzdłuż, i znowu w poprzek zasadzone kobietami, starcami, dziećmi. I to wszystko dąży do jednego celu, do jednego ogniska, gdzie się skupi, zleje, i w jednej massie odda część tyłu serc, pragnień i chęci,— do Radeczniczy.

A kościół Radeczniczy z wyniosłej góry patrzy czystą twarzą na te garnące się ku niemu tłumy, i jak czuły ojciec, otwiera dziatkom podwoje swego serca, aby weszły i nakarmiły się po ciechą.

A święty Antoni z Najświętszym Dzieciątkiem na ręku, w srebrnej sukience, okrytej niezliczoną liczbą pobożnych wotów, jaśnieje w wielkim ołtarzu, i patrząc łagodnie, czule na lud swój, rozlewa łaski i błogosławieństwa.

\* \* \*

Prześliczne bo téż to, i prawdziwie cudowne miejsce ta Radecznicza. Z zachodu na wschód, jak tylko okiem zasięgniesz, widzisz różnobarwny kobierzec równin, na których tu i owdzie usiadły porządnie zabudowane i drzewami ocienione wioski. Mokrelipie ze swoim pięknym, białym kościołkiem otoczonym lipami, Gruszka zaporska z dworem, który czerwonym dachem imponuje okolicy, Czernięcin, miejsce pobytu sławnego poety Szymonowicza, Nowa wieś z porządnymi budowlami, w jednej linii wyciągniętymi, wszystkie poprzerzynane zielonemi smugami łąk, przez które biegnie swobodnie rącza rze-

czulka, wszystkie wyglądające białe, świątecznie, szczególnym urokiem wabią ku sobie oczy. U krańca tych równin spotykasz małą wioseczkę Radecznicę. Chatki wieśniacze czyste, schludne, przytuliły się do wysokiej góry po nad drogą, pookrywały gęstemi sadami, i tylko gdzie nie gdzie wzierają zalotnie ku drodze, aby znieść przechodzących. Dalej także pod górą pierwsza kaplica na wodzie, wystawiona w tém miejscu, gdzie stała chatka Szymona, i gdzie mu się święty Antoni po raz pierwszy objawił. (\*) Kaplica ta zbudowana na palach, wśród czystego kanału, mieści w sobie studnię ocembrowaną aż do dna kanału, z której lud pobożny czerpie wodę uzdrawiającą rozmaite cierpienia. Bogobojniejsi

(\*) W następnym obrazku, pod tytułem: *Bilgorajanka*, jest krótka wzmianka o objawieniu się świętego Antoniego Szymonowi wyrobnikowi. Dla dopełnienia całości, umieszczam tu obszerniejszą wiadomość: Roku 1664. dnia 8. maja w nocy, Szymon Tkacz, wyrobnik w Radecznicy, usłyszał głos wołający go po imieniu; otworzył okno, ale nie ujrawszy, położył się; dopiero kiedy drugi raz zawołano, wdział odzienie i wyszedł z chaty, mówiąc do siebie: a dla Boga, któż mnie tam woła?...

— Szymonie! tożes leniwy na wolę i rozkazanie pańskie! Pójdź co prędzej, i zwróć oczy ku górze.

i mocniej wierzący, dotąd jeszcze widują w tej studni dwie złote rybki, rzucone niegdys w rzekę przez świętego Antoniego, a nikt nie ominie kapticy, aby w dzbanuszek cudownej wody nie zacerpnął. Dalej idąc ługiem ciągle pod górą, ujrysz porządnie zbudowane domki, schronienia ludzi, którzy namocowawszy się dość ze swia-

A na górze ujrzał ogień wielki, i pomyślawszy, że to pewnie pieniądze się palą, powiedział o tém żonie, i poszedł. Zaledwie stanął na górze, patrzy, aż stoi zakonnik, otoczony niebiańską światłością, i mówi:

— Szymonie! leniwyś na rozkazanie pańskie! Znasz że mnie, ktom jest?

— Nie, — rzecze struchlały Szymon.

— Jam jest święty Antoni; mam to z woli Najwyższego Pana, abym tobie opowiedział, iż na tém miejscu chwała Boga Najwyższego odprawiać się będzie, przezemnie, chorzy, ślepi, chromi, i różnemi dolegliwościami utraپieni, znajdować będą pociechy swoje. Chorzy zdrowie, ślepi widok, chromi chód, zgoła wszyscy uciekający się na to miejsce, bez zysku laski nie pójdą.

Potém, święty kazał za sobą pójść Szymonowi, przy nim poświęcił wodę w stoku, i kazał, aby udał się do Zamościa, i aby opowiedział co widział i słyszał przełożonemu OO. Franciszkanów, a na znak dał mu karteczkę papierową, cudnie woniejącą. Dalej, gdy cud zaczął się rozgłaszać i lud gromadzić, święty Antoni znów staje przed chatą Szymona, i mówi:

tem, przyszli tu odpocząć pod skrzydłami świętego spokoju; ale nie będziesz mógł długo zatrzymać wzroku na białych ścianach, czyściutkich oknach, umajonych bluszczem gankach, bo wzrok twój wnet zbiegnie na prawo ku górze.

Po mnogich kamiennych stopniach, od podnóżka góry, aż do jej szczytu wznoszących się,

— Szymonie! tożes leniwy na wolę i rozkazanie Najwyższego Pana?! Idźże do wójta, a opowiedz mu wolę, aby figurę tu na tém miejscu postawił.

— Święty ojeze, boję się, aby mnie nie uwięził, odrzekł Szymon.

— Idź, nie bój się, Pan z tobą.

Poszedł Szymon do wójta, pana Walentego Psorskiego w Mokremlipiu, i wyprosił u niego drzewo na figurę. Gdy wyrobiono figurę z dębu, wójt nie chciał dać więcej ludzi do jej wzniesienia, mówiąc:

— Jeżeli święty Antoni tego chce, i tobie to rozkazał, niech wam dopomoże.

Stało się, że kiedy ów niedowiarek, chcąc przekonać się, co się stanie, jechał na górę, konie mu w pojeździe ukłękły, a Szymon z dwoma tylko sąsiadami lekko podniósł figurę.

O tém wszystkiém dowiedziawszy się dziedzic Radeczney, ksiądz Mikołaj Swirski, biskup Cytryński, sufragan chełmski, powziął myśl ufundowania w miejscu przez świętego Antoniego obraném, kościoła, i tę myśl w roku 1667. skutecznie, wystawiwszy obok kościoła klasztor, i wprowadziwszy do niego OO. Bernardynów. (Wiadomość z akt miejscowych).

wstępują masy ludu z oczyma wzniesionemi ku klasztorowi, który na samym wierzchu góry siedzibę swoją założył. Przed wnijsciem spotykasz obmurowaną figurę drewnianą, tę samą, którą Szymon wyrobnik na rozkaz świętego, przy pomocy sąsiadów wznosił wśród lasu, a stanawszy u drzwi kościelnych, i rzuciwszy wzrokiem ku równinom, obejmiesz daleką, prawie jednomyliową przestrzeń, w mgłę oddalenia niknącą. Obszedłszy mury klasztorne, otoczone wyniosłemi drzewami, znajdziesz się wśród najpiękniejszego klonowego, lipowego i bukowego lasu, okrywającego całą przestrzeń góry. Pomiedzy wyniosłemi dwuwiekowemi drzewami, migają tu i owdzie białe ściany kaplic rozrzuconych po całym lesie, zapelnionych ludem śpiewającym nabożne pieśni, a ścieżkami wijącemi się kręto przechodzą różnobarwne tłumy, jedne ku kościołowi, inne z kościoła, na obchód kaplic i przechadzkę. Na trawnikach, w cieniu drzew, stoją powozy, bryki, wózki, płasają dzieciaki wygrywające na fujarkach, lub kukające w gliniane kukułki. Gwar i ruch niepojęty: tu galonowa służba rozściela dywany państwu, chcącemu odpocząć w cieniu, i zjeść przywiezione z sobą przysmaczki, owdzie, ci co nie mają dy-

wanów, swobodnie, ochoczo, usiedli na trawniku, i z łyczkowych kobiałek dobywają przybory; dalej, przy jakimś wózku, kumowie i kumoszki częstują się serdecznie, dodajmy do tego kilkudziesięciu dziadów siedzących przy drogach i ścieżkach, to grających na lirach, to śpiewających:

Póki będzie duch w mém ciecie,  
Będę bywał w tym kościele,  
U świętego Antoniego,  
W Radeczniczy zjawionego.

albo tylko powtarzających nieustannie: pobożna duszyczko! do pocieszenia świętego Antoniego, nie opuszczaj kaleki. Turkot przejeżdżających powozów, odgłos dzwonów z wieży kościoła, a będziemy mieli wyobrażenie, jakie życie w lasku Radeczniczym panuje.

Ale dłuższy i gwarniejszy głos dzwonów daje znać, że w kościele rozpoczyna się summa. W jednej chwili opróżniają się trawniki, powozy, wózki, i któredy kto może, czy wielkimi drzwiami, czy bocznemi od strony lasku, ciśnie się wgłąb świątyni. Tam już, jak kłosisista niwa, kłonią się w tę lub ową stronę głowy zebranego ludu, zwrócone twarzą do wielkiego ołtarza,

w którym jeszcze nie odsłonięto obrazu świętego cudotwórcy. Odzywają się organy, tysiące ocz patrzy jak w tęczę, w wielki ołtarz, tysiące serc drży oczekiwaniem, aż tu opada powoli zasłona kryjąca cudowny obraz, i wychyla się łagodna, miła, anielska twarz świętego, zwrócona ku ludowi, i zdająca się wejrzeniem go błogosławić. Co żyje, pada na kolana, co umie mówić, podnosi głos, w jednolitej, z wszystkich serc płynącej pieśni. Po małej chwili już cały obraz odsłonięty przed oczyma wiernych; święty Antoni w srebrnej, okrytej wotami sukience, trzyma na jednym ręku Dzieciątka Jezusa, uśmiechające się do niego, a w drugiej lilię białą, godło anielskiej czystości.

Dziś jeszcze, chociaż już wiele dni ubiegło, jak pożegnałem Radecznicę i jej miłe strony, chociaż z naszym słowikiem ukraińskim mógłbym powtórzyć:

Jak kraj długi, szeroki,  
Z moją pieśnią podróżną,  
Zmieniam miejsca, widoki,  
Ale zmieniam napróżno.

Jednak dziś jeszcze widzę ten obraz, w całej jego przejmującej świętości, i powiadam, że pe-

zel najbieglejszego malarza, bez wpływu łaski bożej, nie potrafiłby oddać takiego wyrazu twarzy, takiej jasności w spojrzeniu, takiej cudownej harmonii w układzie. Tylko człowiek duchem i sercem święty, mógł taką świętą całość utworzyć.

Zaledwie odsłonięto obraz i wzniosłe Gloria zabrzmiało u stóp ołtarza, w różnych miejscach obszernego kościoła widzisz padających krzyżem, słyszysz głośne łkania i prośby; zdaje się, że spostrzegasz pojedyncze cząstki modlitwy, łączące się w jedną całość, i płynące razem z wonią kadzideł, z głosem kapłanów, wysoko, do stóp Wszechmogącego Ojca. Serce drży radością, duch wrywa się w krainy ścigane wyobraźnią, a w tém wymowny ksiądz B. z Fajslawic ukazuje się na ambonie, i odzywa się do ludu, który go tak szczerze miłuje. Mowa jego pełna wzorów, mocy i zapału, przejmuje słuchaczy, każde słowo, prosto, z uczuciem wymówione, wstrząsa sercami, a przykłady pełne prawdy, odnoszą każdego w codzienne jego życie. Już nie pojedyncze westchnienia i łkania, ale jeden płacz powszechny wstrząsa sklepienia; a kaznodzieja nie ustaje, maluje rozrzewnionemu ludowi miłosierdzie boże, zachęca do wytrwania, do

ufności, i łzy niedawno wyciśnięte ociera. (\*)  
Wzruszony, skruszony lud z podwójną gorliwo-  
ścią kończy nabożeństwo, i wychodząc z kościo-  
ła, jeszcze oczy zasze łzami zwraca ku ołta-  
rzowi, jakby dziękczynną ofiarę za pociechy  
i nadzieje, które na niego spływały.

Kto chce przekonać się, jakie to pociechy na  
lud garnący się do Radecznicy spływały i spły-  
wają, niech zwiedzi korytarze klasztorne, i od-  
czyta na wielkich, kilko-fokciowych płótnach,  
olejno pomalowanych, cuda i łaski, jakich wierni  
w duchu i prawdzie na tém miejscu doznali; niech  
przejdzie się po okolicznych wioskach i zaścian-  
kach szlacheckich, i wysłucha opowiadań z ust do  
ust przechodzących, z pokolenia pokoleniu prze-  
kazywanych.

(\*) Że wrażenie, jakie kazania księdza B. z Faj-  
sławie na lud wywierają, nie jest przesadzone, zarę-  
czam. Byłem raz świadkiem, jak po kazaniu, wśród  
którego głośny płacz w koło słyszałem, zbliżyła się  
ku ławce staruszka, i zapytała się siedzącej obok mnie  
kobiety, czy nie zna księdza, który mówił kazanie.  
Znam go, bo to mój brat, odpowiedziała żartem są-  
siadka; staruszka zaczęła ją w ręce i w kolana całow-  
wać, i w końcu rzekła: Pani musisz mieć wielką łas-  
kę u Boga, kiedy masz takiego brata.

Może znajdzie się taki półmédrek, który słu-  
chając tych opowiadań szczerych, prostych, na-  
tchnionych wiarą i sercem pojętych, przemierzy  
je cyrklem swego głębokiego zdania, i złoży na  
barki jakichś zbiegów okoliczności, szczególnych  
trafów, zastępujących w jego głowie to wszys-  
tko, czego on pojąć nie umie; ale wieluż będzie  
takich, którzy je przyjmą z szczerą, serdeczną  
wiarą; którzy w tych zbiegach okoliczności  
i szczególnych trafach ujrzą rękę ojca, kierują-  
cego losami swoich dzieci.

Człowiek prawdziwym i pewnym rozumem  
obdarzony, najczęściej nie wdaje się w podobne  
rachunki matematyczne z wiarą; dowód tego mia-  
łem niedawno, i wybaczcie czytelnicy, że odsta-  
pię od miejsc opisywanych, i na chwilę prze-  
niosę was do Warszawy.

Niedawno, byłem w domu znanym powsze-  
chnie w Warszawie z gościnności i zalet towa-  
rzyskich. Szanowny gospodarz, odznaczający  
się rozumem i przymiotami serca, zajmujący zna-  
komite stanowisko w społeczeństwie, opowiadał  
kilku zebranych osobom następujące zdarzenie  
ze swoich lat młodzieńczych:

— Skończywszy szkoły w Radomiu, mówił  
on; powziąłem zamiar udania się do uniwersyte-

tu; otrzymawszy więc z rąk szanownego rektora patent i świadectwa, z błogosławieństwem ojca, i szczupłym bardzo zasiłkiem pieniężnym, na jaki się mój ojciec, dzierżawca małej wioski, mógł zdobyć, z czterema kolegami szkolnemi wybrałem się do Warszawy. Ani ja, ani moi koledzy, nie znaleźliśmy jej zupełnie, i traf zrządził, że wszyscy nie mieliśmy w tém mieście ani krewnych, ani znajomych, jedném słowem, żadnego z nikąd wsparcia i protekcji. Przybywszy, stanęliśmy na drugim, czy na trzecim piętrze, przy Trębackiej ulicy, w jednej izdebce, i pierwszą rzeczą, która nam w oczy wpadła, był afisz teatralny. Grano jakąś tragedję; poszliśmy razem, i jak pamiętam dość wysoko. Sztuka była wybornie przedstawioną, myśmy nic podobnego w życiu nie widzieli, uniesienie więc nasze było wielkie. Gorąco było nieznośne i tłok nadzwyczajny; znużony, roztargniony, rozpiąłem surdut, aby się ochłodzić, i ustawnie musiałem się oglądać, aby mnie potracono. Wreszcie wydostaliśmy się z tłumu, i wdrapali do naszej izdebki. Pierwszą myślą, która po ochłodnięciu przeszła przez moją głowę, była myśl o papierach, o tym jedynym skarbie, który miał mi zastąpić wszystkie protekcye i starania. Któż opowie moją roz-

pacz, gdy ich nie znalazłem w bocznej kieszeni surduta, gdzie przed wyjściem do teatru były razem z pularsem, zawierającym cały mój majątek. Wybiegłem na miasto, obleciałem kilka ulic, napastowałem kilku przechodzących, którzy Bogu ducha byli winni, i około pierwszej godziny w nocy, wróciłem do stancyi. Gorzki żal zalewał mi piersi. Co się stanie z moją przyszłością, z mojemi pięknymi nadziejami? nie umiałem sobie dać rady, całą noc oka nie zmrużyłem; okropne udręczenia sprowadzały mi najstraszniejsze obrazy. Jak tylko słońce weszło, ubrałem się, i wyszedłem na miasto; nie udałem się pod teatr, ale poszedłem Trębacką ku Krakowskiemu Przedmieściu, bez myśli, bez celu, bo moja głowa była tak zmacona, myśli tak tłumne, że nic z nich wybrać nie mogłem. Przechodząc koło kościoła Karmelitów, jakieś natchnienie szepnęło mi: wejdz! — wszedłem, — i pierwsze spojrzenie moje padło na ołtarz świętego Wincentego Feraryusza. Ukląknę na stopniach ołtarza, i przez dwie godziny modliłem się najszczerzej, najgoręcej. Modlitwę tę do dziś dnia pamiętam, bo modliłem się całą duszą, bo łzami oblewałem każdą prośbę za sobą i moją przyszłością niesioną. Kiedy wyszedłem z kościoła, uczułem, że

mi się lżej zrobiło na sercu, mogłem zebrać myśli i zastanowić się nad tém, co mi w najgorszym razie czynić wypadało. Podziękowawszy Bogu i świętemu Wincentemu za tę widoczną łaskę, dla nabrania sił i odetchnięcia świeżem powietrzem, do którego przywykłem, poszedłem za Pragę na pola i łąki, i dopiero nad wieczorem, potrzeba posiłku przywołała mnie napowrót do Warszawy. Koledzy wzięli mnie z sobą do kawiarni, którą utrzymywała głośna wtedy *Czar-na Marysia*. Pomimo tego, że byłem zgłodniały, wszedłszy tam, wziąłem najprzód do ręki Kuryerka, przejrzałem pierwsze szpalty, i już miałem go położyć, gdy spojrzenie zabiegło na ostatnią stronę pomiędzy ogłoszenia. Patrząc, i nie chcąc oczom wierzyć, czytam, a litery mi rosna, i najrozmaitsze przybierają kształty. Zdaje mi się, że jestem we śnie, i może po raz dziesiąty czytam:

„Pan \*\*\* uczeń z Radomia, zechce zgłosić się do redakcyi Kuryera, po odbiór zgubionych papierów.“

Gdybym teraz przeczytał, że jakie summy neapolitańskie mnie czekają, tobym nie doznał takiej radości, jak wówczas. Nic dziwnego, życie przeszło przez tyle burz, przez serce przesunę-

ło się tyle wrażeń, że radość i smutek, jest tylko bladym odbiciem téj radości i smutku, jakich się za dni żywszego uczucia doznawało.

Uściskałem po kolei wszystkich kolegów, *Czar-ną Marysię*, i gdyby mi nie było tak pilno, to byłbym pewnie wszystkich gości w kawiarni uściskał; i rozpytawszy się, gdzie jest redakcyja Kuryera, pobiegłem. W redakcyi powiedziano mi, że mam się udać do samego redaktora, i wskazano drzwi jego gabinetu. Wszedłem. Szanowny pan Ludwik Dmuszewski siedział w fotelu, i przerzucał jakieś notatki.

— A cóżes to waćpan zgubił? zapytał, gdym mu powiedział moje nazwisko i cel przybycia, wymieniłem najdokładniej wszystkie papiery, listy, i monetę w pularesie.

— Dobrze, bardzo dobrze; oto są papiery i pieniądze,—ale to jeszcze nie koniec.

Dobyłem sakiewkę, w której miałem kilka złotych drobnemi, sądząc, że pewno chodzi o zapłatę, ale Dmuszewski spojrzał na mnie groźnie, i rzekł:

— Nie oto tu idzie, o czém waćpan myślisz. Z nami nie koniec na tém, bo z papierów waćpana pięknych rzeczy się dowiedziałem: byłeś najpierwszym uczniem, masz wszystkie stopnie

celujące, nauczyciele ze łzami cię żegnali; takie chęci należy wspierać, i Ludwik Dmuszewski w podobnych razach nie był nigdy ostatni. Dom mój będzie dla waćpana otwarty, a co czwartek czekać cię będę z obiadkiem.

Uściskałem serdecznie podaną mi rękę, a pan Ludwik mówił dalej:

— To dopiero z mojej strony; a i znalazca tych papierów, człowiek bardzo szanowny i urzędnik znakomity, pragnie waćpana poznać. Oto jego adres, znajdziesz go codziennie do 10<sup>tej</sup> z rana w domu. Nateraz już koniec; bądź waćpan zdrów, i nie zapominaj, że masz w Ludwiku Dmuszewskim szczerego estymatora.

Nazajutrz poznałem wskazanego mi przez paną Ludwika znalazcę. Godny, szanowny, zapoznał mnie zaraz ze swą rodziną, i do bywania w swoim domu zachęcił.

Tak więc w jednej chwili odzyskałem moje papiery, i znalazłem dwa domy, w których wśród różnych kolei i wypadków, przyjmowano mnie jak członka rodziny, jak domownika. Nie byłem więc już sam jeden w ludnym mieście, a wiecie jak to miło młodemu powiedzieć sobie: nie jestem już dla wszystkich obcy.

Chwile te, których nigdy nie zapomnę, były dla mnie chwilami prawdziwego szczęścia. Podziękowałem za nie serdecznie świętemu Wincentemu, i do dziś dnia nie ominę nigdy kościoła Karmelitów, abym nie wszedł i nie westchnął przed obrazem dawcy, tej pierwszej, a tak zbawienniej w skutkach pociechy.

Z nieopisanym zadowoleniem słuchałem tego opowiadania, i postanowiłem, bądź co bądź, przy pierwszej sposobności, podzielić się z czytelnikami mojem wrażeniem. Dobrze tak szanownemu gospodarzowi, niech nie opowiada podobnych zdarzeń przy tych, którzy słuchając, już mają pióro w pogotowiu.

Ale wracajmy do Radeczniczy. Cudów i wypadków w aktach klasztornych opisanych, powtarzać nie będę, znajdzie je każdy, kto zechce Radecznicę odwiedzić; (\*) opowiem tu tylko parę wydarzeń z ust ludu wziętych, które żywiej nad inne utkwily mi w pamięci.

(\*) Z cudów zapisanych w księgach klasztornych, przytoczę tu dosłownie jeden, jako mnie więcej obchodzący:

„Roku 1677, dnia 8. września, JM. pani Maryanna Wieniarska, będąc chorobą złożoną, gdy przyszedł czas śmierci, Panu Bogu ducha oddała. Frasobliwe-

Prześliczny dzień czerwcowy zniżał się ku zachodowi, słońce złociło kopuły klasztoru, w kościele kończyły się nieszpory, lasek się wydłubił, gdzie nie gdzie już tylko odezwała się fujarka u kramarzy kupiona, i wdzięczne swoje tony daleko, z echem biegnącym po rosie przesłała. Przechodziłem koło kapliczki, stojącej nie daleko drzewa, na którym święty Antoni węzeł z młodocianych jeszcze gałązek zawiązał. Kapliczka była otwarta, na ołtarzu gorzało parę lamp, a na stopniach klęczał starzec, z białą, długą brodą, w niebieskiej, prostej kapocie. Twarz starca, chociaż poorana zmarszczkami, dziwnie pociągała ku sobie; wszedłem więc do kapliczki, a kiedym z boku spojrział na niego, widziałem, że ocierał łzę, która wytoczyła się z pod drżącej powieki. Zatrzymałem się chwilę, starzec skończył pacierze, powstał, i zbierał siły do

mu małżonkowi pokazuje się święty Antoni, ciesząc go, i o życiu jej, ażeby ją tylko na górę Radecznicką ofiarował, zapewniając. Ratuj nas święty Antoni! woła; i dziwna rzecz, w tym momencie umarła powstaje, chociaż już więcej, jak dwie godzin umarłą była. Co też JM. pani przyjechawszy tu z małżonkiem swoim JM. panem Wojciechem Wieniarskim dobrą sumieniem to zeznali.

wyjścia; zbliżyłem się ku niemu, i chciałem wsunąć mu w rękę jałmużnę.

Starzec cofnął rękę, i rzekł łagodnie:

— Dziękuję wam panie! Z łaski boskiej mam kawałek chleba i szmatę do okrycia, a więcej mnie staremu nie potrzeba.

— A o cóżeście tak gorąco prosili? rzekłem dość niezgrabnie, zmieszany niespodziewanym znalezieniem się starca.

— Czyż to tylko człowiek ma zawsze o co Pana Boga prosić?... alboż nie ma za co dziękować?...

— Prawda, prawda mój staruszk, powiedziałem to bez myśli.... Ale wy muscie blisko Radecznicy mieszkać? dodałem po chwili, dla przecignięcia rozmowy.

— Nie panie, siedm mil ztąd.

— I z tak daleka przychodzicie?

— Nie raz, ale cztery razy na rok.

— I wystarczą wam nogi?

— Jak tylko chęć szczerą, to siły Pan Bóg doda, a doznało się nie mało łaski bożej, więc i chęć nigdy nie leniwa.

— Wprowadziliście mnie w ciekawość mój staruszk, bo trzeba wam wiedzieć, że ja bardzo lubię słuchać starych ludzi i starych dziejów.

Czy nie powiedzielibyście mi, jakiej to łaski Pan Bóg wam użył?

— Dla czegoż nie, albo to grzech miłosierdzia boże wysławiać. Ot, usiądźmy tu sobie pod tą lipą, a ja co spamiętam, opowiem.

Usiedliśmy na zwilżonej rosą murawie, i starzec tak zaczął:

— Przed pięćdziesięciu sześciu laty (\*), nie tak było u nas jak teraz. Wojny, zawieruchy, napady, trapiły biednych ludzi, i człowiek pod własną strzechą nie był pewny, czy mu jutro nie przyjdzie rozstać się z żoną i dziećmi, albo i na tamten świat powędrować. Co noc ogniste łuny świeciły w różnych stronach, wilki wyły na zgorzeliskach, i straszliwe zarazy wyludniały miasta i sioła.

Ja miałem wtedy dwadzieścia kilka lat, i służyłem przy dworze pana chorążego Olszańskie-  
go, człowieka statecznego i sprawiedliwego. On mnie wychował od dziecka, bo przy piersi jeszcze byłem, kiedy jakieś drapieżniki naszli na wioskę, i oboje rodziców zamordowali; potem ożenił z gospodarską córką, dał porządną chatkę

(\*) Starzec opowiadał to w r. 1844.

i kawałek ziemi, kochałem go też serdecznie, bo mi ojca i matkę zastąpił.

Pan chorąży miał żonę i dwie córki dorosłe. Choć urodziwe i posażne, siały jednak rutkę, bo okolicznym paniczom nie zaloty były wtenczas w głowie. Stary się tém martwił, biedował, i jak ludzie gwarzyli, coraz więcej składał grosza na posagi.

W późnej jesieni zaczęły chodzić pogłoski, że się na straszliwą zawieruchę zabierało. Niedaleko od nas zrabowano dwór pana starosty Makowieckiego, a ogniste łuny znowu po całych nocach nie schodziły z nieba. Pan chorąży kazał mi ładować się w drogę, i powiedział: Janku, będziesz mi sam furmanił, bo nie chcę brać dużo służby, aby dworu nie zostawić pustkami. Wybrałem się rażno, zajechałem przed ganek, przyjaciel pański i dawny wojskowy towarzysz, pan porucznik Umiński, kazał przy sobie upakować łomoki. Pan chorąży ucałował serdecznie płaczącą żonę i córki, oddał je w opiekę przyjacielowi, krzyżem świętym przeżegnał na cztery strony dworek i wioskę, i zawołał:

— Pojedziemy Janku do Lwowa, — ruszaj!

Widziałem, że mój poczciwy pan obejrzał się kilka razy za siebie, i dostrzegłem raz, że łzy

rękawem obcierał. Żal mi się go zrobiło bardzo, ale nie śmiałem zapytać, po co my w tak daleką drogę jedziemy.

Koniki były dziarskie, przyrząd nie ladajaki, drogi, choć to w jesieni, dobre, toczyła się więc nasza bryka sporo, i nie wiedzieć kiedy upaliśmy dobre trzy mile drogi. Trzeba było konie popaść, a zajeżdżać do karczem na gościńcach niebezpieczno, bo czasem jak z chmury mogło spaść nieszczęście. Przejeżdżaliśmy przez lasek dębowy, czysty, przyjemny, na zakręcie drogi stała kamienna figura Matki Najświętszej. Pan mój rzekł:

— Janku, tu popasujemy konie.

— Ale nie będzie ich gdzie napoić.

— Niedaleko wioska, to tam studnia się znajdzie.

Stanęliśmy; gniade ochłodził, dałem im w kosałce obroku, a pan ciągle przechadzał się po lesie. Nareszcie gdy czas przyszedł, pojechałem poszukać wioski, a w wiosce studni. Wyszło dobre pół godziny zanim wróciłem, bo wioska była nie bardzo blisko, i kiedym wrócił, pan już siedział w bryce, i kazał zaraz jechać dalej.

Dobrze w noc stanęliśmy w Tomaszowie, w znajomym panu gospodzie. Chaimek, żyd usłu-

żny, wyrzucił z alkierza bachory, aby w nim swojego gościa, jak powiedział, umieścić. Drzwijedne od alkierza wychodziły do pierwszej wielkiej izby, a drugie do sieni stajennej. Zniosłem łomoki, nasłałem siana, przykryłem go pościelą, i choć Chaimek bardzo ciekawe rzeczy opowiadał, a żona jego zachwalała świeżo ugotowane ryby, jednak pan jednym tylko uchem słuchał nowin, Ryfce za ryby podziękował, i zabrał się do spoczynku. Przy mnie drzwi od izby żydowskiej na dwa spusty zamknął, i klucz zostawił w zamku, a oddając mi klucz od drzwi wychodzących do sieni stajennej, rzekł:

— Zamkniesz z tamtej strony, bo ja jeżeli zechcę wyjść, to wyjdę przez izbę żydowską, a ty, jak tylko dnieć zaczniesz, obudzisz mnie, bo chciałbym rano wyjechać.

Wyszedłem, zamknąłem drzwi, spróbowałem czy zamknięte, i układałem się w bryce, twarzą do alkierza.

Zasnąłem twardo, bo sumienie mogło być z jaskółką pójść na wyścigi, a praca nie dała długo na sen czekać. Ale jakieś dziwne majaki zaczęły mi się snuć po głowie: zdawało mi się, że widzę w płomieniach moją chatkę, biegnę, chcę wyratować żonę i dziecię; żona wyciąga do

mnie ręce, słyszę płacz dziecka, a tu płomienie buchają dokoła; patrzę, miga jakiś słup ognisty, to żona z dzieckiem na ręku! Skaczę w ogień i lecę gdzieś w jakąś ciemną jaskinię, szukam, macam, ani wyjścia, ani drogi, tylko w czémś brodzę po pas. Błysnęło, rozjaśniła się ciemnica, to krew—cieknie mi po głowie, po rękach. Obcieram się, chcę uciekać, ale coraz głębiej zapadam. Włosy mi powstają na głowie, mróz łamie kości, zimny pot oblewa ciało....

Ocknąłem się nareszcie, usiadłem, przeżegnałem się; coś prawdziwie ciekło mi po twarzy i rękach. Księżyc w tej chwili wypłynął z chmur i zajrzał w okienko. Poznałem, że krew płynęła mi z nosa. Wstałem, głowę zlałem wodą, obmyłem się w wiaderku, i krew iść przestała, ale zdało mi się, że jakieś światło mignęło się w alkierzu. Zajrzałem dziurką od klucza, blade światło prawdziwie słaniało się po izbie: co to jest? ruszyłem klamką, jak gdybym szukał klucza, światło znikło, usłyszałem tylko jakiś szmer, a potem mocne stuknięcie.

Posłuchałem jeszcze chwilę, zajrzałem szparą we drzwiach; ale wewnątrz było spokojnie, cicho; pomyślałem sobie, że to pewnie księżyc

przez duże okno tak świecił i szczury odprawiły gonitwy, i poszedłem do bryki.

Niezadługo obudził mnie krzyk: gore! gore! zerwałem się na równe nogi, przetarłem oczy, dach nad izbami zaczynał się palić, i do drzwi walono, że aż się ściany trzęsły. Chciałem je otworzyć, a wtém naparte mocniej, wywaliły się, i tłum ludu wleciał do stajni. Straciłem przytomność, nie wiedziałem czy wyprowadzić konie, czy budzić pana, a tu tłum się powiększał, i wrzaski, wołania ratunku, wody, siekier, odbierały rozum. Sam nie wiedząc co robię, zacząłem ubierać konie, a wtém słyszę, że ktoś na całe gardło krzyknął: gwałtu! podróżny w alkierzu zabity!!...

Nogi się podemną zatrzęsły, chciałem iść ku izbie, a stanałem jak przykuty; wtém słyszę, że ktoś mnie porwał za ramie, i woła:

— A to ty łajdaku zabiłeś pana, zapaliłeś dom, i zaprzęgasz konie, żeby uciec! Trzymajcie go! kto w Boga wierzy.

Stałem jak słup, nie mogłem się upamiętać, zdawało mi się, że to wszystko jeszcze sen, a tu lud zebrał się w koło mnie, i wrzeszczał:

— Łotr, rozbójnik, podpalacz, trzymajcie!

Ogniovi nie dano się rozszerzyć, bo deszcz w nocy padał, i dach był mokry, a mieszczanie ratowali, co tylko im sił starczyło, krzyk zaczął się uspokajać, ale za to w koło mnie ścisk zrobił się tak wielki, że nie mogłem się ruszyć.

— Czego chcecie odemnie? zawołałem, upamiętawszy się, co się wam przywidziało? mój pan śpi, ja pójdę go obudzić.

— Trzymajcie go! związać! niech ani kroku nie ruszy, dopóki pan burmistrz nie nadejdzie! wrzaństwo w tłumie, i trzech silnych chłopów rzuciło mnie o ziemię.

— Na Boga! wołałem, puśćcie mnie! pan śpi, trzeba go obudzić, bo gore; ale ktoś usiadł mi na twarzy, i nie pozwolił krzyżeć.

Wtém nadszedł pan burmistrz z rajcami i ławnikami, stawiono mnie przed nim i opowiedziano rzecz całą. Tłómaczyłem się, kłamałem moją duszę, przysięgałem, płakałem, ale nic nie pomogło. Zaprowadzono mnie do alkierza, mój ukochany pan leżał na ziemi, a od sinych ust płynęła krew. Chciałem rzucić się ku niemu, oblać łzami, spróbować czy jeszcze nie ma jakiego sposobu do ratunku, ale nie puszczono mnie. Doktor obejrzał trupa, i powiedział, że jest gwałtownie uduszony; przyniesiono więc

światła, pan burmistrz opatrzywszy zamek od alkierza, i obejrzawszy, że okiennice były zamknięte, i nigdzie żadnego śladu wejścia nie było, zwrócił się ku mnie ze światłem. Struchlałem: na sukmanie i koszuli były plamy krwi skrzeplój.

— To on morderca! ot, jeszcze krew na odzieży i na rękach.

Poznałem co się święci; chciałem mówić, a nie mogłem, zimno mnie trzęsło, gardło i piersi, jakby mi kto kołkiem zabił.

— A to woda, w której się umywał! krzyknął ktoś, przynosząc wiaderko.

Zajrzano wewnątrz, woda była zaczerwieniona.

— Boże! pomyślałem sobie, ratuj mnie biednego, i ukląknąłem przed panem burmistrzem, przysięgając na zbawienie duszy, wywołując z grobu ojca i matkę, że o niczym nie wiem.

Pan burmistrz uderzył mnie w twarz, i krzyknął:

— Wisielcze! takie jawne dowody, a ty jeszcze śmiesz się przeklinać.

Łzy ciurkiem polały mi się z oczu. Spisano protokół, powołano świadków, okuto mnie w dyby, i zamknięto w lochu.

Co się ze mną działo, Bóg tylko jeden wiedział. Chciałem się własnymi rękami udusić, taki gorzki żal mnie cisnął, ale wspomniałem na żonę, na dziecko, przyszła pamięć o duszy, i diabelską myśl odegnałem od głowy.

Drugiego dnia zaprowadzono mnie do tego samego domu, okutego już w żelazne kajdany. Kiedym wszedł, ujrzałem panią z córkami, siedzące w tym samym alkierzu, i strasznie płaczące. Trup pana leżał na tapczanie, białym prześcieradłem okryty. Gdym spojrzał na panią i córki, serce mi się ścisnęło, jakby kto na niego żelazną obręcz założył, nogi nie wytrzymały, upadłem, i z brzękiem kajdan potoczyłem się pod nogi siedzących kobiet. Pani krzyknęła okropnie, zerwała się ze stolka, i kopnęła mnie nogą.

Ująłem tę samą nogę, i całując ją, zawołałem:

— Pani i matko moja najdroższa! jeżeli ja winienem, to niech każda kropla krwi mego pana i ojca, pali moją duszę i gryzie ciało po wszystkie wieki! niech każda twoja łza, serdeczna matko, spadnie na moją żonę i dziecko, niech oni tak ze mną oczy wypłaczą, i niech ja tak uschnę za niemi z żalości!

Ból wielki nie dał mi więcej mówić, szlochałem jak dziecko.

— Panowie, rzekła pani cześnikowa, rozważcie dobrze, nie bierzcie na wasze sumienia jego duszy. Mąż mój od dziecka go wychował, ożenił, uposażył; on się tak strasznie zaklina; na miłość boską rozważcie!

— A patrz pani! zawołał oburkliwie jakiś jegomość z łysą głową, w niebieskim kontuszu i żółtym pasie; oto on sam zeznaje, że nieboszczyk przy nim zamknął drzwi od izby żydowskiej, i klucz w zamku zostawił, że drugi klucz od sieni stajennej oddał mu do ręki, że on sam alkierz zamknął. Oto zeznania świadków przysięgą stwierdzone, że kiedy w czasie pożaru drzwi od stajni do alkierza wybito, drzwi od izby żydowskiej były na dwa rygle zamknięte, i klucz siedział w zamku, że zawiasy były nie tknięte, że okiennice były szczelnie i mocno zaśrubowane, że nigdzie żadnego śladu wejścia nie było, że trup leżał twarzą na ziemi, zboczony krwią, że kiedy dom zaczynał się palić, to on zamiast budzić pana, zaprzęgał konie, chcąc uciekać, że sukmanę i koszulę miał zbroczone krwią, że poprzednio umywał się ze krwi w wiaderku. Doktorzy uznali, że mąż pani był uduszony gwałtownie, aż krew puściła mu się ustami. Pani teraz oświadcza, że mąż wyjeżdżając

z domu, zabrał z sobą szkatułę z pieniędzmi, dla przechowania jej w klasztorze. Pan Umiński i inni świadkowie przysięgę na to wykonali, i czyż tu potrzeba większych dowodów?... Łotr musi wisieć; ale przed szubienicą, wyciśniemy jeszcze z niego zeznanie, gdzie podział szkatułę z pieniędzmi.

Poznałem, że nie było już dla mnie ratunku.

— Wsadzić go do lochu! krzyknął ten sam jegomość, a po pogrzebie ś. p. cześnika, pogadamy z nim jeszcze, ale innym językiem!

Posługacze miejscowi zawlekli mnie napowrót do mego obrzydliwego mieszkania, gdzie żaby, gady, i różne plugastwo, kupami przewalało się po śmieciach i mokrym piasku. Rzuciłem się na barłóg leżący w kącie, i zacząłem ciężko płakać. Stała mi w myśli najprzód biedna moja żona, dziecko wyciągające drobne rączka, potem chatka, pola, łąki, lasy naszej wioski, a wreszcie sam nie wiem, jakim sposobem, Radecznicą.

Przypomniał mi się święty Antoni, ot, tak jak pan widzisz w obrazie, z tém serdeczném spojrzeniem, z tą ręką trzymającą gałązkę; westchnąłem całą moją duszą, i rzekłem:

— Święty Antoni Radeczniczy ratuj mnie! niech ja jeszcze obaczę moją żonę, dziecko, chatkę i wioskę, a ja, dopóki żyć będę, choćbym był Bóg wie gdzie, to cztery razy na rok przyczolgam się do świętych nóg twoich, i łzami je obleję!

Kiedym skończył i ocierał łzy, jakaś jasność, jak błyskawica mignęła po lochu, aż obaczyłem ropuchę zielonemi ślipkami zagładającą mi w oczy; struchlałem, ale później strach przeminął, i tylko zrobiło mi się tak dziwnie miło, że zapomniałem o mojem nieszczęściu, i ukląknąłem na mokrym piasku, złożyłem ręce, i zacząłem się modlić.

Nie wiem jak wiele czasu upłynęło, bo w lochu, choć oczy wybierz, zawsze było ciemno, jednak, jak mi się zdaje, zapewne na drugi dzień, posłyszałem stukanie u drzwi.

— Na męki! pomyślałem, i strach mię wielki ogarnął; ale przypomniałem sobie ową cudowną jasność, i rzekłem: święty Antoni ratuj mnie!

Jeden tylko pachofek wszedł do lochu i kazał mi iść za sobą. Wyszedłem; przed lochem stał ten sam pan w niebieskim kontuszu z panem Umińskim. Kiedym stanął przed niemi, pan w niebieskim kontuszu zapytał:

— Gdzie popasaliście, wyjechawszy z domu?

Opowiedziałem jak było, że w lasku za Grabowcem, pod figurą kamienną:

Pan w kontuszu powiedział coś do pana porucznika po łacinie, i kazał mnie nazad do lochu zaprowadzić.

Znowu dzień cały tak przeminął. Nazajutrz posłyszałem wielki rumot koło drzwi, i niezdługo wpadło z hukiem dwóch pachołków, wyprowadzili mnie na korytarz, rozkuli z kajdan, i zawiedli do domu, gdzie stała gospoda moja pani.

Matka, córki, pan porucznik, a nawet i pan kontuszowy, wyszli na przeciwko mnie. Drżałem cały, nie wiedziałem co się święci; myślałem, że to sen.

— Janie! zawołała pani, Pan Bóg nad tobą wielki cud pokazał; jesteś niewinny i wolny! Idź najprzód do kościoła, padnij krzyżem i podziękuj Bogu.

Jak długi rzuciłem się do nóg mojej dobrej pani, objąłem je rękami, i zacząłem ścisnąć, całować, płakać i śmiać się; myślano żem zwaryował.

Boże mój! ja takięj radości nie doznam już na świecie! Żeniłem syna, przytulałem do piersi wnuka, widziałem błogosławieństwo Boże nad

naszą chatą, cieszyłem się tém, ale nie była to już ta uciecha, jakięj wtenczas doznawałem, taka radość to się już dwa razy do człowieka nie wraca!

Poczciwa pani opowiedziała mi zaraz, że téj samęj nocy, która przyszła po zastraszeniu mnie mękami, pan porucznik ujrzał we śnie nieboszczyka. Przyjacielu! zawołał na niego, nie męczcie Janka, bo on nic nie winien. Pieniądze zakopałem w lesie, gdzie popasałem, pod siódmym dębem od figury Matki Najświętszëj, na wschód słońca, a zamordował mnie Michał Owruć, parobek Chałmka. Obszukajcie dobrze izbę, a znajdziecie, któredy się do mnie dostał.

Pan porucznik obudził się, ale widzenie znikło, jednak nie zapomniał o niém, i jak tylko zaświtało, poszedł z burmistrzem i rajcami zrewidować alkierz. Nad piecem, który sięgał aż pod pułap, znaleźli w deskach dziurę, w piecu nie było sklepienia, a z boku pieca od ściany, gdzie ledwie można się było wcisnąć, spostrzegli kilka cegieł wydartych. Pan porucznik pojechał do wskazanego lasu poszukać siódmego drzewa, a Owruć zaraz złapano.

Przyznał się od razu, że oddawna tym sposobem okradał gości nocujących w alkierzu, że

i teraz wlaź po to tylko, aby co ukraść, ale pan cześnik obudził się, ujął go za koszulę, i chciał krzyczyć; wtedy on porwał go za gardło i udusił, a posłyszawszy stukanie do drzwi, uciekł i dom zapalił.

Widziałem, jak kajdany, które przez kilka dni dźwigałem, wkładano na Owrucha, jak go zaprowadzono na moje miejsce, widziałem, a jeszcze zdawało mi się, że to sen, i drżałem ze strachu, aby moje nieszczęście nie wróciło.

Jak ptaszek, którego z klatki wypuszczono, trzepocze skrzydełkami, i nie wie z radości, w którą stronę bożego świata polecieć, tak ja poznawszy, że jestem prawdziwie wolny, biłem się z myślami, gdzie się najprzód obrócić. Ochota ciągnęła do żony, do dziecka, ale stanął przed oczyma święty Antoni, tak jak go w lochu widziałem; serce przemówiło, i prawie jednym tchem zabiegłem do Radeczniczy. Przez cztery msze święte leżałem krzyżem, serdecznemi łzami podziękowałem świętemu za cudowny ratunek, i przysiągłem, rok rocznie, dopóki tylko dusza w ciele kołatać się będzie, choćby na raczkach, cztery razy święte miejsce nawiedzić.

Pięćdziesiąt sześć lat od tego czasu przebiegło, a ja Bogu dziękuję, że ani razu mojego

ślubu nie złamał. Trafiały się ciężkie choroby, niespodziewane przeszkody, ale jakoś, kiedy dzień wyznaczony się zbliżał, wszystko przemieniało, darzyło, zdrowia i siły przybywało, aby człowiek Panu Bogu się nie zadłużył, i przed świętym Antonim we wstydzie nie stanął.

Nogi drżą, niemoc garnie starego ku ziemi, dziś, jutro, przyjdzie pewnie głowę położyć; dla tego też z płaczem zawsze rozstaję się z moim świętym opiekunem, bo nie wiem, czy go już więcej na tym świecie obaczę!

Skończył starzec, i ręką zasłonił oczy; widziałem, jak z pod niej płynęły łzy, jak usta drgały cichą, serdeczną modlitwą. Dusza moja zlała się z jego duszą, czystą i cnotliwą, czułem jęj zachwycenie, jęj szczęście, dotykałem się tych strun, z których płynął hymn dziękczynienia, przelewałem w moje serce te boskie tony, któremi wiara szczerą i głęboką świat podbiła, i nad światem panuje!

Ale idźmy dalej w założoném opowiadaniu.

\* \* \*

Nad rzeczką, która krętym łożyskiem ujęła w swoje objęcia łąki rozłożone pod Radeczni-

cką górą, o dobre ćwierć mili od klasztoru, na wzgórkku, który wśród równej przestrzeni wybiegł jak pierś dziewczyny, i skrył się w rąbek zarośli, stoi krzyż dębowy, bez żadnych ozdób i napisów, tylko z wizerunkiem Zbawiciela.

Rzeczka okrążając wzgórek w tém miejscu, burzy się i kręci młynka, a ludzie mówią, że i najśmielszy pływak od tego miejsca ucieka. Pewniuteńko więc jaki niebacznym śmiałkiem zapłacił życiem zapasy z wirem, a osierocona żona albo matka postawiła krzyż w tém miejscu, na pamiątkę swój straty, i na przestrożę dla innych. Nie—nie tak się stało: sześćdziesięcioletni starsuszek, chodzący za jałmużną, opowiedział mi, że on jeszcze był dzieckiem, kiedy w Zakłodziu gospodarowało na jedném poletku dwóch braci bliźniaków, młodych, przystojnych, i od wszystkich lubionych chłopców. Gospodarke wzięli po rodzicach, ale ani narzec nie chcieli, aby się nią podzielić. Próżno sołtys gadał, że dwa ptaszki w jednej klatce się nie obsiedzą, próżno dziedzic dawał drugi poletek, obsiany od zagona do zagona, z nowiuteńkimi budynkami, próżno kumoszki kładły w ucho:

Ze przy jednym kominie,

Dwie gospodynie,

To i nie nie uwarzą,

I oczy sobie wywarzą. (\*)

Bracia nie słuchali ani sołtysa, ani dziedzica, ani kumoszek, tak miłowali się serdecznie, i nie mogli pomyśleć, aby się z sobą rozłączyć.

Kiedy raz, jednego austriackie werbowniki, na odpuszcie w Radecznicy, spolił i ubrał w mundur, to drugi dopóty szukał brata, aż go w tłumie znalazł, i z rąk werbowników, choć z potężnym guzem wyswobodził.

Kiedy jeden zachorował, to drugi z płaczem obchodził wszystkie baby znachorki, nosił im pszenicę na placki, hreczkę na kaszę, grosiwo na sól, aby tylko brata wyleczyły.

Miła była wszystkim ta zgoda dwóch braci, i cała wioska przepadała za nimi. Niechno tylko kto zrobił im jaką krzywdę, to zaraz gromadami szli ująć się za nimi; niechno z sąsiedniej wioski zajęto im trzódkę, to wieczorem tego samego dnia, parobczaki z całego Zakłodzia szli spróbować, czy drzwi sąsiedniej obory od ich rąk mocniejsze; niechno tylko wieść się rozszła, że na przednowku, dno w ich sypaniach przejrzało, to kto czém mógł, garncem, ćwiartką,

(\*) Przysłowie lubelskich wieśniaczek.

a nawet i korcem biegłych zapomódz. A i dziewczęta nie patrzyły na nich zyzem: nie jednej aż serduszko zadygotało i rumieniec na jagody wyskoczył, jak Piotrek albo Grzesio do niej zagadał; nie jedna umęczyła świętego Antoniego prośbami, aby pod ich strzechę się dostać, i imie Kasi albo Marysi, na imie Piotrowej albo Grzegorzowej zamienić. Ale bracia jakoś bardzo leniwo brali się do tego, i już im sporo na trzeci krzyżyk karbów przybyło; a żaden jeszcze o ożenieniu na prawdę nie pomyślał. Piotrek o godzinę od brata starszy, był wyższy i tęższy, Grzesio bledszy i szczuplejszy; ale za to, jak przemówił, jak się uśmiechnął, to tak człowiekowi wpadł do serca, żeś go ztamtąd i windą nie wyciągnął. Dziewczęta gęściej spoglądały za Piotrkiem, bo u nich co słodkie, to dobre, a co czerwone, to ładne; ale nie brakło i takich, które i Grzesiowi nie ustąpiły oczka, które i za Grzesiem nie jedno posłały westchnienie.

W sąsiedniej wiosce Latyczynie, był młynarz Jakób Gastoł, i miał córkę jedynaczkę, czarnooką Marysię, dziewczynkę jak cacko, żywą, figlarną, pracowitą, a taką dobrą i potulną, że gołąbka pozazdrościłaby jej dobroci, a owieczka skromności. Ludzie mówili, że dwa koła Gasto-

łowego młyna namęły mu dość talarów do skrzynki, i że pod wiano dla córki każe zaprządz cztery woły do kowanego wozu; nie zardzewiały też zawiasy u drzwi młynarskiej izby, i Burek leżący przy wrotach, nie jednego nowego przybysza oszczekał.

Ale młynarz Gastoł, nie spieszył się z wydaniem swojej jedynaczki, i często do strofujących go o to mawiał:

— Jak ja mam wydać moje jedyne dziecko, kiedy ona nie szepnęła mi jeszcze: tatulu, ja tego albo tego miłuję, kiedy ona jeszcze dwa razy na żadnego nie spojrzała.

Na Zielone świętki, wszyscy z Latyczowskiego młyna wybrali się do Radeczniczy. Gastoł do wyplatanego wózka zaprzągnął dwa siwki, niedawno na jarmarku w Turobinie kupione, wózek wysłał sianem, nakrył kraciastą derką, i zajechał przed wrota. Siadła pani Gastołowa w wielkim czepcu, z dziesięcioma sznurami korali na szyi, i w chustce, końcem aż do pięt dostającą, siadła Marysia, ustrojona jak pieścidełko; w długą kosę czarnych włosów wplotła dwie amarantowe wstęgi, szerokie, żeby je dłonią nie okrył, bo aż w Lublinie, i po dwa złote za łokieć kupione; na cieniatką koszulkę, co przytuliła do jej

białej szyjki, wdziała niebieski, lamowany srebrem gorsecik i zesnurowała go na piersiach taką samą wstęgą. Z pod tacek, błyszczących lamówkami, spada biała spodniczka, czerwonym jedwabiem u dołu haftowana, a taka biała i świeża, że śnieg grudniowy białością jej pozazdrościł; na niej przejrzyste w kwiaty i palmy fartuszek, a nóżki w niebieskich z klinikami pończoszkach, i zgrabnych, wstążeczkami czerwonymi obszytych trzewikach, tak zmały, tak wdzięcznie z pod spódniczki wyglądają, jakby na model były ulane. Obok Marysi siadły jeszcze dwie jej rówienniczki sąsiadki, i wózek szparko się potoczył drogą ku Radeczniczy wiodącą.

W Zakładzie dwaj bracia wybrali się także na odpust; wdziali swe sukmanki zielonemi sznurkami wyszyte, cienką i czystą bieliznę, buty na obcasach ze stalowemi podkówkami, a wstążki u siwych czapek i koszul pod szyją, to aż w oczach migwały. Stanęli przed wrotami, aby obaczyć, czy kto więcej z wioski nie idzie, i zatrzymali się chwilę, bo wózek siwkami zaprzężony nadjeżdżał. Gastoł ujął czapki, i rzekł:

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki wieków, odpowiedzieli bracia, i odkłonili się także czapkami; gdy wtém koło

od wózka bryznęło aż pod płot, jakby go kto z procy wyrzucił, i wózek nachylił się do wywrotu. Piotrek podbiegł, podparł ramieniem wózek, a Grzesio tymczasem ujął siwki za cugle. Powysiadali wszyscy. Gastoł obejrzał wózek, i przekonał się, że os się złamała przy samej osadzie, i że naprędce trudno będzie temu co poradzić.

Mamy taki sam wózek, przemówił Piotrek, i jeżeli nie pogardzicie naszą ochotą, to piorunem siwki do niego przeprzeżemy.

— A niech wam Bóg da zdrowie, że nas poratujecie, odpowiedział Gastoł, za to, jak przyjedziecie do mojego młyna, to o miarkę nie będziemy się swarzyć.

Bracia nic na to nie odpowiedzieli, bo im nie miarka była w głowie; oni spotkali się z czarnemi oczkami Marysi, i zapomnieli o wózku, o siwkach, o obietnicy młynarza, nawet i o odpuście Radeczniczym.

Marysia to spuściła oczki, to znów je na braci podniosła, i niewiedzieć czego pokraśniała tak dziwnie i prędko, jakby całą jej twarzyczkę malarz jednym rzutem pędzla pomalował.

— Ale jeżeli wasza łaska sąsiedzi, to się pośpieszcie, mówił Gastoł, bo już w Radeczniczy

na wotywę przedzwaniają, a my wszyscy do spowiedzi.

Piotrek pierwszy opamiętał się, poprosił stojących przed wrotami do izby, a sam z bratem zabrał się do nasmarowania wózka i zaprzęgnięcia koni.

W izbie było ubogo, ale jak to mówią chędogo, we wszystkiém można się było przejrzeć. Stara Wojciechowa ciotka bliźniaków, i od kilkunastu lat nieodstępna ich opiekunka, uradowała się niezmiernie gościom, chciała zastawiać śniadanie, częstować przepalanką, i dopiero uspokoiła się, gdy jej Gastołowa powiedziała, że jądą do spowiedzi.

Marysi bardzo podobała się izdebka, przypatrywała się obrazom świętych wiszących na ścianie, z doniczek stojących na oknach urwała gałązkę ruty, i wpięła ją we włosy, Wojciechowój wypytywała się jak jej idzie gospodarka, wiele krówek mają w oborze i koni w stajence, i była taka rozmowna i wesółą, jak dawno jej taką nie widziano.

Byłaby chętnie dłużej jeszcze z Wojciechową gwarzyła, ale Gastoł wyrzwał przez okno, i spostrzegł, że wózek już zaprzężony. Wyszli na podwórze, koło wózka stały przygotowane

dwa gniade konie, w niczém nie ustępujące siwkom; młynarz z rodziną zajęli swoje miejsca, bracia dosiedli gniadych, i popędzili cwałem ku Radeczniczy.

Czy bies naszych bliźniaków opętał, czy ich stara Rybaczka zarzekła, mawiał sołtys do zebranej gromadki gospodarzy; myśmy już ugory podorali, na łąkach już połowę siana w kopach i stogach, a u braci na ugorze bodiaki rosną, i trawa na łąkach aż się prosi o kosarza. Ich nie bies opętał, i nie stara rybaczka zarzekła, ale opętały czarne oczki Marysi, i zarzekły jej korolowe usteczka. Dawniej bracia ani pomyśleli o tém, aby wyjść za granicę Zakłodzia, i zawsze czas nie mógł wystarczyć ułożonej przez nich robocie; teraz, jak tylko włódarz w okno nie zakłaczę, to dalej na gniadych, i do Latyczowskiego młyna. Zawsze znajdą jakąś zamówkę, to pszenicę zemleć potrzeba, to wiklina przy stawie Latyczowskim do płotu najprzydatniejsza, to około młyna rośnie ziele, które dla krów kaza zbierać, to droga tamtędy im wypadła; dość, że zawsze na czémś, i niby nie wiedząc o sobie, obadwa bracia zabłądzą pod młynarską strzechę.

A co najgorzej, że i owój braterskiej zgodzie i miłości na pogrzeb zadzwoniono. Już to nie ci

dwaj bracia, co nie mogli technąć bez siebie, co dzielili się wszystkiém, prawie każdą myślą; już oni teraz radzi się nie widzą, i nie im nie brakuje, kiedy są zdala od siebie. W oczy niby jeszcze dawną zgodę prowadzą, ale w ich sercach nie ma już téj świętej jedności, jaka ich dawniej łączyła, nie ma już tego braterstwa, na które tak wdzięcznie patrzano.

Zadumani, zniechęceni, opuścili ręce, i słuchają cierpliwie, jak im sąsiedzi lenistwo wymawiają, jak ich ekonom na pańszczyznę pogania, jak krowy w obórcie ryczą i konie złoby gryzą. Rady i pogrożki trafiają jak deszcz na głaz, bo im w głowie nie gospodarka, nie pańszczyzna, nie boczulki lub tyrolki, nie przednowek, ale gładkie liczka Marysi, i jój jedwabne słówko.

— Długoż tak będzie Grzesiu? rzekł raz Piotrek do brata; długoż będą wytykać nas palcami, i po kątach obśmiewać? Dwóch nas mężami jednej być nie może; chodźmy do Marysi, niech ona wybierze, i spokój i zgodę między nami wróci.

A do siebie w myśli powiedział: ona na mnie miléj spogląda, ona mnie pewno nie minie.

Grzesio skinął smutnie głową, i poszli do Laticzyna.

Wieczór był pochmurny, w dali migały błyskawice, odzywały się grzmoty; dwaj bracia przestąpili nieśmiało progi młynarskie, rzucili się do nóg pana Gastoła i pani Gastołowej i wyznali, co ich serce uciska. Rodzice przyjęli mile ich słowa, i przywołali jedynaczkę.

Gdy weszła, gdy ujrzała obydwóch braci u nóg rodziców, pobladła i zatrzęsła się, jak listek osiny, kiedy na niego niespodziewany wiatr powieje.

— Marysiu, przemówił Gastoł, oni obydwaj cię miłują, oni obydwaj przepadają za tobą, wybieraj jednego z nich na męża.

Marysia popatrzyła żałośnie na Piotrka, dwie łzy potoczyły się po białych policzkach, i podała rękę Grzesiowi.

Piotrek zbladł jak ściana, a potem nagle poczerwieniał, zerwał się, i wybiegł z izby.

Grzesio ujął w pól swoją ukochaną, przycisnął do piersi, i serdecznie pocałował.

Dano zaraz na zapowiedzie, a Piotrka przez cały tydzień nie było w wiosce, błąkał się po lasach, i żył tém, co od pasących bydło wyprosił. Nareszcie powrócił, niby pogodził się z bratem, ale zawsze strasznie był zmieniony, krył się przed ludźmi i unikał rozmowy.

Po raz drugi Grzesio i Marysia spadli z ambony, w chacie młynarza przygotowywano się do wesela, a i Grzesio także nie leniwo około tego się krzątał, bo codzien prawie był w sąsiedniem miasteczku, i zawsze coś znalazł przykupić.

Musiało mu jeszcze czegoś zabraknąć, bo powróciwszy od księdza proboszcza, zaprzągnął konie do wózka, i pojechał do Szczebrzeszyna.

Gdy Grzesio wyjechał za wrota, Piotrek podniósł kilka snopków w poszyciu nad obórką, popatrzył na kurz unoszący się za wózkiem, spieczone usta skrzywił jakby do uśmiechu, i za chwilę widziano go już idącego drogą do Łatyczyna. Słońce skręcało się z południa, kiedy stanął niedaleko młyna, nie poszedł jednakże do chaty, tylko zerknąwszy w podwórze, skrył się w łoży nad stawem.

Gastoł widno gdzieś się wybierał, bo zaprzęgał siwki do wozu; zaprzągnąwszy, zajechał przed chatę, wyszła do niego żona z Marysią, pożegnał je, powiedział, że wieczorem wróci, i pojechał dróżką do szerokiego gościńca wiodącą.

Jak tylko kurz za kołami wozu opadł, Piotrek wylazł z łożyny, i zbliżył się ku chacie.

— Co was tu prowadzi? zapytała Gastołowa witając go, i spoglądając na Marysię.

Piotrek uśmiechnął się dziwacznie, i odrzekł:

— Przychodzę wam powiedzieć, że Grzesio ciężko wczoraj zaniemógł, i prosi was, abyście pozwolili Marysi z nim się widzieć, bo jakoś na dobre się nie zabiera.

Kobiety zaczęły płakać, wypytywać się, co się stało Grzesiowi, z czego zaniemógł; Piotrek opowiadał wszystko gładko, ani się nie zająknął, ani nawet długo nad odpowiedzią nie myślał.

— A to idź moje dziecko, rzekła Gastołowa, idź z Piotrkim, bo ja młyna na chłopców zdać nie mogę, ale wracaj, nim pierwsze gwiazdy zejdą, boby i to ludziom zaszkodziło.

Marysia nakryła się rańtuszkiem, skinęła na Piotrka, i poszli oboje kładkami przez łąki, bo tedy, jak Piotrek powiedział, miało być bliżej.

Gdy przyszli na wzgórek podmyty wirem rzeki, Piotrek przykleknął, ujął Marysię w pól, i głosem jakby z pod ziemi wychodzącym, rzekł:

— Nie chciałaś mnie! a ja cię tak bardzo miłowałem! Marysia spojrzała mu w oczy i krzyknęła, bo z ocz zasłych krwią, z twarzy drgającej i siniej, poznała co się święci.

— Nie chciałaś mnie! wrzasnął po raz drugi, a ja cię z sobą wezmę, ale nie na gody, nie do poświęconego łoża, nie między swachy i ku-

moszki, ale na dno rzeki, między ryby i gady! Chodź moja miła, chodź! już się aż do dnia sądnego nie rozłączymy!

Marysia objęła go za szyję rączkami, przyłożyła drobne usta do zimnym potem oblaną twarz, i łkając, zaczęła go prosić, aby i jój i siebie nie gubił.

Oddech jój i łzy palily Piotrka piekielnym żarem; czuł, że dłużejby nie wytrzymał; zamachnął ręką, chcąc z większą siłą stracić się w przepaść, gdy wtém rzucił mimowolnie wzrokiem na jaśniejące światłem zachodu, wieże Radeczniczego kościoła.

Spojrzał, zachwiał się, i ręce mu opadły.

Na najwyższej wieży stał św. Antoni w promieniach, aż pod obłoki sięgających, i jedną ręką przytulał do piersi dzieciątko, a w drugiej, w której na obrazie trzyma białą lilię, groził winowajcy.

Piotrek oniemiał, nie mógł się z miejsca ruszyć; obłąkane oczy utkwil w bijącą światłem twarz świętego, otworzył usta niby do pacierza, i rękę poniósł do czoła, chcąc się przeżegnać.

Marysia odskoczyła, i zaczęła uciekać. Piotrek nic na to nie zważał, nawet nie spojrzał na nią, bo pamięć go odbiegła, zmysły stępiały, na-

reszcie łązy sznurkiem po bladej twarzy pociekły, padł krzyżem, i łkającym głosem zawołał:

— Święty Antoni daruj mi! — ja się poprawię!

Nazajutrz wielki rozruch zrobił się w Latyczynie i okolicznych wioskach. Wszędzie zbierały się gromadki i gwarzyły o tém, że Piotrek chciał młynarską córkę utopić, i że tylko święty Antoni cudem ją uratował.

Piotrek w Radeczniczym kościele klęczał przy konfesyonale, z głową pochyloną, z oczyma zasłemiłzami, i bił się w piersi z prawdziwą skrucho i żalem.

Ksiądz gwardyan, który sam spowiadał grzesznika, wniósł łagodne i czyste spojrzenie ku niebu, odmówił gorącą prośbę do Pana, w którego imieniu miał grzesznikowi przebaczyć, i w kratkę konfesyonalu zapukał. Piotrek padł mu do nóg, i oblał je rzewnymi łzami.

Potém widziano go jak szedł do Latyczyna, jak włóczył się za nogami ojca, matki i córki, prosząc, aby mu przebaczyli, jak molestował Grzesia, aby się za nim wstawił; i musieli mu przebaczyć, bo wyszedł spokojniejszy i weselszy.

Wesele odłożono na później, bo Marysia z przestachu zachorowała; przez ten czas Piotrek od-

przedał bratu swoją połowę gospodarki, i sprowadziwszy kupione w sąsiednich lasach dwa wyniosłe i gładkie dęby, zabrał się pilnie do roboty.

We dwa tygodnie na wzgórku nad rzeką stał krzyż, własną ręką Piotrka wyrobiony, i ludzie mówili, że nawrócony grzesznik sam go w nocy na swoich barkach z wioski na wzgórek przyniósł.

Ksiądz gwardyan sam postawiony krzyż poświęcił, a gdy potem do zebranego ludu przemówił, cud świętego Antoniego opowiedział, i miłosierdzie boskie nad grzesznikami objawił, to wszyscy serdecznie się popłakali.

Niezadługo Grzesio powiódł do ołtarza swoją ukochaną dziewczeczkę, i drzwi swój chatki przed nią otworzył. Piotrek nie chciał być na ich weselu; pożegnał się ze wszystkimi, i poszedł w świat. Długo o nim nie było wieści, aż nareszcie wędrujące do Radeczniczy z różnych stron dziady, przynieśli Grzesiowi i jego żonie pozdrowienie od brata, który choć w dalekiej stronie, o nich nie zapomniał.

Marysia trzymając na ręku czwarte z kolei dzieciątko, zapytała dziadka rozpowiadającego im o tém, czy Piotrek się ożenił.

— Gdzie jemu o tém myśleć, moja gosposiu, odrzekł stary, jemu godzina do śmierci, taki zmierzowany i spracowany. On jak przyszedł w nasze strony i wziął się do węglarki, to tak zdziaczał jak jodła, pod którą wystawił sobie chatę.

Marysia schyliła głowę do trzymanego na ręku dziecka, a fartuszkciem otarła łzy, które jej z oczu wybiegły.

Kilkadziesiąt lat upłynęło od tego zdarzenia, nad Grzesiem i Marysią oddawna już zrównała się z ziemią mogiła, dzieci ich rozeszły się w różne strony, gospodarkę posiadał kto inny, a krzyż ze wzgórka wyciąga ku klasztorowi swoje ramiona, i wskazuje młodym pokoleniom miejsce spełnionego cudu!

Takie to łaski zlewa święty Antoni Radeczniccki, na lud w pokorze i skrusze garnący się do podwoi jego kościoła. Jeżeli chcesz czytelniku więcej podobnych opowiadań usłyszeć, to piechotą, z tłumoczkim na plecach, puść się w lubelskie strony, zajrzyj pod słomiane strzechy, pogadaj z wiernym, prostym ludem, który po Bogu i Matce Boskiej, najszczerzej opiekuna swoich stron, pocieszyciela swego sieroctwa, świętego Antoniego Radecznicckiego miłuje.

oczym, szum wozu i świerków, płaskie ma-  
łych rydek w jeziorze, kłopot starego młyna  
niech widzi na błotnistej strudze, zastój w  
ny powiew cyprysowych gałęzi, łoskot przysięg  
według, wyniesiony ruch machin, gdy się  
jak stęchło ze swobodą myśli, a niebem w ser-

### BILGORAJANKA.

Takie wspomnienia czytelniku, to świadczy  
wędrownego pielgrzyma. Głazki, jak las go  
zawieszają, on je kaszaje na przy sobie, rozka-

I znów czytelniku prowadzę cię w Lubelskie,  
a co więcej, w strony, o których nasz poeta  
książe arcy-biskup gnieźnieński powiedział:

- Kraj górzysty i nieplodny,
- Popas, nocleg—niewygodny,
- Przewodniki bałamutne,
- Droga ciemna,—lasy smutne. (\*)

Ale któreż to, choćby najsmutniejsze strony,  
nie są miłe temu, co się w nich urodził? Ponu-  
re okolice, zaroślami okryte wąwozy, jałowe  
góry, w tysiącnych obrazach odbijają się w kry-  
nicy serca, gdy się na nie młodem patrzyło

(\*) Wyjazd z Warszawy na wieś, list Ignacego  
Krasickiego do ks. Poniatowskiego.

— Gdzie jemu o tam myśleć, moja gospo-  
dobrzeł stary, jemu godzina do śmierci, taki mi-  
złowany i zpacowany. On jak przyszedł w na-  
zawo stony i wziął się do węglarki, to tak zda-  
cał jak jodła, pod którą wystawił sobie chate.  
Marysia schyliła głowę do trzymającego na r-  
ku dziecka, a łaskawie otarła łzy, które jej  
z oczu wypięły.

Kilka lat upłynęło od tego zdarzenia,  
tak Grzesiem i Marysia oddawać już zdawała  
sie z ziemia mogła, dzieci ich rozeszły się w r-  
nie strony, gospodarke posiadał kto inny, kłosa-  
ze węgorka wyciąga ku klasztorowi swoje ra-  
miona, i wskazuje młodym pokoleniom miejsce  
spokojnego cudu!

Takie to łaski słowa święty Antoni Radzicki-  
cki, na lud w polotach i skrusze garncy się do  
podwoi jego kościoła. Jeżeli chcesz czytelniku  
wiedzieć podobnych opowiadań usłyszec, to nie-  
chote, z łomoczkim na plecach, puść się w lu-  
belskie strony, zajrzyj pod słomiane stęchły,  
pozadaj z wierzynym, prostym ludem, który po-  
Bogu i Matce Boskiej, najszlachetniej opiekuna  
zwoich stron, pocieszyciela swego sierotwa,  
świętego Antoniego Radzickiego miluje.

Wskazanie na stronę, którą należy czytać

oczyna. Szum sosen i świerków, pluskanie małych rybek w jeziorze, klekot starego młyna niedźwiadka na błotnistej strudze, zastąpią wonny powiew cyprysowych gajów, łoskot pysznych wodospadów, wyuczony ruch machin, gdy się ich słuchało ze swobodną myślą, z niebem w sercu i w duszy.

Takie wspomnienia czytelniku, to świętości wędrownego pielgrzyma. Gdziekolwiek los go zawiedzie, on je zawsze ma przy sobie, rozkłada, pokazuje; on rad niemi się dzieli, bo chciałby świat cały z niemi zapoznać, świat cały dla nich zjednać.

Nie dziw się więc, że pomimo przestrogi księdza arcy-biskupa, zaprowadzę cię z sobą na chwilkę do Biłgoraja.

Biłgoraj nie wielkie miasteczko w Lubelskiem, między Szczebrzeszynie i Tarnogrodem, leży nad małą rzeczką, płynącą do Tanwi wśród obszernych lasów, niedaleko od tak zwaną puszczy Solskiej, i klasztoru słynącego cudownym obrazem świętej Magdaleny.

I okolice Biłgoraja, to miejsce upodobane od Boga, wytknięte palcem Jego wszechmocnej ręki na skarbnicę łask dla wiernego ludu. Niedaleko od Biłgoraja leży Krasnobród z klasztorem

OO. Dominikanów. W ołtarzu tego kościoła jest śliczny maleńki obraz Boga Rodzicy, objawiony wśród lasu na sosnie, a w około tego obrazu następujące napisy:

Opuściłaś las, wodę, toś miejsce obrała,  
Znak to, iż nas kochasz, jak dawniejś kochała.

I poniżej:

W środku lasu mieszkasz, tu rzeka łask płynie,  
Nieznana w pośród lasu, tu obraz twój słynie.

Z drugiej strony Radecznicą z klasztorem OO. Bernardynów, głośnym w całej Polsce cudami świętego Antoniego Padewskiego.

Święty Antoni objawił się roku 1664. Szymonowi wyrobnikowi w lesie, który do dziś dnia klasztor otacza, i powiedział, aby w tém miejscu wystawioną była figura meki Zbawiciela. Szymon zakłopotał się tém nie mało, bo był biedny, i nie mógł wykonać woli świętego; upłynęło więc kilka tygodni, a figura nie stała. W nocy objawia się znów święty Antoni Szymonowi, i pyta:

— Szymonie! a tak to wypełniłeś moją wolę?

— Nie mogłem, odpowiada drżący wyrobnik, jam strasznie biedny, i nie mam za co kupić drzewa na figurę.

- To powiedz o tém innym.
- Nie uwierzą.
- Sprobój.

I święty na obłokach światła, zalewających całą ubogą chatkę, uniósł się ku górze. Szymon struchlały i drżący biegnie do sąsiadów, opowiada im co widział i słyszał, bez namysłu składają się na kupienie drzewa, biorą się do siekier, i w parę dni figura już gotowa. Lecz potrzeba ją wzniesć i poświęcić. Zbiera się cała gromada, stają w oznaczonym miejscu, i Szymon na swoich barkach wznosi krzyż święty, gdy wtém głos się rozchodzi, że wójt miejscowy, pan Walenty Psorski jedzie! Zwolna, drożyną pod górą sunie kolasa czterema końmi zaprzężona; pan wójt patrzy ku górze, gdzie się zebrała gromada, patrzy, ale nie ma silnej wiary w wiarę ludu,—patrzy, i w duchu zaprzecza objawieniu. Kolasa podjeżdża wprost miejsca, w którym już stoi figura, dziw wielki, wszystkie cztery konie kłękają. Pan Psorski wysiada z kolasy, z odkrytą głową idzie ku górze, i pierwszy oddaje cześć cudom świętego.

W trzy lata po tém zdarzeniu, dziedzic Radechnicy, Mikołaj Swirski biskup Cytryński sufragan Chełmski, wspaniały kościół, w miejscu

cudami wslawioném wystawił, i OO. Bernardynów do niego wprowadził. (\*)

Świątynia ta do dziś dnia stoi,—stoi i krzyż Szymonów obmurowany w około, a święty Antoni Radechnicki słynie rozlicznemi cudami.

I w podania historyczne nie ubogi Biłgoraj. Mówią, że niegdyś cała przestrzeń od Szczebrzeszyna aż po rzekę San, należała do możnej rodziny Gorajów. Szczebrzeszyn był ich siedliskiem; założyli miasteczko Goraj, a Biłgorajowi miał dać nazwę następujący wypadek:

W odległych wiekach, w czasie jednego z licznych najść Tatarów na ruskie ziemie, część hordy pod wodzą samego hana, przeprowała się przez San pod Leżajskiem, i rozpuściła zagony na kilka mil w około. Objuczeni łupem Tatarzy, uprowadzając tysiące niewolników, pomykali się lasami ku większej hordzie, czekającój ich na drugiej stronie Sanu.

W miejscu, gdzie stoi dzisiejsze miasteczko, miała być przegalina rodząca obfitą trawę, i otoczona do koła staro-drzewnym lasem. Tatarzy dopadłszy jój, postanowili odpocząć, pewni, że

(\*) Wiadomości powyższe powzięte są z archiwum klasztornego.

ich wśród lasu nikt nie poważy się zaczepić. Puścili konie na paszę, rozłożyli tabor, i zaczęli obliczać zdobycze, gdy wtém, jak pioruny, spadają na nich nasi rycerze. Przywodzi im Goraj, dziedzie tych włości, mąż dzielny, i tańca z Tatarami świadomy. Doszedł go płacz biednych brańców, ujrzał płomienie licznych wiosek, i nie czekał aż mu Tatarzy pod oknami własną jego strzechą zaświecą. Zgromadził okoliczną szlachtę, zebrał dworzan, krzyż święty na czoło położył, i dalej w lasy zabiedz drogę hordzie. Zabił, zastał nieprzygotowanych, pobił, jeńców oswobodził, łupy odzyskał, i wrócił do domu poprzedzany błogosławieństwem ocalonych.

Czyn ten nie poszedł w zapomnienie; dostatki Gorajów zdrobniały, granice ich włości zbliżyły się do siebie, tak, że i miejsce owój bitwy przeszło w obce ręce. Nowy nabywca, pan bardzo możny, zwiedzając je, rzekł do starca, który go oprowadzał:

— Cóżby tu zrobić można?

— To miejsce panie trzeba szanować, bo tu bił Goraj Tatarów.

— Ja też je poszanuję jak tylko można najlepiej, bo założę osadę, i nazwę ją Biłgoraj. Chłopek się skłonił, a pan dotrzymał co przy-

rzekł, i w kilka lat po tém zdarzeniu powstała nowa osada. (\*)

Niedaleko, bo tylko o trzy mile od Biłgoraja, leży miasteczko Tarnogród, słynne konfederacją zawiązaną pod laską Stanisława Leduchowskiego, podkomorzego Krzemienieckiego, dziedzica tego miasta. (\*\*) Pan podkomorzy w niem się urodził, wzrósł i wychował, na czele sąsiadów i przyjaciół stanął przeciw saskim zamiarom, i dopóty szabli do pochwy nie schował, dopóki poszepty dworaków w łeb nie wzięły. Lecz gdy Sasi zaczęli wracać nad Elbę, gdy traktat z konfederacją, przeciwko któremu nikt nie miał nic do powiedzenia na sejmie, potwierdzono, gdy pokłonił się nisko Augustowi II, wrócił do zagona, i umarł tak spokojnie, jak żył przed konfederacją.

Śliczna to postać odwagi i wytrwałości, śliczniejsza od owych głośnych luminarzy Augustowego dworu, owych hetmanów W. L., którzy jednak pomimo całego swego wpływu, przed konfederatami z Łęczny do Lublina zmykali.

(\*) Z miejscowego podania.

(\*\*) R. 1715.

Biłgoraj położony między lasami, w ziemi gorzystej, nie bardzo urodzajnej, jest jednak miastem znanem z zamożności, i imię jego głośne jest w odległych stronach.

Przejdźmy się po ludnych Ukraińskich siołach, bogatych osadach Wołynia i Podola, zajdźmy nad Wołgę, Dunaj, Czarne morze, spytajmy, czy znają Biłgorajaków, a wszędzie odpowiedzą:

— Jak ich nie znać, kiedy oni tu ze swoim dobrym towarem przychodzą.

Jakiż to towar, który mieszkańców polskiego miasteczka prowadzi w tak odległe kraje, pod skwarne niebo Krymu, i nad okryte śniegiem brzegi Wołgi i Dźwiny? Oto proste sita i przetaki!

Wspomniany na wstępie książę arcy-biskup Gnieźnieński, przejeżdżając przez Biłgoraj, powiedział:

Przymiot jego wieloraki,

Sławne w sita i przetaki.

Przytém i w jubilery niepoślednie:

Jakoż wyborne klejnoty,

Po talarze pierścień złoty,

Dyamenty wielkiej wagi,

Za dwa grosze trzy szmaragi.

Za czasów, w których nasz poeta był w Biłgoraju, musiała sztuka jubilerska kwitnąć, albo niepotrzebnie dowcipny podróżny pomieszał ją z istotnym fachem Biłgorajaków, z wyrabianiem sit, i rozsyłaniem ich nie tylko po całym królestwie, ale i w najodleglejsze sąsiednich krajów zakątki. Dziś nie ma owych jubilerów, albo jeżeli się znajdują, to po większej części żydzi, noszący swój warsztat i sklep pod pachą, i zasilający tandeciarzy odpustowych, którzy w kupione od nich klejnoty ubierają swoje kramy w Radeczniczy, Krasnogrodzie i Puszczy Solskiej, na ponętę dla wiejskich dziewcząt, pragnących koniecznie wrócić z odpustu z jakim od miłego podarkiem. Ale sita po dziś dzień stanowią jedyne i wyłączne zatrudnienie mieszkańców miasteczka, wyprowadzając prawie całą jego ludność mężką, daleko, za góry, rzeki i morza!

Nie jeden ojciec rodziny opuszcza swoje strony, dom, żonę, dziatki, i z wózkiem naładowanym płótnami (\*) sit, suchą żrenicą żegna żonę, tuli do piersi dziatwę, bo on już nie raz ich porzucił. I żona nie płacze, i dziatki nie rozrzew-

(\*) Płótnami zowią włosienne tkanki do sit, nie osadzone jeszcze w drewniane naręcza.

niają ojca łkaniem, bo one przywykły rok, dwa, a czasem i więcej go nie widzieć, bo on wracając, przywozi im bogate dary, ładne cacka, a co największa, kieszenie pełne rubli lub dukatów.

I nie jednej dziewczynie rwie się serce za miłym, który z tłumokiem pełnym włosiennych płócien, bierze kij wędrowny, i mówi jej: jak wrócę, jak przyniosę dużo pieniędzy, to się pobierzemy, to ty będziesz moja, a ja twoim!

I dziewczę wiesz mu się na szyi, i gorący jej oddech dosięga ust, i serce bije obok serca.

Inny rzuciłby w kąć sita, połamał kij, i powiódł dziewczynę do ubogiej chatki, gdzieby o powszednim chlebie byli szczęśliwi, ale Biłgorajak tak nie robi, u niego przedewszystkiem wędrownka, u niego w głowie i w sercu sita, ruble i piastry tureckie! Zimny pocałunek oddaje za namiętne uściśnienie, wydziera się z miękkiego objęcia, i z piosnką w ustach rusza w świat.

Dziewczę patrzy za nim, nie widzi łyzy w jego oczach, żalu w twarzy, słyszy tę piosnkę, którą żegna swoje strony, rodziców, krewniaków, swoją miłą, swoją strzechę, i nie chce wierzyć, aby on ją przynajmniej równo z sitami cenil.

Widziałem pożegnanie ojca rodziny, pożegnanie narzeczonych, ale najsilniejsze wywarło na mnie wrażenie pożegnanie młodych małżonków. Dwudziesto-pięć letni sitarz wrócił z wędrownki, przyniósł sporo grosiwa, kupił domek i poletek gruntu, zgromadził zapas włosienia, znalazł wierną sobie dziewczynę, i postanowił się ożenić. Wyszły zapowiedzie; dziewczyna czarnooka, brunetka, z białem jak pierś łabędzia liczkami, z rumieńcem pożyczonym od róży, podała mu rękę, i przysięgła wiare. Odbyło się sute wesele, na którym więcej było obchodów aniżeli swobody; państwo młodzi zajęli swoją siedzibę, gdy wtém w sześć dni po weselu rozchodzi się wieść, że sita w Krymie dobrze płacą. Duch spekulacyi wędrowniej nie daje sitarzowi dosiedzieć przy młodej, ładnej żonie, w nocy ładuje towar na wózek, i rankiem, równo z jutrzeńką, z myślą o Krymie i piastach, żegna pogładającą za nim przez łyzy żonę, i śpieszy, nie zapłakawszy nad tém co porzuca, nie obejrzawszy się nawet na domek, gdzie zostawił młodą kobietę na walkę z pokusami. A silne bo téż to są te pokusy!

Widziałem Krakowianki, hoże, serdeczne, wesołe, widziałem dziewczęta Mazowska, smukłe,

udatne, jak topolki, widziałem Lublinianki, smętne, małowówne, a tak przypadające do serca; ale śmiało powiedzieć mogę, że w całej polskiej ziemi nie ma nigdzie piękniejszych kobiet, jak są w Biłgoraju. Co dziwniejsza: lud w okolicy, o granicę z Biłgorajem, ponury, jak lasy, w których się wychował, zamknięty w sobie, brzydki, niechlujny; kobiety niskie, tłuście, poczarne; — w Biłgoraju na którą spojrzysz, dziewczyna lub mężatka, to aż cię wszystkie ognie przejdą, i aż serce zaskacze.

Wszystkie dobrego wzrostu, zgrabne i lekkie; mało między niemi blondynek, najwięcej brunetek, z czarnemi lub niebieskiemi oczyma, z cerą cokolwiek śniadą, dziwnie odbijającą przy kruczonych splotach długich włosów. Mężatki noszą na głowach duże tureckie chustki, w kształt zawojów wiązane, co bardzo ładnie się wydaje przy wyniosłej i zgrabnej ich postaci.

Kiedym raz jednej Biłgorajanki zapytał: dla czego między niemi prawie nie ma brzydkich? usłyszałem od niej następującą z ust do ust przechodzącą legendę:

— Oto widzi pan, i u nas tak dawniej bywało, jak i u ludzi; trafiały się przystojne, ale więcej znalazło się takich, co to panowie na nich patrzyć

nie lubią. Bóg wie kiedy to było, bo tego najstarsi ludzie nie pamiętają, i tylko z powieści gwarzą, że jedna pobożna dziewczyna, sierota, bez ojca i matki, rozmiłowała się strasznie w młodym sitarzu Marku. Chłopak był gładki, przystojny, roboczy; dziewczyna brzydka i uboga. Ile razy Marek przechodził koło okna chatki, tyle razy biedna Magdusia wyjrzała przez okienko, i posłała za nim swoje smutne serce. W ziemi wszystkie okna były mrozem zakute, a okienko Magdusi zawsze stało czyste, bo ona je zawsze odchuchała, aby choć raz na dzień Marka obaczyć. Chłopak wiedział o tém, ale śmiał się z biednej, i ani wdzięcznym słówkiem, ani dobrem spojrzeniem nie pocieszył sieroty. Magdusia schła jak niepodlewana ruta w ogródku, i codzień oczy jej były czerwieniejsze, twarz bledsza. Przypadł odpust w puszczy Solskiej na świętą Magdalenę; szli inni, poszła i Magdusia, ale poszła poszcząc wprzód przez trzy dni o chlebie i wodzie. Zaledwie weszła do kościoła, oczy jej zwróciły się na świętą Magdalenę w wielkim ołtarzu, i coś jej szepnęło: „idź wypowiadaj się, i proś szczerze świętej, a Marek będzie twój!“ Pobiegnęła do konfesjonału, wypowiadała się z całego życia, i gdy rozpoczęła się wotywa przed

świętą Magdalena, zalana łzami rzuciła się krzyżem przed ołtarzem, i leżała jak trup, jak kamień. Ludzie tłoczyli się, deptali biedną; krew płynęła z rąk podeptanych, a z oczu lały się łzy, i strumieniem biegły po kamiennój posadzce. Nie jeden dziwował się, co to za grzesznica tak ciężko pokutuje, a to tylko biedna sierota, czysta jak lilia na stawie, prosi o jedną łaskę, o życie z Markiem, lub o śmierć bez niego.

Skończyło się nabożeństwo, księża odeszli, Magdusia podniosła się; o cud wielki!... brzydka jój twarz oblokła się w anielską urodę! Lud się jój rozstępuje, wszyscy się dziwią, chwala; Magdusia nie chce wierzyć, biegnie do krynicy, co płynie pod klasztorem, przegląda się, pada na twarz, chce dziękować, a nie może dobrać słów, chce płakać, a łzy nie chcą płynąć, chce śmiać się, a usta drżą i oczy rwą się ku niebu; gdy wtém słyszy za sobą głos: „Sieroto, Bóg cię wysłuchał, i łaska święta spłynie nie tylko na ciebie, na twoje córki i siostry, ale i na wszystkie twoje, którym rzekniesz: tyś moja córka, albo siostra!“ (\*)

(\*) Z miejscowego podania.

Obejrzała się Magdusia, ale nikogo za nią nie było, i tylko ptaszki w gaju dziwnie pięknie śpiewały. Podziękowała Bogu i świętej Magdalenie za tak niesłychany cud, i zabrała się z powrotem. Biegła jednym tchem, nie patrząc drogi, przez lasy, pola i łąki, aby jak najprędzej stanąć w mieście. Zaledwie weszła, lud ją zaraz otoczył, bo kto tylko żył, to wyległ na rynek, aby obejrzyć cud, aby przypatrzeć się Magdusi sierocie. Marek przyszedł pierwszy, na kolanach przeprosił dziewczynę, za śmiechy jakie z niej stroił, przebaczyła, i niezadługo ksiądz ich przed ołtarzem połączył.

Co Magdusia nad krynicą usłyszała, spełniło się; córki jój były tak śliczne jak matka, o sto mil zjeżdżali się je oglądać, a którą z niewiast, choćby na żart nazwała córką lub siostrą, to jakby się na nowo na świat urodziła, tak jój Bóg piękności dodawał.

Magdusia umarła, prosząc, aby ją pochowano w puszczy Solskiej nad krynicą; same Biłgorajanki zaniósły ją tam i pochowały, ale z jój śmiercią cud nie ustał, dla tego to, jak pan widzisz, ludzie na nas krzywo nie patrzą.

Ostatnie te wyrazy wymówiła z takim urokiem, z taką szlachetną dumą, że nie mogłem

wątpić, iż widzę przed sobą praprawnuczkę sieroty, z silną wiarą, w uproszoną przez nią dla przyszłych pokoleń łaskę.

Taka jest legenda o piękności kobiet w Biłgoraju, one w nią wierzą, i rade o niej mówią; starając się usilnie o to, aby uzyskanych łzami sieroty darów nie marnować. Dla tego też rzadko kiedy ujrzysz Biłgorajankę przy ciężkiej pracy, w polu na skwarze słońca, ale za to ubawisz oczy, przeszedłszy się w lecie po ulicach miasteczka. Przed każdym prawie domem pod wystawką, lub pod cieniem lipy, siedzi kilka kobiet zajętych, to przebieraniem włosienia, to tkaniem sit, a wszystkie czysto, schludnie przybrane, wszystkim z oczu patrzy zalotność, z ust biegnie ponętny uśmiech, szepejącą prawie: chodź do mnie!

Dziwy też prawią o zalotności Biłgorajank, o umizgach żon, o niestałości dziewcząt. Trudno zaprzeczyć kiedy wszyscy o tém mówią, trudno bronić, kiedy patrząc na Biłgorajanki samibyśmy może téj obronie nie wierzyli.

Zimna, spekulacyjna obojętność sitarzy, opuszczenie, jakiego doświadczają żony i dziewczęta, wystawiają ich cnotę na liczne napaści. Jeżeli więc znajdą się takie, które pokusom ule-

gną, to nie dziw, bo nie tylko w Biłgoraju obojętność i opuszczenie podobne skutki sprowadza?

\* \* \*

Przed kilkoma laty byłem w Biłgoraju, i to nie w przejeździe, nie dla kupienia sit i przetaków, ale z ciekawości poznania go dokładnie. Napatrzywszy się już dość czarnych oczek, nasłuchawszy dziwnych podań, obejrzawszy wszystkie osobliwości miejscowe, zamierzyłem przenieść się dalej w miłą mi ziemię, aby ją bliżej poznać, i z sercem mojem związać! Na pożegnanie przechodziłem najodleglejszą, i prawie już za miastem położoną uliczkę, gdy na progu wystawki, małego, czysto wybielonego domku, spostrzegłem starca, z białą jak śnieg brodą, z głową smutnie na rękę opartą.

Tyle było w twarzy tego starca wyrazu boleści, tyle interesującej powagi, że zbliżyłem się ku wystawce, i rzekłem:

— Niech będzie pochwalony!

Starzec nie odpowiedział, wlepił we mnie duże, jakąś dziwną mgłą zaszłe oczy, popatrzył

chwile, podniósł się, i wszedł do izby. Już miałem odejść, gdy wyszła do mnie kobieta, mająca przeszło lat pięćdziesiąt, miłych i noszących ślady dawniej piękności rysów, i rzekła:

— A czego pan od nas potrzebuje?

— Wybaczcie mi, matko, odrzekłem, ale ja tylko tak z ciekawości chciałem zacząć rozmowę ze starcem, który tu siedział. Jestem obcy, przyjechałem z daleka, i myślałem, że się czego o waszém mieście od niego dowiem.

— Żle pan trafiłeś, ten starzec nie nie powie, bo on od kilkunastu lat tylko ze mną jedną rozmawia.

— A to dla czego?

— Bóg go nawiedził wielkimi nieszczęściami, i teraz dziecko więcej ma od niego rozgarnięcia.

— A nie powiedzielibyście mi matko, jakie to nieszczęścia na niego spadły?

— Cóż panu z tego przyjdzie?

— Co?... a wiecie, na co chory pije gorzkie lekarstwo?

— Na to, żeby ozdrowiał.

— No to i ja na to pragnę wiedzieć cudze cierpienia, abym swoją niemoc uleczył, i bliźnim o tém powiedział.

Kobieta spojrzała mi badawczo w oczy, pomyślała chwilę, i rzekła:

— Chodź pan ze mną do chaty.

Gdyśmy weszli, starzec siedział na ławce pod oknem, w takiej samej postawie, w jakiej widziałem go na progu. Kobieta podała mi prosty, dębowy, ale czyściuteński stołek, i prosząc, abym usiadł, rzekła:

— Opowiem panu wszystko, bo to wielka prawda coś pan powiedział; ale wprzód może nie wzgardzisz naszą miską i szczerą wolą. Co chatka ma, tém rada.

Przyjąłem chętnie zaproszenie. Kobieta postawiła przedemną miseczkę kaszy jaglanej z mlekiem, położyła krajanekę żytniego chleba i szklącą się z czystości drewnianą łyżkę, taką samą miseczkę postawiła przed sobą i przed starcem, a gdyśmy spożyli dar Boży, rzekła:

Teraz co spamiętam, opowiem. Przed trzydziestu kilku laty, w tym samym domku mieszkała wdowa po sitarzu, i miała dwie córki; jedną byłem ja, drugą moja siostra Jadwisia. Ludzie mówili, że nam Bóg dość dał urody, i wdzięcznie patrzyli na ubogie dziewczęta, nie leniące się pracy, aby wyżywić matkę i siebie przystojnie okryć.

Jadwisia choć o rok młodsza, była jednak wyższa i smuklejsza odemnie; z jej liczka rumieniec nigdy nie schodził, a jej usta zawsze się uśmiechały; ja w dzieciństwie ciężko chorowałam, i od tego czasu nie mogłam już dorównać Jadwisi.

Nie trzeba panu mówić, że gdzie są gładkie i pracowite dziewczęta, tam drzwi izby nie skrzypią, bo chłopcy im zaschnąć nie dadzą. Ta i do nas cisnęło się wielu, zawsze jednak więcej do Jadwisi, choć ona na prawdę nie myślała jeszcze o mężu. Figlarna, wesoła, śmiała się z zalotów, i nie jedna swacha odeszła z nietkniętą flaszką, którą na zmówiny pod fartuchem przyniosła.

Jakoś na kilka tygodni przed świętym Janem, umarł stary ekonom, co to od małego dziecka wysługiwał się przy naszym dworze, i dziedzie przyjął nowego z Ordynaccyzny. Sprowadził się stary pięćdziesięcioletni wąsacz, ale z nim razem przybył syn jego Janek, dwudziestoletni chłopak, składny, grzeczny, wesoły, że aż miło było spojrzeć. W kościele obaczył Jadwisie niosącą za processyą obraz świętej Barbary, i zaraz tego samego dnia przeszedł się kilka razy pod oknami naszego domku. Jadwisia swoim zwyczajem zaczęła żartować z niego, a jednak, kiedy drugi raz przechodził, to otworzyła okienko,

i wystawiając doniczkę z rutą do ogródka, kilka razy posłała za nim swoje czarne oczy.

Dzień jeden i drugi tak przeszedł. Jadwisia pobladała, już nie odstępowała okna, a jeżeli odstąpiła, to dla tego tylko, aby wyjść przed sień. W tydzień już z sobą mówili, a we dwa tygodnie przyszedł sam prosić matki o Jadwisie.

Matka spytała najprzód co on za jeden, a gdy jej powiedział, że syn ekonom, ofuknęła go strasznie, i powiedziała, że córkę wyda tylko za sitarza, albo za innego jakiego rzemieślnika, ale nie za surdutowego, któremu z oczu chleb nie patrzy. Odszedł biedny chłopak ze spuszczoną głową, ze smutnym sercem, a matka zawołała Jadwisi, i wymyślając jej, aż strach wspomnieć, powiedziała, że ją przeklnie aż do trzeciego pokolenia, jeżeli choć słówko do syna ekonomskiego przemówi. Nie było co robić; Jadwisia szlochała po całych nocach, a w dzień siedziała przy okienku, aby choć miłego obaczyć, kiedy z nim mówić nie mogła. W chłopaku krew wrzała, byłby w ogień wskoczył, gdyby tam Jadwisie mógł do siebie przytulić, porzucił ojca, i mimo grózb i złorzeczeń poszedł na naukę do sitarza, pracował dzień i noc, i w rok wyzwolił go majster na czeladnika. Stary ekonom nie dożył te-

go; ludzie powiadali, że konając, przeklął syna, ale Janek ani pomyślał o tém, i nawet za pogrzebem ojca nie poszedł.

Jeszcze na cmentarzu nie usypano świeżej mogiły, jeszcze kołysał się dzwon, co ostatni raz staremu ekonomowi zadzwonił, gdy otworzyły się drzwi naszego domu, i weszło dwóch starych sitarzy, a za nimi Janek.

Jadwisia się zerwała, i zakrywszy oczy rękami, pobiegła do komory; Janek upadł matuli płackiem do nóg, a jeden z sitarzy przemówił za nim, pochwalił jego pracowitość, uczciwość, i wręcz oświadczył, że grzechby było odmówić mu dziewczyny.

— Toć kiedy wyuczył się naszego rzemiosła i Jadwisia go miłuje, to niech ją bierze, wyrzekła matka, ale ja powiadam wam moi sąsiedzi, że jak mnie widzicie nad grobem, tak ją zobaczycie w sieroctwie, bo taki mąż, jak ją raptem i nie po naszymu ukochał, tak ją raptem i nie wiedzieć dla czego porzuci.

Janek zaczął się przeklinać, że aż włosy na głowie stawały, a matka poszła do komory, wywiodła Jadwisię, pocałowała ją w czoło, i oddała ulubionemu. Oboje padli znów do nóg matce, a myśmy się wszyscy popłakali.

W miesiąc Jadwisia była już żoną Janka Pomiana, bo tak się zwał on po ojcu.

Gdy kobieta wymówiła nazwisko, starzec uniósł głowy, popatrzył na nas smutnie, i przysunął się bliżej.

— Czy rozumie co my mówimy?

— Czasem, — odpowiedziała westchnąwszy, i potem mówiła dalej:

Jak się kochali, jak byli szczęśliwi, nie będę panu opowiadać, bo pan nie o tém chcesz się dowiedzieć; zacznę od tego, kiedy sitarz, u którego Pomian był czeladnikiem, nakazał mu wybrać się w drogę, daleko, bo aż w Turecczyznę.

Nasi sitarze, jak pan pewno wiesz, odchodząc, nigdy nie płaczą, nigdy nie rozpaczają, choć zostawiają młode żony albo narzeczone. Janek płakał jak dziecko, ręce łamał, sto razy wychodził i sto razy wracał, aż się nam wszystkim serca krajały, aż ciężko było patrzeć. Jadwisia nie tylko płakała, nie tylko głośno wyrzekała, ale dość było spojrzeć na nią, aby poznać co się w niej działo. Wreszcie odszedł; biedna żona posłała za nim krzyż święty, i wtedy dopiero utoneła we łzach.

Minęły najsmutniejsze dni, praca osłodziła tęsknotę, a nadzieja, że on przyjdzie, przegania-

ła dnie, jak silny wiatr przegania chmury. Tymczasem minął rok, a Janek nie wrócił, ani wieści nie przysłał; Jadwisia pocieszała się myślą: nie ma jeszcze gospodarza, toć i czeladnik bez niego nie może wrócić. Cieszyła się tém znów rok cały, aż raz w późnej jesieni przyszła do nas wiadomość, że gospodarz Janka wrócił.

Jednym tchem stanęła biedna Jadwisia u wrót jego domostwa, ale po to tylko, aby okropną nowinę usłyszeć. Gospodarz powiedział, że przed rokiem wysłał Janka z połową towaru do Warszawy, że mieli się spotkać z powrotem za trzy miesiące w Kamieńcu, tymczasem i cztery ubiegło, a Janek nie wrócił. Gospodarz poszedł go szukać, bo mu chodziło o towar, szukał kilka miesięcy, i nie znalazł, ani nawet wieści nie posłyszał.

— To oszust, dodał na końcu, on widać mój towar sprzedał, i hula za niego po świecie, ale popamięta on mnie, jeżeli kiedy go znajdzie.

Od tego czasu łązy nie schodziły z oczu nieszczęśliwej mojej siostry; biedna, prosiła wszystkich sitarzy wychodzących z miasteczka, aby jej męża szukali, i nie jeden wracał, a wieści nie przynosił.

W tym czasie ja wyszłam za męża, za człowieka nie młodego, ale poczciwego i statecznego. Widać, że to tak Bóg zrządził, bo w parę miesięcy matka nasza umarła, i gdyby nie moje pójście za męża, tobyśmy obiedwie były zostały sierotami.

Mówią, że tylko złe się często rozchodzi, ale to tak nie jest, bo i o dobrém ludzie się rychło dowiedzą. W całym naszym miasteczku nie było ani jednego człowieka, któryby nie wiedział o cnocie Jadwisi i jej szczerém kochaniu; gdy więc przeszło cztery lata, a o Janku ani słyhać nie było, wszyscy okrzyknęli, że musiał umrzeć, i zaraz kilku się zgłosiło o młodą, poczciwą wdowę.

Jadwisia nie chciała o tém słyszeć.

— Ksiądz nie da ślubu, mówiła, bo któż zaświadczy, że Janek umarł?

— Pójdziemy do naszego pana burmistrza, on nam poradzi jak zrobić, odpowiadali zalotnicy.

Ja sama namawiałam ją, aby nie gardziła ludzką łaską, i radziłam jej dobrego chłopaka, bratanica mego męża, ale ona wypraszała się czém mogła, i od dnia do dnia zwłóczyła.

— Poczekajcie aż się poradzę wróżbitki, mó-

wiła, i szła do wróżbitki, sypała troiść na węgle, ważyła sporysz, i wracała taka smutna, jak i poszła.

— Poczekajcie, aż wrócę od świętego Antoniego z Radeczniczy; i susząc przez trzy dni, wybierała się na odpust.

Poszłam i ja za nią, widziałam jak we łzach leżała całą summę, jak obchodziła wszystkie kapliczki, i nie raz przypomniła mi się owa sierota, która, jak ludzie mówią, uprosiła sobie u świętej Magdaleny urodę.

I święty Antoni byłby wysłuchał mojej biednej sieroty, bo prosiła całym sercem, ale na drodze między nią i niebem, stał grzech Janka, i przekleństwo konającego jego ojca.

Po powrocie z Radeczniczy, zdało się nam, że Jadwisia skłania się już do naszej rady, bo nie uciekała od Grzesia, i nie odpowiadała tak twar- do jak pierwój, prosiła tylko, aby nie ogłaszać przez urząd śmierci Janka, aż za dwa miesiące. Przez ten czas wzięła się bardzo do roboty: kładła się spać koło północy, wstawała przed świtem, i ciągle tkła płótno do sit. Myśleliśmy, że ona tak chce przysporzyć sobie grosza na nowe gospodarstwo, i radowaliśmy się po cichu, że już zapomina swego żalu. Do dwóch miesięcy

już tylko kilka dni brakowało. Jednego wieczora Jadwisia pozbierała wszystkie utkane płótna, poukładała je w komorze, i wróciwszy do izby, tak była wesóła i mocna, jak przed kilkoma laty. Uważałam tylko, że kiedy idąc spać, wchodziła do komory, to stała we drzwiach popatrzyła na nas, i podniosła fartuszek do oczu.

Zajrzałam przez szparę we drzwiach, Jadwisia klęczała przy łóżku i mówiła pacierz. Ona nieboga jeszcze tęskni za Jankiem, rzekłam do siebie, i odeгнаłam jakieś dziwne myśli, co nie wiedzieć zkąd przeszły przez głowę.

Nazajutrz już słońce zeszło, już krowy wypędziłam na paszę, a Jadwisia nie wychodziła z komory. Coś mi szepnęło: pójdz obacz; odchyliłam drzwi, Jadwisi nie było ani śladu, łóżko stało nietknięte, tylko poduszka mokrą była od łez. Złękłam się bardzo, zawołałam męża, przejrzelśmy komorę, nie znaleźliśmy nigdzie Jadwisi, ale nie było i wyrobionych przez nią sit, i wędrownego odziewadła mego męża. Mąż poskoczył do pułki, na której leżał jego paszport, ale go nie znalazł. Domyśliliśmy się co się stało: biedna żona przebrana za sitarza, poszła w świat szukać zginionego męża!!...

Oboje zapłakaliśmy nad nią serdecznemi łzami! W kufierku pozostały wszystkie jej rzeczy, wzięła tylko korale, zapewne na to, aby je sprzedać, i mieć pieniądze na drogę.

Grzesio poszedł za nią, mówiąc, że ją znajdzie, i skłoni do powrotu, ale doszedłszy do granicy, stracił jej ślad, a bez paszportu nie mógł pójść dalej.

Żal mi było mojej nieszczęśliwej siostry; sama jedna, w nieznanach stronach, z nie wielkim towarem, kto ją poratuje w nieszczęściu, kto jej da kawałek chleba, gdy małego zasobu zabraknie? Prosiłam wychodzących z miasteczka sirtarzy, aby się o nią dowiadywali, posłałam jej przez męża kilkadziesiąt złotych, ale wracali wędrowcy, wrócił i mój mąż, a Jadwisia przepadła, jak kamień w wodzie.

Tak minęło półtora roku. W zimowy, mroźny i wietrzny wieczór, siedzieliśmy koło komina, na którym gorzało łuczywo, młodzież gwarzyła wesoło, a mnie coś ciążyło na sercu. Wtém skrzyknęły drzwi, i na progu stanął jakiś człowiek, cały okurzony śniegiem; zdjął czapkę i podszedł bliżej, poznałam, przeczułam, kto to był. Jadwisia!... krzyknęłam, zrywając się z ławy. Podróżny rzucił czapkę i padł w moje ręce.

Biedna Jadwisia, oszczędłszy Bóg wie gdzie, wróciła pod naszą strzechę, ale w jakim stanie?! Kiedy przebrała się po kobiecemu, tom się jej wylękała; oczy jej zapadły w dół, policzki powystawały, cała twarz pokryła się trupią bladością, a ręce wyschły jak patyczki. Kaszłała, pluła krwią, i ledwie mogła ustać na nogach.

— Gdziem ja była — rzekła, przebrawszy się i wytchnawszy — ani opowiedzieć wam nie będę mogła. Ludzie liczą drogę na mile, jabym ją na sta mil liczyć mogła. Obeszłam gorące krainy tureckie, śliczne, górzyste strony Grecyi i Krymu, byłam nad Dunajem, Bohem, Dnieprem, Wołgą i Dźwiną, a nigdzie, nigdzie o nim nie usłyszałam wieści! Wierzę już teraz, że umarł, lub że Bóg nie chce, abyśmy żyli razem. Ale nie długo będziemy razem, dodała pokaszlując, choroba, na jaką zapadłam w Jassach, została tu w piersiach na zawsze; myślałam, że już tam przyjdzie umrzeć, i prosiłam Boga choć o tyle zdrowia, aby zająć do swoich, i na swoim ementarzu głowę położyć. Bóg mnie wysłuchał, i przywlokłam się do was, bo miliej mi będzie, gdy wy mi oczy zamkniecie.

Ciężkie były jej ostatnie dni, tylko dzięki Bogu, niedługo się męczyła. We dwa miesiące

po powrocie z téj przeklętéj drogi, usypaliśmy jéj mogiłę, i Grzesio na niéj krzyż własną ręką wyciosany postawił.

— U nas, którzy musimy na chleb pracować, praca garnie pod siebie tak radość, jaki smutek. Jeżeli nam Bóg ześle co dobrego, to podziękujemy szczerze, kupimy świece do ołtarza, albo uszyjemy nowe firanki do obrazu, i powracamy do pracy raźniej jeszcze, bo weselój. Jeżeli zaś z dopuszczenia bożego, choroba albo śmierć pod naszą strzechę zajdzie, to nie opuścimy rąk, bo praca nie da się nam nawet wypłakać. Tak téż i po śmierci Jadwisi, żalowaliśmy ją wszyscy serdecznie, ale trudnoć było zrobić inaczej, kiedy jéj Bóg taką dolę przeznaczył. Minał rok jeden i drugi, grób jéj porósł murawą, w mieście rzadko już kto o niéj wspomniał, chyba wtedy, gdy ksiądz proboszcz w przypominki zdrowaśkę za jéj duszę odmówić zalecił.

Pamiętam jak dziś, w trzecim roku po śmierci Jadwisi, w marcu, nad wieczorem, w czasie największój zawiejki, zastukał ktoś do drzwi naszój chatki, otworzyłam, wszedł człowiek łachmanami okryty, zgarbiony i wynędzniały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... odpowiedziałam, ale

ostatniego amen nie dorzekłam, bo przywidziało mi się, że gdzieś znam tego człowieka.

Przybyły wszedł do izby, obejrzał się do koła, oparł się o ścianę, i mokrą połą od sukmany zakrył sobie oczy.

— Czego potrzebujecie, zapytałam, czy jałmużny?

— Jałmużny.

Ukroiłam pół bochenka chleba, ułamałam kawałek sera, i podałam je nieznanomemu. Gdy przyjmował, ręka mu strasznie drżała, myślałam, że od zimna.

— Wy mnie nie poznajecie? zapytał po chwili.

— Nie.

— A przecież ja tu niegdyś bywałem.

— Jakże się zowiecie?

— Janek Pomian.

— Pomian! krzyknęłam, o człowieku! po cóż ty tu przychodzisz.

— Po co?... albo ja wiem, ja wlokę się jak dym po świecie, jak upior, co nie może znaleźć spokoju. Ja przyszedłem tu, ja wiem, że tu niegdyś byłem, żem tu zostawił żonę, ale choćbyście mnie w ziemię wbili, to nie wiem, po co się u przywlokłem.

Nadszedł mąż, przyjęliśmy biednego, okryli, pożywili. Gdy odpoczął, pierwsze jego słowo było:

— A gdzie Jadwisia?

Mąż spojrział na mnie, podumał chwilę, i odrzekł:

— Będzie i ona, ale wprzód opowiedz nam, co się z tobą działo.

Nie chciał, wypraszał się, i dopiero groźba, że inaczej nie będzie widział Jadwisi, zmogła jego upór. Mówił długo, niezrozumiale; często coś takiego wtrącił, że patrzyliśmy jak na opętanego, zawsze jednak z tój długiój, dziwacznej mowy, dowiedzieliśmy się, że zaszedłszy aż na węgierską granicę, poznał jakąś Węgierkę daleko piękniejszą od Jadwisi, że długo opierał się pokusie, ale djabeł dybał na jego duszę, i namówił go, aby osiadł w tój wiosce gdzie była Węgierka. Osiadłszy, sprzedał towar i ożenił się z nią; dochowali się dwojga dzieci, i dość się im wiodło przez cztery lata. Jednego razu, gdy byli na kiermaszu, zapaliła się chałupa, zgorzało całe mienie i całe szczęście, bo dzieci z ognia nie wyratowano. Dalej na zarazę wypadło bydło, stodoły zaraz po zbiorach piorun spalił, poszli w służbę, służba nie szła im w ład, bo oboje

odwykli od pracy; wziął się do swego rzemiosła, do robienia sit, paraliż powykrecał mu ręce. Biedna Węgierka żebrząc, umarła prawie z głodu, pochowali ją dalecy krewni, a jego jako próżniaka i włóczęgę wypędzili ze wsi. Błąkał się po różnych krajach, żyjąc z jałmużny, aż wreszcie zapragnął ujrzeć rodzinne strony i nieszczęśliwą żonę.

— Co chcieliście, to wiecie; rzekł w końcu. Ojciec mnie przeklął i djabeł oddał w ręce; djabeł mnie wodzi i wodzi ciągle, aż zawiedzie do piekła. Niech wiedzie, ale pokażcie mi przynajmniej Jadwisię, niech ja ją przeproszę; niech ona mnie przeżegna, to może mnie djabeł choć na chwilę odstąpi.

— Chodź, ja ci pokażę, gdzie jest Jadwisia, rzekł mój mąż, i wzięwszy go za rękę, powiódł na cmentarz.

— Tu jest Jadwisia, twoja biedna żona, rzekł, wskazując na mogiłę.

Janek rzucił się na nią, objął ją rękami, rwał włosy, ryczał i jęczał, aż się serce krajało.

Gdy się trochę uciszył, prosił, aby mu co powiedzieć o Jadwisi; opowiedzieliśmy mu wszystko, i potem prosto ze cmentarza zaprowadziliśmy go do księdza proboszcza. Wyspowiadał

się, przyjął najświętszy Sakrament, i przynajmniej od tego czasu, już ani razu diabła nie wspominał.

Z kościoła nie wrócił do domu, ale poszedł na grób żony, i przez trzy dni i trzy noce nie dał się ztamtąd odprowadzić.

Zwołaliśmy go wreszcie do chaty, przyszedł, ale od tego czasu przestał mówić do obcych, nawet do mego męża. Mnie odpowiada, ale to tylko czasem, i gdy jest spokojniejszy.

Bóg i nas nawiedził nieszczęściem; pocziwy mąż mój umarł, ale z ciężkiej jego pracy zostało mi tyle, że mogę żyć spokojnie, i utrzymywać przy sobie Janka.

Sąsiedzi mi mówią, żeby go odesłać do Lublina, bo tam dla takich jest podobno osobny szpital; ale ja nie mogę rozstać się z biednym mężem mojej siostry. Bóg go ciężko ukarał za jej krzywdę, niechże przynajmniej położy głowę na tym progu, gdzie ona nieboga urodziła się, wychowała i umarła, gdzie tyle łez nad swoją dolą wylała!

Kobieta skończyła mówić, i westchnęła boleśnie; starzec siedział nieruchomie, głowę oparł na obydwóch dłoniach, oczy utkwił we mnie

z oczu toczyły się łzy, i po białej brodzie, aż na stół kroplami spadały.

Nie mogłem wstrzymać wzruszenia, czułem, że byłbym razem z nim zapłakał, i dla tego podziękowawszy za gościnność, wybiegłem spiesznie z chaty.

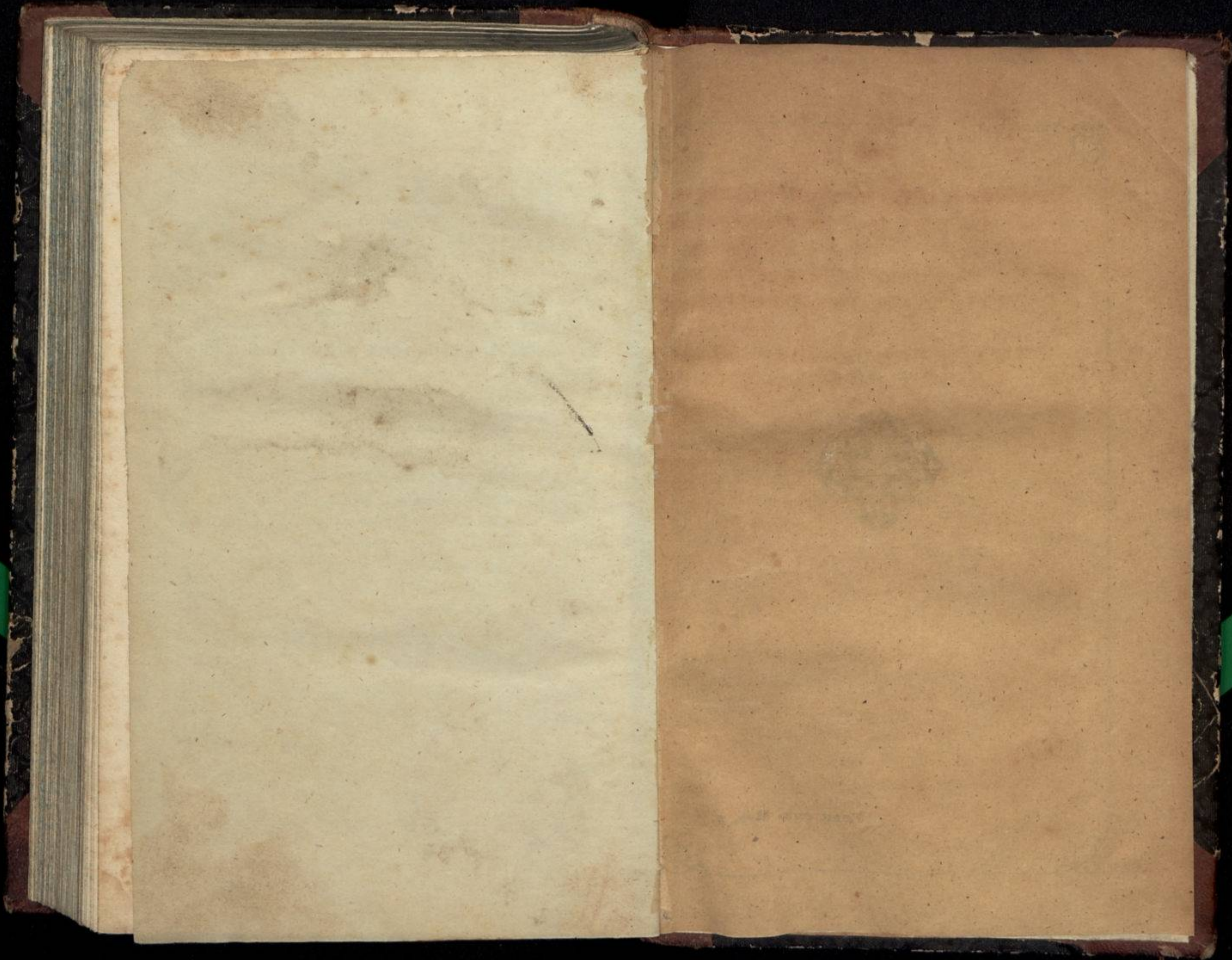
Z ulicy obejrzałem się jeszcze na niski, schludny domek, i w głębi serca powtórzyłem z Puszkinem.

Jestże szczęście między wami?  
Dziatki w prostocie żyjące,  
I pod waszemi dachami,  
Wiją gniazdo sny dręczące.  
I w wasze spokojne strony,  
Zawiał wicher zmiennych losów,  
Od żądź, burzy, zbrodni ciosów,  
Nie masz na ziemi ochrony!

K O N I E C.









Cena egz. Rsr. 1.



E \* 411350

Antykn. DK  
Bydg. 21.2.73  
- 75 25



827119

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001005579448